SENATOR ANDERS W MOCNYM WYWIADZIE

Wielu wpływowych ludzi chce, żeby Polska nie była silna

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 10/263 5–11 MARCA 2018

Nowa ustawa o IPN – obowiązuje czy nie?

Łysiak wystawia rachunek Niemcom

Wojciech Jaruzelski

Władysław Gomułka

MARZEC '68

MAMY ZA NICH PRZEPRASZAĆ?!

Piszą: Semka, Cenckiewicz, Piotrowski

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 10 >
Nakład: 96,5 tys. egzemplarzy

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER

Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce**.

paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płacić za prowadzenie rachunku wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych (także prowadzonych w innych bankach oraz z powiązanego rachunku indywidualnego) LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców" objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl

eprasa.pl 1b7f89dddd

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Poszukiwanie logiki

Mimo że rządzi wciąż jedna i ta sama formacja polityczna, to sytuacja potrafi się zmieniać – przepraszam za wytarty zwrot, ale pasuje – jak w kalejdoskopie. Źli okazują się dobrzy, a dobrzy źli. Kompetentni tracą stanowiska, a niekompetentni je zyskują. Do tej pory przyzwyczaiłem się, że takie ruchy wynikały ze zmiany formacji rządzącej. Wygląda na to, że dziś dokonują się w obrębie jednego obozu.

Swoistym przypieczętowaniem tej dziwności jest ciąg zdarzeń związany z odmówieniem, a potem przywróceniem dostępu do danych poufnych gen. Jarosławowi Kraszewskiemu. Otóż – jak poinformowały media – zarzuty stawiane generałowi przez byłego już szefa MON, Antoniego Macierewicza, oraz podległą mu wówczas Służbę Kontrwywiadu Wojskowego się nie potwierdziły i wojskowy odzyska dostęp do tajemnic. Patrzę na to i nic nie rozumiem.

Po pierwsze, nie wiem, jak zresztą pewnie niemal wszyscy, o co tak naprawdę chodziło i jakie to zarzuty postawiono generałowi. Wiem jedynie, że były szef MON i kierowany przez niego kontrwywiad sprawdzali informacje wiele miesięcy i kiedy ostatecznie generałowi dostęp odebrali, nie mieli wątpliwości, że postąpili słusznie. Tuż po swoim odwołaniu Antoni Macierewicz twierdził, że generał na zaufanie nie zasługuje. W piątek dodał równie mocno, że fakty są bezsporne i generał dostępu mieć nie powinien! O co tu chodzi?

Być może Antoni Macierewicz ma rację, generał na dostęp nie zasługuje, a to, że go otrzymał, a co za tym idzie – uzyskał wpływ na politykę kadrową w polskim wojsku – jest przykładem, używając języka odwołanego ministra, skrajnego naruszenia bezpośrednich interesów państwa. Wynikałoby jednak z tego, że po stronie złych mocy stoi już nie tylko prezydent Andrzej Duda, lecz także nowy minister Mariusz Błaszczak wraz ze wspierającym go premierem Mateuszem Morawieckim i liderem całego obozu Jarosławem Kaczyńskim. Dosyć trudno w to uwierzyć.

Jednak skoro nie, to może zatem jest tak, że wbrew sugestiom i twierdzeniom Antoniego Macierewicza zebrane przez podległy mu kontrwywiad materiały wcale generała mocno nie obciążały. Znowu zostają dwie możliwości: albo służby i odpowiedzialny za ich działanie minister wykazali się przesadną gorliwością oraz dopuścili się błędów w ocenie faktów, albo, druga możliwość, celowo i świadomie tak interpretowali fakty, aby politycznie ustrzelić generała, a przez to uderzyć w prezydenta. W pierwszym przypadku mielibyśmy do czynienia z niekompetencją, w drugim ze świadomym wykorzystaniem służb do walki o wpływy polityczne. Które rozstrzygnięcie jest prawdziwe, nie wiem.

Wiem jednak, że ta decyzja rzuca na pewno cień na wiarygodność innych ustaleń ministra. Jeśli minister i wyspecjalizowane służby tak bardzo się myliły przy ocenie materiałów dotyczących gen. Kraszewskiego, to jaką mogę mieć pewność, że ten sam minister rzetelnie oraz bezstronnie bada inne sprawy, w tym najważniejszą dla dużej części wyborców PiS kwestię katastrofy smoleńskiej? Jeśli minister nie miał wątpliwości w sprawie generała, a nie miał, i okazało się, że się pomylił lub celowo wprowadzał nas w błąd, to trudno zrozumieć powierzenie mu szefostwa państwowej podkomisji badającej katastrofę. Nic tu zatem do siebie nie pasuje i się nie zgadza. Chyba że decyzja dotycząca generała jest pierwszym krokiem do odsunięcia byłego ministra również od kierowania podkomisją. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 1b7f89dddd

TEMAT TYGODNIA

62 PIOTR SEMKA
OSTATNI TAKI MARZEC?
Mitologia Marca 1968

65 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ, PAWEŁ PIOTROWSKI
LUDOWE WOJSKO ANTYSEMICKIE

KRAJ

16 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ ANDERS
USTAWA O IPN BYŁA POTRZEBNA
Korygowanie kłamstw historycznych to polska racja stanu

22 ŁUKASZ WARZECHA
ZA MGŁĄ

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NIETYKALNY Z IZRAELA

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
O ŁASKĘ PREZESA

30 KAMILA BARANOWSKA
SZTANDAR WPROWADZIĆ?

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAMROŻONE PRAWO, ALE PRAWO

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POŻAR W TVN

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PISAĆ KAŻDY MOŻE

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy 2017

44 ANDRZEJ HORUBAŁA
SMUTECZKI PAWŁA SOŁTYSA

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 WALDEMAR ŁYSIAK
DEUTSCHLAND ÜBER ALLES
Łysiak vs Germania

60 ELŻBIETA MORAWIEC
BOJĘ SIĘ, ŻE POLSKA PRZEGRA

HISTORIA

70 ADAM ZUBEK
MROK BIAŁEGO JARU
Najtragiczniejszy wypadek w polskich górach

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z PŁK. MARKIEM WRZOSKIEM
WOJNA NA TECHNOLOGIE
Konflikty zbrojne po nowemu

77 SZEWACH WEISS
SYRIA – POLIGON CYNIKÓW

78 PIOTR WŁOCZYK
KUCIAK – SŁOWACKI ZIĘTARA

80 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
UPADEK REFORMATORA

EKONOMIA

82 AGNIESZKA ŁAKOMA
PERŁA DO WZIĘCIA
Powstanie polski gigant paliwowy

84 TOMASZ CUKIERNIK
CZY UNIA NAM SŁUŻY?

ZDROWIE

88 KATARZYNA PINKOSZ
NADCHODZI E-RECEPTA
Rusza pilotaż oczekiwanych zmian

SPORT

90 ŁUKASZ ZBORALSKI
DENIS ROZRABIAKA
Żołnierz, który nie ustał w szeregu

92 ŁUKASZ MAJCHRZYK
KROK W KOLANACH CIĘ PONIESIE

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (50), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (96), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 1b7f89dddd

Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

KAWA na mieście?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 1b7f89dddd

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu w redakcyjnej poczcie listy na temat dyskusji toczonych w naszych ostatnich numerach – o żołnierzach wyklętych oraz stosunkach polsko-izraelskich, a także o problemach pontyfikatu Franciszka.

Debata: żołnierze wyklęci

Witam, e-mail poniższy kieruję do p. Piotra Zychowicza. Przeczytałem, na razie, Pańskie dwie książki – „Obłęd '44" oraz „Skazy na pancerzach" – i jestem pod wielkim wrażeniem, że istnieją Twórcy, którzy piszą w ten sposób o naszej historii. Nie przeżyłem okropieństw wojennych i znam je jedynie z rodzinnych przekazów, jednak w mojej ocenie są one zbieżne z Pańską historyczną interpretacją i oceną. W najbliższej przyszłości mam zamiar zapoznać się jeszcze z następnymi Pańskimi książkami i wierzę, że będę usatysfakcjonowany. Życzę siły i wiary w to, co Pan robi w tych „potarganych" czasach.

Pozdrawiam i ślę ukłony
Jarek Kręcki

Chciałbym w pełni poprzeć Tadeusza Płużańskiego, który zauważa, że atak na żołnierzy wyklętych, jaki przypuścił Piotr Zychowicz, kompletnie nie uwzględnia sytuacji, w jakiej znajdują się Polacy z trudem odzyskujący swą dumę. Wydaje się, że mnożenie spornych kwestii i publikowanie zastrzeżeń w obliczu huraganowego ataku na nasz naród nie służy niczemu dobremu, a brak proporcji w ocenach historycznych to intelektualna nieuczciwość.

Z poważaniem
Janusz Nowak

„Atak na Polskę"

Jestem wdzięczny Państwa Redakcji, że poruszyła problem niefortunnego, noszącego wszelkie znamiona prowokacji, zachowania polskich władz. Poroniona ustawa o IPN (precyzyjnie skrytykowana przez Piotra Zychowicza), kuriozalna wypowiedź Mateusza Morawieckiego na konferencji prasowej w Monachium i kompletnie niedyplomatyczny gest, jakim było – w czasie ostrego sporu na temat roli Polski w czasie II wojny światowej – składanie wieńców przy grobowcu Brygady Świętokrzyskiej pokazują totalną nieudolność polskich władz. Polska racja stanu polską racją stanu, ale to, co wyrabiają prawicowi nieudacznicy, woła o pomstę do nieba.

Mateusz Morawiecki przedstawiany był jako premier, który zdolny będzie poprawić nasze relacje międzynarodowe. Tymczasem okazał się człowiekiem jeszcze mniej obytym niż Beata Szydło. Naprawdę, obserwując rozwój awantury polsko-żydowskiej, trudno nie poczuć wstydu. Nie za Polaków z dawnych lat, ale naszych współczesnych.

Robert Kozłowski

Dziękuję za wielostronne relacjonowanie bitwy o pamięć, jaką Polska toczy z Izraelem i żydowskim lobby w Stanach Zjednoczonych. Szkoda, że niezbyt wnikliwe traktują Państwo przygotowania do drugiego etapu żydowsko-amerykańskiej ofensywy. Radziłbym uważnie śledzić przygotowania sektora bankowego i wszelkiej maści konsultantów, prawników, lobbystów oraz inwestorów do walki o mienie pożydowskie w Polsce. Niech nie uśpią Was zapewnienia o nieszkodliwości ustawy 447, przecież zamieszanie wokół Holokaustu to tylko przygrywka do brutalnej walki ekonomicznej.

Pozdrawiam, licząc na ciekawe artykuły i aktywność dziennikarzy śledczych.

Wierny czytelnik od pierwszego numeru
(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

Decentralizacja Kościoła

Z prawdziwym zdumieniem przyjąłem wydrukowanie w Państwa tygodniku tekstu autorstwa ks. Andrzeja Kobylińskiego („Do Rzeczy" 9/2018), który podążając pogmatwanymi tropami papieża Franciszka, proponuje podział Kościoła katolickiego na wyznające odmienne religie sekty. Kryterium miałoby być geograficzne. [...]

Szkoda, że „Do Rzeczy", mając na pokładzie tak wybornego apologetę jak Tomasz P. Terlikowski, który dawno już krytykował zamieszanie, jakie wywołuje papież Franciszek, publikuje takie głosy.

Z poważaniem
Wojciech Krawczyk

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Edmund Uchymiak/PAP; oprac. graf.: JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 96,5 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 1b7f89dddd

ZDROJOWA HOTELS®

Wakacje przez cały Marzec do 20% taniej

FIRST MINUTE 2018

by ZDROJOWA

KOŁOBRZEG • ŚWINOUJŚCIE • USTRONIE MORSKIE • SZKLARSKA PORĘBA

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

eprasa.pl 1b7f89dddd

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zdrada to zdrada

Wyobraźmy sobie grupę turystów, która postanawia wyjechać w jakiś dziki zakątek gór. Wynajmują bacówkę, mając nadzieje na wspaniałe wyprawy w dziewicze tereny. Problem w tym, że po pewnym czasie okazuje się, iż w okolicy pojawia się banda kryminalistów. Zaczynają grozić turystom, zarzynają ich psa, umiejętnie kumulują atmosferę zagrożenia. W końcu turyści zabarykadowują się w bacówce, mając nadzieję, że bandyci nie zdecydują się na atak. Nadzieja okazuje się płonna. Gang napada na chatkę turystów. W trakcie napadu ginie jedna osoba, a przerażeni turyści odkrywają, że jeden z nich współpracował z bandytami. Znajdował jakiś sposób informowania kryminalistów, kto ma ile pieniędzy i jakie były słabe punkty obrony bacówki. Po dłuższym czasie znęcania się nad przybyszami z miasta bandyci wynoszą się z chatki, ale w zamian wymuszają gwarancje bezkarności.

Jak państwo sądzą? Czy uczestnicy tych strasznych wydarzeń wybaczyliby zdrajcy?

Czemu opowiadam taką historyjkę? Bo po 28 latach od wydostania się Polaków spod władzy ekipy Wojciecha Jaruzelskiego – zdrajcy, który pomógł Sowietom zmiażdżyć polską wolność w 1981 r. – rząd przyjął ustawę dającą możliwość degradacji komunistycznych generałów. Po latach pojawia się realna możliwość zdegradowania gen. Jaruzelskiego i innych architektów stanu wojennego. Nie osądzenia szefa WRON, nie uwięzienia, nie pozbawienia go zrabowanej prawowitym właścicielom willi, ale jedynie zdegradowania.

I – jak to zwykle bywa – już pojawiają się legiony obrońców generała oburzające się, że to zemsta na „żołnierzu", na martwym człowieku, lub kręcące nosem i pytające: „Czy naprawdę nie macie żadnej ważniejszej sprawy do załatwienia?".

Żadna wspólnota nie może być bezpieczna, jeśli ewidentna zdrada jej interesów nie jest dotkliwie karana. Tak było w Polsce w drugiej połowie XVII w., gdy po potopie szwedzkim król Jan Kazimierz wspaniałomyślnie darował zdrady wielu karmazynom. Trudno zapomnieć scenę z „Potopu", gdy Kmicic już po zakończeniu wojny ze Szwedami musi bezsilnie patrzeć, jak książę Bogusław Radziwiłł jedzie ulicami Warszawy w swej bogatej karocy. Dzisiaj wiemy, że ta wielkoduszność króla zachęciła potem rody magnackie do brania łapówek od rosyjskiego ambasadora Repnina w Warszawie. Nieprzypadkowo Jarosław Marek Rymkiewicz w swej książce „Wieszanie" żałuje, że nie doszło do ukarania podczas insurekcji kościuszkowskiej wszystkich zdrajców ojczyzny. Tylko wskutek jednego wystąpienia ludu Warszawy – w niemal rewolucyjny sposób – powieszono parę kanalii, a jedna z nich, w prymasowskich fioletach, uciekła od stryczka, zażywając truciznę.

Po 1989 r. cały chór głosów zachwycał się „dżentelmeńskim" Jaruzelskim i „człowiekiem honoru" Kiszczakiem. A teraz te same osoby będą oburzać się na zdegradowanie Wojciecha Jaruzelskiego.

Ciekawe, jak reagowaliby ci sami ludzie, gdyby osobiście przeszli przez straszne wydarzenia w bacówce i mieliby jeszcze w oczach zdradę jednego z uczestników wyjazdu w góry?

Problem w tym, że zazwyczaj to oni sami kumplowali się z bandziorami z górskiego pustkowia. ©℗

FOT. WIKTOR DĄBKOWSKI/EAST NEWS

JEST NOWY WICESZEF PE

Europoseł PiS prof. Zdzisław Krasnodębski został w ubiegłym tygodniu wybrany na wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego. Był kandydatem konserwatystów. Jego konkurentem do objęcia tego stanowiska był Estończyk Indrek Tarand. Nowy wiceszef PE zajmie miejsce po Ryszardzie Czarneckim (PiS), który został odwołany za to, że porównał europosłankę Różę Thun do szmalcowników po tym, jak ta we francuskiej telewizji mówiła, iż w Polsce niszczy się demokrację, i wieszczyła bliską dyktaturę. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

Rosyjski problem polskiego skandalisty

Zasłynął z ostrych starć na słowa i pięści podczas politycznych talk-show. Tomasz Maciejczuk prawdopodobnie z hukiem kończy swoją przygodę z Rosją

FOT. NARODTV

Jako „polski dziennikarz" (choć nad Wisłą ze świecą szukać jego publikacji w liczących się tytułach) występował w programach publicystycznych, politycznych talk-show, w których zawsze ostro wchodził w spór z rosyjskimi adwersarzami, broniąc polskiego stanowiska. Nie tylko siłą argumentów, ale i argumentem siły. Gdy podczas jednego z takich programów politolog Rusłan Ostaszko stwierdził, że jeśli jeszcze raz któryś z gości nazwie jego dziadków czerwonymi faszystami, to „dostanie po mordzie", na ochotnika zgłosił się Maciejczuk. Ta krótka, „spontaniczna" wymiana ciosów była tylko wstępem do załatwienia porachunków. Panowie postanowili „rozstrzygnąć spór" w bokserskim ringu. W organizacji pojedynku pomógł sam Nikołaj Wałujew, słynny rosyjski bokser. Na punkty wygrał Ostaszko. Biorąc pod uwagę rosyjskiego sędziego i niezwykle nieprzychylną Polakowi rosyjską publikę, Maciejczuk mógłby wygrać jedynie przez nokaut. Zwycięzca odmówił podania ręki przegranemu, przyznając, że „nie jest on tchórzem", ale że „dla takich jak on nie ma miejsca w naszym kraju". Słowa Ostaszki stały się ciałem.

Maciejczuk został zatrzymany przez funkcjonariuszy służb rosyjskiego MSW. Według agencji TASS powodem zatrzymania był zarzut „wzbudzania wrogości między narodami". Przyczyną miało być opublikowanie przez Maciejczuka nagrania, w którym „obrażał" Giwi – prorosyjskiego terrorystę z Donbasu. Według innego źródła chodziło o bójkę z Ostaszką w rosyjskiej telewizji. Co ciekawe, to właśnie Ostaszko poinformował w Internecie o przeszukaniu u Maciejczuka. Tak czy inaczej, na polskiego komentatora znalazł się inny hak. Maciejczuk zameldowany jest w Moskwie, ale wynajmuje mieszkanie pod Moskwą, co jest naruszeniem prawa migracyjnego i grozi deportacją oraz zakazem wjazdu na pięć lat. Rozprawa sądowa w tej sprawie zakończyła się już po zamknięciu tego numeru „Do Rzeczy". ©℗

Maciej Pieczyński

NOTATKA W SPRAWIE USTAWY O IPN

Portal Onet.pl ujawnił, że polska dyplomacja wiedziała, iż przyjęcie ustawy o IPN będzie skutkowało sprzeciwem USA. Mówił o tym 19 stycznia podczas spotkania w MSZ urzędnik odpowiadający w amerykańskim Departamencie Stanu za kwestie dotyczące Holokaustu. Onet opublikował notatkę z tego spotkania, sporządzoną 22 stycznia (cztery dni przed przegłosowaniem ustawy w Sejmie). Wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki powiedział dziennikarzom, że otrzymał ją już po sejmowym głosowaniu. ***(luz)*** ©℗

ZAGADKI ZE ZBIORU ZASTRZEŻONEGO

Jacek Czaputowicz, Adam Michnik i bp Alojzy Orszulik zostali pod koniec lat 80. zarejestrowani przez hiszpański wywiad. Tak wynika z odtajnionych dokumentów ze zbioru zastrzeżonego

Do informacji dotarł portal Onet. Pod koniec 1988 r. funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa włamali się do hiszpańskiej ambasady i wykradli materiały należące do rezydentury madryckiego wywiadu.

Przez trzydzieści lat były one przechowywane w zbiorze zastrzeżonym. Jak się okazuje, materiały te zawierają istotne fakty na temat ważnych postaci polskiego życia publicznego. Jacek Czaputowicz, Adam Michnik, Maciej Stasiński i bp Alojzy Orszulik zostali zarejestrowani przez hiszpański wywiad jako osobowe źródła informacji. Ówczesnym działaczom antykomunistycznej opozycji nadano pseudonimy operacyjne i zapisywano wydatki.

Co istotne, w dokumentach, do których dotarł Onet, nie ma nic, co by podpisali zarejestrowani przez hiszpański wywiad „informatorzy". Możliwe zatem, że cała rejestracja odbywała się bez ich wiedzy i zgody. Poza tym w informacjach, jakie według opublikowanych dokumentów hiszpańskiemu wywiadowi mieli przekazywać m.in. Czaputowicz i Michnik, nie było donosów.

Był za to opis sytuacji pod koniec istnienia PRL, nastrojów panujących w Solidarności, obrad Okrągłego Stołu czy stanu Kościoła katolickiego. Operacją kierowała Fabiola Moreno-Calvo, oficjalnie attaché prasowy, nieoficjalnie – rezydentka hiszpańskiego wywiadu wojskowego CESID. Utrzymywała szerokie kontakty wśród polskich opozycjonistów.

– Oczywiście, nie byłem agentem żadnego wywiadu. Ani hiszpańskiego, ani jakiegokolwiek innego. W tamtym czasie regularnie spotykałem się z wieloma dyplomatami, także hiszpańskimi. Ale tej pani (Moreno-Calvo – red.) w ogóle nie pamiętam. Nic nie mogę poradzić na to, że zarejestrowała mnie bez mej wiedzy i zgody. To groteskowa sytuacja – komentował w rozmowie z Onetem szef MSZ Jacek Czaputowicz. Z kolei Maciej Stasiński przyznał, że znał Moreno-Calvo, dodał jednak: – To, co ona robiła z tym, czego dowiadywała się w Polsce od różnych ludzi, jest poza moją wiedzą. Śmieszy mnie to, że ubierała te kontakty w jakichś współpracowników wywiadu, którzy mają jakieś pseudonimy. ©℗

Maciej Pieczyński

eprasa.pl 1b7f89dddd

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Twarze wasze, zbrodniarze"

Po 11 dniach walki o życie zmarł Paweł Kulczak. Miał zaledwie 37 lat, osierocił troje małych dzieci. 9 lutego na warszawskim Krakowskim Przedmieściu zwrócił uwagę mężczyźnie, któremu przeszkadzały rozstawiane przez policję przed miesięcznicą smoleńską barierki i który ubliżał wulgarnie PiS-owcom. Ten pchnął go trzy razy nożem. Teraz twierdzi, że nic nie pamięta, bo był pijany.

Z aprobatą śledzą akcje swojego „małego sabotażu", od których już tylko krok do agresji fizycznej

Ja pamiętam. Pamiętam wykrzywione nienawiścią gęby Kasprzaka i jego „farmazonów", pamiętam szczujących przeciwko smoleńskim obchodom Maleńczuków i innych celebrytów, pamiętam judzenie Frasyniuka i Wałęsy, polityków „opozycji totalnej" oraz ich wiernych „tefałenów". Zbrodniarz nie wymyślił tego, co wykrzykiwał i co zbulwersowało biednego pana Pawła. Został tymi bluzgami i tą nienawiścią nagrany jak płyta gramofonowa. Oczywiście żaden z wyżej wymienionych nie wcisnął mu noża do ręki i nie nakazał przejść od bluzgów do „akcji bezpośredniej". Dlatego zapewne ci, którzy naprawdę są winni tej zbrodni, do niczego się nie poczuwają. Oni, kolportując kłamstwa o „deptaniu konstytucji" i „zabieraniu wolności", tylko krytykowali.

Że w tej „krytyce" przekroczyli granice szerzenia nienawiści, odczłowieczania politycznego przeciwnika, niedwuznacznego wzywania do agresji („pokojowych protestów PiS się nie przestraszy" itd.) – ha, ha, udowodnijcie to nam przed sądem. Że w tej „krytyce" patrzą z satysfakcją, jak podjudzony przez nich motłoch licytuje się w agresji, że z aprobatą śledzą akcje swojego „małego sabotażu", ataki na biura poselskie, zasprejowywanie tablic z imieniem Lecha Kaczyńskiego, od których już tylko krok do agresji fizycznej… Milczą, ale gdyby ich zmusić do mówienia, powiedzą na pewno, że to PiS jest winien. Przecież gdyby nie wygrał wyborów, nie odebrał im stołków, wpływów i kasy, nie popsuł interesów, nie byłoby powodu do nienawiści.

Zbrodniarz czeka na proces. Może będzie miał szczęście, wylosuje mu się sędzia z jakiejś Iustitii albo innego antypisowskiego stowarzyszenia i wywinie się symbolicznym wyrokiem. Może nie. Prawdziwi sprawcy pozostają poza zasięgiem sprawiedliwości. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dekomunizacja, demokracja

Profesora Włodzimierza M., wieloletnią gwiazdę Wydziału Nauk Politycznych UAM, poznałem pod koniec lat 90. W sądzie toczył się wówczas proces 12 osób, tak jak on oskarżonych o palenie akt poznańskiego PZPR, w tym przygotowanych przez M. analiz dotyczących nastrojów opozycyjnych na uczelniach. Nieudolnie prowadzone postępowanie umorzono po 10 latach, a ten były sekretarz Wydziału Kultury KW PZPR do dziś jako „opiekun prac naukowych" wywiera poważny wpływ na umysły młodego pokolenia. Podobnie jak chociażby dr Dariusz M., TW SB o pseudonimie Leński, robiący karierę – mimo protestów kolegów naukowców – na uczelniach w Poznaniu czy Bydgoszczy. Gdyby dokonać kwerendy podobnych spraw, okazałoby się, że na niemal każdej państwowej – i nie tylko – uczelni znalazły się wygodne synekury dla mniej lub bardziej oficjalnych współpracowników czerwonego reżimu, mających wpływ na życie placówki oraz kształcone tam kadry.

Efekty braku lustracji w uczelniach widać wyraźnie, np. w próbach ograniczania w nich, z przyczyn ideologicznych dyskusji na trudne tematy, w blokowaniu spotkań studentów z niepoprawnymi politycznie (czytaj: konserwatywnymi) naukowcami, publicystami.

Czy rządowy projekt ustawy odbierającej osobom pracującym lub współpracującym z organami bezpieczeństwa PRL możliwość pełnienia stanowisk rektorskich, funkcji dziekana i kierowników katedr coś w tym zakresie zmieni? Diabeł tkwi w szczegółach, zapewne okaże się, że znajdą się kolejni Piotrowicze, „nie tacy źli, bo teraz nasi", albo ktoś uzna, że nie warto otwierać kolejnego frontu. Jednak trzeba spróbować zabrać się do jednej z ostatnich dziedzin, w której choćby szczątkowej lustracji dotąd brakowało. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Brzydka zabawa w insynuacje

Gdyby zrobić listę metod najbardziej niszczących polskie życie publiczne i media, na czele byłaby insynuacja. Ktoś, gdzieś, kiedyś stał obok kogoś, z kimś jest na zdjęciu, gdzieś był, niby nic – ale wiadomo. Co wiadomo? Dokładnie nie wiadomo, ale wiadomo, że brzydko pachnie.

Z jednego z programów publicznej telewizji dowiedzieliśmy się, że w luksusowych lokalizacjach w Warszawie mają mieszkania znani dziennikarze i celebryci. Nic w tym dziwnego czy niezwykłego. Jednak reportaż, który o tym opowiadał, zręcznie wymieszał sprawę kamienicy, będącej obiektem pseudoreprywatyzacji, innej, gdzie nic takiego nie miało miejsca, oraz zabójstwa Jolanty Brzeskiej. Zabrakło choćby śladu dowodu, że któryś ze znanych lokatorów kupował nieruchomość w złej wierze, że dostał specjalną cenę, że był w jakiejś zmowie z czyścicielami kamienic. Słowem – nic, ale smród się rozszedł. Nie trzeba dodawać, że wszystko ładnie mieści się w ulubionej narracji PiS o złych bogaczach z elity i biednych „zwykłych Polakach".

Od dziennikarzy oczekiwałbym, że zrobią, co do nich należy, i pokażą dowody, zamiast bawić się w propagandę

Czy wiemy, że wszystko było w porządku? Nie – ale też nie wiemy, że nie było. Można sobie, owszem, na przykład wyobrazić, że modus operandi gangów zajmujących się pseudoreprywatyzacją polegał na tym, żeby zainteresować kupnem mieszkań znane osoby i w ten sposób zapewnić sobie parasol ochronny. Lecz kupujący nie musieli mieć świadomości, że zostają wciągnięci w szemrany układ. Jeśli faktycznie tak było albo jeśli – co gorsza – kupujący byli w jakiejś zmowie z przestępcami – od dziennikarzy oczekiwałbym, że zrobią, co do nich należy, i pokażą dowody, zamiast bawić się w propagandę.

Nikt nie jest nietykalny i każdy powinien być traktowany identycznie. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że jedynym celem podobnych akcji jest uderzenie w ludzi niebędących zwolennikami obecnej władzy. Uderzenie nie tyle twardym argumentem, jednoznaczną informacją o nieprawidłowościach, ile właśnie insynuacją, niewygodnym zestawieniem w istocie całkowicie odrębnych faktów. Brzydko się bawicie, panie i panowie. I nie zdziwcie się, jeśli kiedyś ta brzydka zabawa odbije się wam czkawką i sami padniecie jej ofiarami. Tyle że wtedy za kamerą będzie stał ktoś inny. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Więcej dystansu

„Widzę znowu święte oburzonko z powodu kabaretu. Dystans nie jest mocną stroną nadwiślańskiego narodu ;)" – napisała Renata Grochal. Rzecz nie dotyczyła jednak entej Biesiady Kabaretowej, ale promowanego od dłuższego czasu przez TVN spektaklu pt. „Pożar w Burdelu. Fabryka patriotów". Być może w Priwislinskim Kraju władze carskiej Rosji miałyby więcej dystansu wobec groteskowego wyszydzania polskiego patriotyzmu?

Niektórym zmiana ustrojów najwidoczniej umknęła. Z tej okazji w rubryce gościnny występ Piotra Kraśki z Instagrama. „A ty? Zabrałeś żonę do Burdelu? I jeszcze pożar był. Genialny spektakl" – odparł uśmiechnięty od ucha do ucha prezenter. Otoczony wianuszkiem znanych i zdystansowanych. A że w ocenie jakości owego show po raz pierwszy w historii nawet Pudelkowi zabrakło słów? Pewnie też mają kołek w tyłku.

Równie twardy kontakt z rzeczywistością zaliczył ostatnio Radek Sikorski. „Właśnie okazałem w PKP ważny bilet wykupiony internetowo. Miła pani konduktor, tłumacząc się rozkazami, uparła się, że muszę okazać także dowód osobisty. Czy ktoś z Państwa wie po kiego grzyba"? – zapytał.

Fakt, że podobne przepisy obowiązują od kilku lat, ominął niedoszłego prezydenta. Osobna kwestia to te rozkazy, które otrzymała konduktor. Otrzymała od kogo? Czy to próba zastraszenia ministra Sikorskiego, którego władza chce odseparować od społeczeństwa? Temat przynajmniej na komisję śledczą.

„Nadawanie »Wiadomości« po angielsku pogorszy i tak niełatwą sytuację Polski. Błagam, wycofajcie się z tego!" – zaapelowała Dominika Wielowieyska i zapewne gdyby mogła, rzuciłaby się Rejtanem na Woronicza. „Wycofajcie się, bo tylko Wieliński, Imielski, Wroński, Stasiński, Berendt, Michnik, Thun, Broniatowski, Cienski, Smolar, Pyzik, Applebaum, Żurawik, Szyndzielorz, Opielka, Kurkiewicz, Kowaluk, Sadurski, Kokot, Gera i inni mogą pisać o Polsce zagranico" – dodała Żelazna Logika. Ja bym jeszcze dorzucił wielkiego nieobecnego tego zestawienia, profesora Jana Tomasza Grossa. W komplecie z Sikorskim, „Pożarem" i wyżej wymienionym gronem całe lata pracowali na niełatwą sytuację Polski. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

JESTEM FAJNA I JUŻ!

Aktorka Marta Bryła stała się znana szerszej publiczności za sprawą głównej roli w serialu „Korona królów". Serialu, który od pierwszego odcinka wywołał ogromne emocje. Że zły, fatalny, że miała być polska „Gra o tron", a wyszło, jak wyszło. My tam serialu bronimy, bo swoją rolę – jako historyczna telenowela, mająca popularyzować historię – jak najbardziej spełnia, reszta to zwykłe czepialstwo. Ale nie o tym chcieliśmy. Otóż Marta Bryła udzieliła wywiadu „Dziennikowi Gazecie Prawnej", w którym to wywiadzie była pytana m.in. o to, czy zabolała ją krytyka serialu i jej gry aktorskiej.
– W ogóle nie przejmowałam się hejtem. To bardziej ludzie przejęli się pojawieniem się takiej fajnej aktorki w serialu – stwierdziła skromnie.
Dopytywana, dlaczego zatem odpowiadała na niektóre krytyczne komentarze, odparła, że chciała w ten sposób „pokazać charakter i siebie". – Osiągnęłam swój cel, bo wzbudziłam jeszcze większe zainteresowanie. Jest bardzo dużo zamieszania wokół mnie, a to jest mile widziane. Wiadomo, że lepiej jak mówią, niż nie mówią wcale – uważa. Po lekturze wywiadu dochodzimy do wniosku, że w rzeczywistości z Martą jest tak samo jak w serialu. Najlepiej wypada wtedy, jak nic nie mówi.

FOT. PAWEŁ GROMADA

DODA I JEJ BUMERANG

Uwaga! Doda postanowiła spożytkować swoje traumatyczne doświadczenia z byłym chłopakiem i chce założyć fundację, która będzie pomagać kobietom pokrzywdzonym przez swoich partnerów. „Kochani! Ruszam z fundacją, która będzie niosła prawną pomoc kobietom, na których mszczą się ich partnerzy. Kobietom, które nie mają pieniędzy ani układów, takich jak oni. Kobietom, które chcą się w końcu uwolnić. Będziemy się wspierać w tej nierównej walce" – poinformowała na swoim Facebooku. Fundacja ma się nazywać „Bumerang, dobro wraca". Popieramy! Jest szansa, że jak się Doda zajmie czymś pożytecznym, nie będzie miała czasu na śpiewanie!

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

KRÓLOWE BAJERU

Magazyn „Viva" umieścił na okładce pięć najbardziej znanych polskich blogerek modowych. W środku magazynu jest piękna sesja „po raz pierwszy razem" i tekst. No właśnie, tekst. Są w nim między innymi wypowiedzi influencerek. A mówią one głównie o tym, jak doszły do miejsca, w którym dziś są. – Jestem wdzięczna losowi. Temu, że tak potoczyło się moje życie. Przecież to nie musiałam być ja. To mógł być każdy! – uważa LittleMooonster96. – Nigdy nie biorę się za coś, czego nie umiem zrobić dobrze. Jeśli chodzi o siebie, jestem bardzo wymagająca – wyznaje Red Lipstick Monster. – Metodą prób i błędów doszłyśmy do tego, co mamy. Nikt nas nie przygotował do tej pracy – dodaje Maffashion. I pomyśleć, że mówią to blogerki modowe, które – przypomnijmy – żyją z wrzucania do Internetu zdjęć w kolorowych fatałaszkach. A brzmią, jakby co najmniej lek na raka wynalazły.

KLĄTWA OKŁADKOWA

Nie dalej jak tydzień temu pisaliśmy o dziwacznym wywiadzie Beaty Tadli i Jarosława Kreta, z którego wynikało, że w ich związku nie dzieje się za dobrze. A tu – bum! „Fakt" donosi, że para właśnie się rozstała! Reporter tabloidu zapytał Kreta, czy nie będzie czuł się zazdrosny, widząc w „Tańcu z gwiazdami" swoją ukochaną w ramionach innego. Odpowiedź pogodynka była zaskakująca: – Ja mam swój własny dom na warszawskiej starówce, Beata ma swój gdzie indziej. Nie chcę wnikać w szczegóły i o tym opowiadać, ale tak wygląda nasze życie. Każdy z nas ma swoje – powiedział. Informacja ponoć najbardziej zaskoczyła samą Beatę, która powiedziała „Faktowi", że musi porozmawiać z Kretem, a zapytana o to, jak układa się ich związek, dodała, że „do tanga trzeba dwojga". Cały ten dramat rozgrywał się podczas prezentacji wiosennej ramówki Polsatu. „Po wszystkim Beata usiadła na końcu sali pełnej celebrytów i dziennikarzy, i najzwyczajniej w świecie rozpłakała się przy wszystkich" – donosi portal Pudelek. Na początku lutego Kret, reklamując okładkowy wywiad w „Vivie", napisał o klątwie okładkowej. „Mówi się, że jest klątwa okładkowa – która para trafi na okładkę, to zaraz się rozpadnie. My już drugi raz... trafiamy na okładkę, czyli klątwa przestała działać" – napisał na Instagramie. Cwany ten Kret. Już wtedy kombinował, jaką by tu wymówkę sobie znaleźć. I wykombinował. Że z klątwą nie wygrasz! ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na ostatnie ataki polskiego rządu na prawdę historyczną zareagowała studentka Magda (19 l.), która napisała do nas poruszający list. Zobaczcie sami:

„Szalom, Redakcjo!

Tym nieco prowokacyjnym pozdrowieniem, za które w tym kraju można oberwać, chciałabym się z Wami przywitać i jednocześnie zwrócić uwagę na poważny problem w relacjach na linii: ten kraj – prawda historyczna – Izrael.

Otósh ja i wszyscy moi znajomi jesteśmy głęboko zasmuceni wznoszącą się w tym kraju falą antysemityzmu i najconalizmu. Jakby mało było Marszu Niepodległości. Teraz moi znajomi frendzi z uczelni ukrywają się w toaletach 24 godziny na dobę, w obawie przed polskim tłumem z widłami i cepami. Widzieli „Pokłosie", to wiedzą, jak tu bywa. Proszą tylko, iżby regularnie dostarczać im hummus i raz dziennie zabrać smartfona do doładowania baterii.

Ja również czuję się dyskryminowana i rozważam emigrację do jakiegoś miejsca, w którym prawda historyczna nie jest tłamszona, a każdy może mówić, co tylko mu się podoba, i nie bać się, że Kaczyński zarzuci mu kłamstwo. Zachodnie, a zwłaszcza amerykańskie uniwersytety, wydają się odpowiednim miejscem. Już rezerwuję bilet, nie ma na co czekać".

Studentka Magda, 19 l.

W innych listach do naszej redakcji dopytujecie, co słychać u nas w korpo. Otósh wstyd trochę o tym pisać, ale okazało się, iż nasz osobopraktykant Alex „ma dziewczynę".

Jakby nie dość było siary w zdaniu „ma dziewczynę", które zakłada, iż waginoosoba jest własnością fallusoosoby (szowinizm i neoliberalizm naraz), to jeszcze zastanawiają się nad tym, iżby wziąć ślub!!!1111 :/

Kolega gej wówczas zapytał, po co im ślub, skoro jest to papierek, który niczego nie zmienia, i jeśli osoby się kochają, to wcale go nie potrzebują. Spojrzeliśmy na niego skonsternowani, na szczęście miał dość refleksu, iżby dodać, iż nie dotyczy to osób LGBTQWERTY, iż w ich przypadku ślub jest to podstawowe prawo człowieka, które jest im odbierane przez konserwatywnie usposobione społeczeństwo.

Widzieliśmy taką interesującą i pouczającą sondę uliczną, w której mieszkańcy tego kraju, młodzi i wykształceni, a także nieco starsi, wykazali się nieznajomością hymnu tego kraju. Jedna z osób odpowiedziała nawet, iż hymnem tego kraju jest „Międzynarodówka". xD

Do czego jednak zmierzamy: skoro hymn nie jest znany, to należy go po prostu zmienić. Nie ma sensu zamęczać ludzi czymś, co ich nie interesuje. Czasy mamy takie, iż Kanada zmienia hymn na neutralny płciowo. A w tym kraju dalej średniowiecze. No popatrzcie sami:

– „Co nam obca moc wydarła, szablą odbierzemy" – a może jednak nie przemocą, a dialogiem? Rozmową? Może jakaś komisja by to rozstrzygnęła? I ta „obca moc" – z daleka czuć pisowską paranoiczną narrację. Pewnie jeszcze Ruscy i Niemcy? I kto – może też np. Austriacy? xD

– „Jak Czarniecki do Poznania..." – uuu, no naprawdę, musimy podkreślać takie detale? Czarniecki? Pigmentalnie uposażony, jeśli już. A w ogóle to nie należy na takie sprawy zwracać uwagi. Zwrotka do zaorania.

– „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Polakami" – a gdzie jest poszanowanie i afirmacja multikulturowości? Jak miałby się poczuć osobouchodźca relokowany z Niemiec do Hrubieszowa, który rzeczywiście musiał przejść przez Wisłę i Wartę?

– „Słuchaj jeno, pono nasi biją w tarabany" – nie wiemy, kim są tarabany, pewnie kolejną dyskryminowaną mniejszością, która spotkała się z przemocą w tym kraju. Niedopuszczalna jest taka narracja.

I jak tu się dziwić, iż osoby nie chcą z takim hymnem mieć niczego wspólnego? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Sensacja w Brukseli! W pierwszym głosowaniu na nowego wiceprzewodniczącego europarlamentu została wybrana wokalistka Adele. Już tłumaczymy: otóż ważne głosowania zwykle odbywają się w Strasburgu, a teraz wicka wybierano w Brukseli. Żeby więc sprawdzić zakurzony, rzadko używany system, zarządzono najpierw głosowanie próbne. I w nim właśnie wygrała Adele. Dopiero potem głosowano na prof. Krasnodębskiego.

Kolejna sensacja – głosowanie właściwe, w którym nowym Richardem Henrym Czarneckim został prof. Krasnodębski, przebiegło nadspodziewanie gładko. Nikt nie tupał, nikt nie gwizdał ani nawet nie rzucał papierowych samolocików. I my to rozumiemy. Gdyby ktoś zachowywał się nieelegancko, prof. Krasnodębski mógłby go skarcić po niemiecku, gdyż zna ten język. A jak wiadomo, w Brukseli nic nie budzi takiego lęku jak perspektywa ochrzanu w języku niemieckim.

Podczas tej samej sesji głosowano nad dwa miliony osiemset dwunastą rezolucją w sprawie czegoś tam czegoś tam przeciw Polsce. Tradycyjnie za rezolucją głosowała silna grupa z PeŁo: Róża Thun, Barbara Kudrycka, Danuta Jazłowiecka, Julia Pitera i Michał Boni. Ponieważ jesteśmy delikatniejsi od Richarda Czarneckiego, nie będziemy porównywali tej piątki z ulicy Barskiej do szmalcowników. Mamy własne określenie: margaryniarze. Jest bardziej eko.

Ponieważ antypolskie zachowania margaryniarzy już nas trochę nudzą, chcielibyśmy raz na zawsze uciąć dyskusję nad tym, czy robią dobrze, czy źle. Posłużymy się słowami autorytetu moralnego, gdyż tylko takich głosów słuchają margaryniarze. „Za niebezpieczne uważam podważanie demokratycznych zasad funkcjonowania naszego państwa, podważanie wiary w Polaków, w naszą demokrację, a za skandaliczne uważam donoszenie na Polskę do instytucji zagranicznych". Tak twierdził w 2014 r. autorytet Radek Sikorski, kiedy PiS mówił w europarlamencie coś o dziwnych wynikach wyborów samorządowych.

Chcieliśmy tradycyjnie napisać, że witamy w rubryce nowego eurowicka, czyli pana prof. Krasnodębskiego, ale nie wiemy, czy witać go oficjalnie. Skądinąd wiemy bowiem, że zamierza zrezygnować z funkcji, jeśli Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uzna, iż Richarda Henry'ego odwołano bezprawnie. Po co więc mamy się witać, skoro zaraz przyjdzie się żegnać?

W dniu, kiedy dokonało się wyniesienie Krasnodębskiego, z europarlamentem oficjalnie pożegnał się Korwin Krul, który w południe rozesłał pożegnalnego e-maila. „I am leaving the European Parliament and heading back to Poland, a country that still guarantees freedom of speech and expression" – napisał w języku lengłydż. Korwin rozczarował nas jednak, bo zakończył swój list zwykłymi życzeniami uczynienia Europy lepszą, zamiast swoim tradycyjnym pozdrowieniem „i niech tę Europę szlag trafi", którym zwyczajowo puentował każde wystąpienie w europarlamencie. Ech, Bruksela… Podłe miejsce. Tu miękną nawet najtwardsi.

Tymczasem w Polsce. Źli ludzie opowiadają, że nowe porządki dosięgną także TVP, a nowym Kurą miałby zostać Jarosław Sellin, wiceminister kultury. Proszę się nie oburzać, że wiceminister. Jest precedens. Za czasów władzy słusznie minionej Juliusz Braun też dwa lata był w ministerstwie, a dopiero potem został prezesem TVP.

Pozdrawiamy dziennikarzy „Rzepy" Hajdabombera, którym udało się ustalić, że w kancelarii nadpremiera Mateusza mówi się o Michale Dworczyku jako kandydacie na prezydenta Warszawy. Ustalili to trzy dni po tym, jak o sprawie napisało „Do Rzeczy". Niestety, tego, że napisało o tym „Do Rzeczy", już się „Rzepie" nie udało ustalić.

Radek Sikorski zdradził, że najadł się wstydu za Polskę. Przynajmniej zrobił to tak, jak zwykł czynić – to znaczy jadł, ale nie płacił

eprasa.pl 1b7f89dddd

Jeszcze w sprawie Warszawy. W ostatnich tygodniach uaktywniła się znów w PiS silna frakcja zwolenników wystawienia wicepremier Bełaty. Oprócz tego swój iście diaboliczny plan knują przeciwnicy wicepremiera Glińskiego, których zdaniem jego awans na kandydata pozwoliłby na zgrabne zwolnienie fotela ministra kultury. Oczywiście nie wierzymy w te plotki. To niemożliwe, żeby wicepremier Gliński miał jakichś przeciwników.

A pamiętają nazwisko „Kowalski"? Andrzej Kowalski to szef Służby Wywiadu Wojskowego powołany jeszcze przez krwawego Antoniego w czasach, gdy był wielkim hetmanem koronnym. Otóż gen. Kowalski po dymisji swego szefa napisał piękne wymówienie. Mario Błaszczak, nowy hetman koronny, długo mu ten krok perswadował, aż wyperswadował. No i generał Andrzej zostaje. A mówią, że nie ma ludzi niezastąpionych.

À propos ludzi niezastąpionych. Tęskniliśmy za Radkiem Sknerusem Sikorskim, więc z radością powitaliśmy jego mowę na Radzie Krajowej PeŁo. Bardzo nam natomiast przykro, że Radek (jak zdradził w mowie) najadł się wstydu za Polskę. Chcielibyśmy jednak zauważyć, że przynajmniej zrobił to tak, jak zwykł czynić – to znaczy jadł, ale nie płacił.

Jeszcze bardziej przykro nam, że Radek ma żonę antysemitkę. Nam nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby publicznie wytykać komuś żydowskie korzenie i mieć pretensje, że je ukrywa. A tak właśnie Anne Applebaum, żona Radka, potraktowała ostatnio żonę prezydenta Andrzeja Sebastiana. Jednak skoro już Anne idzie w tym kierunku, to proponujemy, żeby przestała się obcyndalać, tylko po prostu ogłosiła, że to w ramach akcji „Poznaj Żyda".

Oprócz antysemityzmu szaleje homofobia. Bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że poseł Olszewski Paweł z PeŁo krytykuje w Sejmie Macieja Wąsika, wice-Kamińskiego, za zdjęcie z mężczyzną? W dodatku opatrując swe wystąpienie homoseksualnymi aluzjami?

À propos Wąsika. Do niedawna urzędował on przy al. Szucha. Przyznają państwo, że nie jest to dobry adres dla zastępcy koordynatora służb specjalnych. Mimo że siedziba Wąsika nie znajdowała się w kazamatach gestapo, lecz naprzeciwko. Po sąsiedzku z Trybunałem Konstytucyjnym i Nuncjaturą Apostolską. Teraz adres Wąsika to Aleje Ujazdowskie. Więc jakoś ujdzie.

Jeszcze o przeprowadzkach. Długo, a nawet bardzo długo trwał remont słynnego pałacu Mikołaja Szelechowa przy al. Róż 2 w Warszawie. Za Niemca Franz Kutschera z tego właśnie miejsca wyruszył w swoją ostatnią podróż. Po wojnie rezydował tu krótko sam Bolesław Bierut. Za rządów minionego reżimu pałacyk wpadł w oko jednemu z ministrów sprawiedliwości PO. Zamówiono więc generalny remont pałacyku. Tak generalny, że nie zdołano go skończyć przed upadkiem reżimu.

Teraz wyremontowany pałacyk Szelechowa wpadł w łapy nowej władzy. Ziobro długo się wzbraniał przed przeprowadzką do lokum, które zajmował niemiecki kat Warszawy. Przypomniano mu jednak, że Ministerstwo Sprawiedliwości mieści się w gmachu, w którym była pierwsza siedziba Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, a jego gabinet znajduje się w skrzydle przy ul. Koszykowej, gdzie mieściły się kazamaty bezpieki. Dopiero wtedy ustąpił, wyraźnie jednak zaznaczając, by miejsce pracy urządzić mu z dala od gabinetu, który zajmował Kutschera.

Zamykając temat przeprowadzek. Orlos czy Loten? Zastanawiamy się, jak nazwać nowego paliwowego giganta. Skoro jednak wygrywa opcja, że to Orlen ma wchłonąć Lotos, problem rozwiązuje się sam. Zauważamy w związku z fuzją, że najbardziej będzie to bolało prezydenta Gdańska, bo firmy podatki płacą tam, gdzie są ich główne siedziby. Forsa więc, która płynęła dotąd z Lotosu do kasy miasta wolności, solidarności i platformerskości, będzie teraz płynąć do Płocka. Zastanawiamy się więc nad przeprowadzką. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

Z Anną Marią Anders, senator PiS
rozmawia Marcin Makowski

FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM

Ustawa o IPN była potrzebna

MARCIN MAKOWSKI: Wyobrażam sobie, że dosyć często w ostatnich dniach z ust zagranicznych polityków musiała pani słyszeć pytanie: „Jak to jest z tą waszą ustawą o IPN? Wchodzi w życie, jest zamrożona, a może rząd nie będzie jej stosować?". Co pani wtedy odpowiada?

ANNA MARIA ANDERS: Zgodnie z prawem nowelizacja powinna wejść w życie 1 marca. Prezydent skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, do czego miał pełne prawo, a nawet obowiązek, jeśli miał jakieś wątpliwości. Teraz czekamy na decyzję w tej sprawie.

Jarosław Gowin w zeszłym tygodniu twierdził, że jest przekonany o satysfakcjonującym dla strony izraelskiej wyroku Trybunału. Do czasu jego ogłoszenia ustawa będzie natomiast stosowana w sposób „rozumny". Czyli jaki?

Nie wiem, co miał na myśli premier Gowin. Mam wrażenie, że im więcej wypowiedzi w tej sprawie, tym większy rodzi się chaos. Jeżeli w przestrzeni zaczyna funkcjonować na jakiś temat niezliczona ilość opinii, to później nie można się dziwić, że pewne sprawy są niezrozumiałe. A jeśli my nie rozumiemy tego w Polsce, to jak ma to rozumieć reszta świata? Uważam, że ta ustawa była i jest potrzebna, natomiast w Senacie skrytykowałam jej „timing", który według mnie nie był najszczęśliwszy.

Dlaczego pomimo swoich wątpliwości głosowała pani za ustawą?

Głosowałam za, bo nie kwestionuję konieczności pojawienia się tego rodzaju przepisów w polskim porządku prawnym. Jest polską racją stanu korygować kłamstwa historyczne. My absolutnie potrzebujemy takich narzędzi. W tym sensie całkowicie zgadzam się z autorami ustawy. To nie jest tak, że sformułowania takie jak „polskie obozy" pojawiają się w przestrzeni publicznej sporadycznie. Z tym trzeba walczyć z całą stanowczością. Jedyne, czego żałuję, to to, że wybrano właśnie ten moment na procedowanie przepisów. Zwłaszcza że później rozpoczęła się cała burza, zupełnie nieadekwatnych wypowiedzi płynących wprost od naszych izraelskich partnerów. Wybór obchodów w Auschwitz na czas i miejsce wygłoszenia przemówienia przez panią ambasador Izraela uważam za bardzo niefortunny. A mówienie o tym, że strona polska „neguje Holokaust", to już zupełny absurd.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Skoro jest wina, to musi być winny. Kto pani zdaniem nie stanął na wysokości zadania? Ministerstwo Spraw Zagranicznych? Ministerstwo Sprawiedliwości? Każdy po trochu?

Nie chcę wskazywać nikogo palcem, ponieważ nie uczestniczyłam w pracach legislacyjnych. Zresztą nie chodzi o to, żeby wskazywać jakichś winnych, bo to nie posuwa nas ani trochę do przodu.

Mleko się rozlało. Jednak czy pani zdaniem istnieje możliwość wyciągnięcia wniosków z zaistniałej sytuacji? Jeden z ważnych polityków prawicy już po wszystkim powiedział mi, że nie rozumie, w jakim celu wydajemy dziesiątki milionów złotych na służby, które nie potrafiły ostrzec państwa polskiego przed skalą ataku, który dzisiaj obserwujemy.

Myślę, że istotne jest, aby w przyszłości identyfikować „wrażliwe" ustawy z większym wyprzedzeniem i odbywać szerokie konsultacje międzyresortowe. Jeszcze przed głosowaniem w Sejmie, oczywiście z uwzględnieniem Pałacu Prezydenckiego i kancelarii premiera. Tak brzemiennych w skutkach przepisów nie powinno się „puszczać" w przyspieszonym tempie legislacyjnym. Teraz musimy bardzo dużo rozmawiać z naszymi partnerami i prezentować im nasz punkt widzenia w tej sprawie.

Gdyby mogła pani, przy obecnej wiedzy, napisać nowelizację ustawy na nowo, jak rozłożyłaby pani akcenty?

Nie jestem prawnikiem, ale z głosów, które do mnie docierały, za najbardziej problematyczną kwestię, głównie ze strony amerykańskiej, uważana jest kara trzyletniego więzienia za przypisywanie Polsce zbrodni nazistowskich Niemiec. O ten przepis bym się specjalnie nie biła, ale chcę zwrócić uwagę, że cała debata wokół nowelizacji ustawy o IPN ujawniła coś znaczniej poważniejszego niż problemy z polską dyplomacją.

Co takiego?

Przerażającą skalę braku wiedzy historycznej na całym świecie. Kilka miesięcy temu spotkałam w Polsce amerykańskiego biznesmena, dojrzałego wiceprezesa dużej korporacji. On nawet nie wiedział, że Niemcy wkroczyli do Polski w 1939 r. Mówiłam mu o moim okręgu wyborczym, o ziemi łomżyńsko-suwalskiej, tak doświadczonej deportacjami i terrorem zarówno nazistowskim, jak i sowieckim – na wszystko szeroko otwierał oczy. Nie miał najmniejszego pojęcia, z czym musieliśmy się zmagać. Rezultat tej ignorancji obserwujemy dzisiaj, gdy tak łatwo jest podkręcić nagonkę na nasz kraj, jeśli się nie zna prawdy. Przez dekady komunizmu w Polsce nikt nie mówił również o rosyjskich zbrodniach, ucisku, zsyłkach na Syberię, Katyniu. A tak naprawdę zbrodnie dokonywane na Polakach przez Sowietów pokazują dobitnie, że Polska była ofiarą II wojny światowej.

Kto ma o tych sprawach uczyć, jeśli nie my, Polacy?

To prawda. Kwestia polityki historycznej przez lata była zaniedbywana. Nie przygotowaliśmy zawczasu wytłumaczenia, dlaczego w ogóle podobna ustawa jest nam potrzebna i dlaczego to dla nas tak ważne. A wbrew pozorom nie byłoby to trudne do wyjaśnienia, przecież Izrael ma podobne prawo. Oczywiście można się znowu odwołać do PRL, a potem do lat transformacji, kiedy nikt nie myślał, jak opowiadać o naszej perspektywie historycznej. Takich rzeczy nie da się zrobić w rok czy dwa lata. Być może niektórym w przeszłości wydawało się, że nie musimy tego robić, bo ludzie pamiętają, wiedzą, jak było. To mrzonki. Mój syn studiował w USA na bardzo dobrym uniwersytecie i tam II wojna światowa nawet jako temat pobocznych wykładów praktycznie nie istnieje.

Dużo złego dla wizerunku Polski na Zachodzie zrobiła opozycja. Już na początku rządów PiS jeździli do Brukseli i narzekali na kraj. Dzisiaj zbieramy owoce tego „urabiania" opinii publicznej

W zeszłym tygodniu Anne Applebaum na antenie TVN24 korespondencyjnie się z panią nie zgodziła. Dziennikarka i żona Radosława Sikorskiego stwierdziła, że po części sami stworzyliśmy problem. Jej zdaniem komuś, kto mówi o „polskich obozach śmierci", chodzi jedynie „o miejsce, w którym funkcjonowały", ponieważ „wszyscy na świecie wiedzą, że wybudowali je Niemcy".

Słyszałam tę wypowiedź. I dla odmiany mam pytanie do pani Applebaum: Jeśli ona twierdzi, że choć rozumie uczucia Polaków, używanie przymiotnika „polski" przy obozach świadczy jedynie o ich lokalizacji, to dlaczego nie zrobiła niczego, aby z tym faktem walczyć? Nie słyszałam, aby Anne Applebaum napisała chociaż jeden felieton wskazujący na nieadekwatność używania podobnego zwrotu, szczególnie po tym, jak wypowiedział go prezydent Barack Obama. Dzisiaj jest już na to za późno. Jako inteligentna osoba musi mieć również świadomość, że nie wszyscy wiedzą, co się wtedy działo. I z takiej niewiedzy rodzi się dzisiejsza fala antypolonizmu na Zachodzie.

W czym przejawia się współczesny antypolonizm?

Jego oblicze mogliśmy ujrzeć w filmie przygotowanym przez Fundację Rodziny Rudermanów.

Co pani, jako córka człowieka, który przyczynił się do powstania armii Izraela, czuła, słysząc o „polskim Holokauście"?

Te słowa były dla mnie szokujące. Urodziłam się w Anglii, w rodzinie, która miała wielu żydowskich przyjaciół. Moja mama, która działała w teatrze, ciągle zapraszała jakichś żydowskich artystów. Antysemityzm nie był dla mnie istotnym zagadnieniem, bo po prostu się z nim nie spotykałam. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby zestawiać niemiecki Holokaust ze zbrodniami nielicznych Polaków, którzy ze względu na partykularne interesy albo ze strachu wydawali swoich sąsiadów w ręce okupantów. Nie wiem, jak można dzisiaj tak brutalnie kłamać, zestawiając indywidualne zbrodnie, które działy się również we Francji, w Holandii czy w Szwajcarii, z przypisywaniem narodowi polskiemu udziału w chęci wymordowania całego narodu. Ręce opadają, gdy to widzę, ale nie możemy się w tym momencie poddać. Trzeba iść naprzód i ratować to, co jest dyplomatycznie do uratowania. Jeżeli uda się przekonać Amerykę, że Izrael doszedł z Polską do porozumienia, to temat w dużej mierze będzie zamknięty. Wiemy przecież, jak silne jest lobby izraelskie w amerykańskim Kongresie – trzeba z tymi ludźmi rozmawiać tak samo intensywnie jak z rządem w Jerozolimie.

Tylko że tam sytuacja robi się coraz bardziej skomplikowana. Premier Beniamin Netanjahu oskarżany jest o korupcję, na horyzoncie wybory...

eprasa.pl 1b7f89dddd

A jego najpoważniejszy rywal – Yair Lapid – prezentuje postawę wyraźnie antypolską. Dlatego powinniśmy zachować daleko idącą ostrożność i nie eskalować sporu. Wiem, że minister Marek Magierowski przebywa w tej chwili w Waszyngtonie i prowadzi intensywne rozmowy z naszym sojusznikiem. Niedługo delegacja rządu leci do Izraela. Sztuka polega na tym, żeby ustępując na krok, nie ustąpić w walce o dobry wizerunek Polski i prawdę historyczną. Przez dwa lata mojej pracy w rządzie naprawdę udawało mi się ten wizerunek w Stanach Zjednoczonych poprawić. Mamy z USA najlepsze stosunki od lat. Nie można tego zaprzepaścić.

Jak pani zdaniem wyjść z tego impasu?

Nie możemy skupiać się na tym sporze. Musimy za to pokazywać pozytywne strony naszych relacji z USA czy Izraelem. Niedawno odbył się Polsko-Amerykański Szczyt Przywództwa w Miami, który uważam za bardzo udany. Dlaczego? Ponieważ mówiliśmy o gospodarce, rynku energetycznym, obronności – czyli o wszystkim, co buduje silny i realny sojusz. W tej chwili prowadzę zaawansowane rozmowy gospodarcze z Teksasem, Oklahomą, Georgią i Nevadą. Musimy doprowadzić do tego, aby na pierwszej stronie jakiejś gazety zamiast kłótni o obozy pojawiła się pozytywna informacja o Polsce, w której siedzibę otwiera jakiś wielki amerykański koncern albo w której rozwijają się izraelskie start-upy. Wszyscy nasi wrogowie korzystają z tej okazji, aby poprzez ustawę o IPN wskazać na kontekst unijny, czyli rzekomy brak demokracji w naszym kraju. Nie możemy pozwolić na taką narrację, zwłaszcza że jest ona całkowicie nieprawdziwa.

Na ile to efekt błędów rządu, a na ile niechęci do Polski albo podkręcania tej narracji przez radykalniejszą część opozycji?

To nie ma nic wspólnego z kwestią żydowską, ale na początku dużo złego dla wizerunku Polski na Zachodzie zrobiła opozycja. Niezadowoleni z utraty władzy politycy już na początku rządów PiS jeździli do Brukseli na pielgrzymki i narzekali na kraj. Dzisiaj zbieramy owoce tego „urabiania" opinii publicznej. Można mieć swoje zdanie, wyrażać swoje poglądy, ale jednak są granice. Poza tym powiedzmy to sobie wprost: wielu wpływowym środowiskom na świecie zależy na tym, aby Polska nie była silnym krajem, i nie będą żałować pieniędzy, aby ten cel osiągnąć. Do tego dochodzą media, które – jak wiadomo – na świecie głównie reprezentują interesy lewicy. Naprawdę jestem w szoku, gdy obserwuję niektórych naszych europosłów oraz słucham tego, co mówią o Polsce. Ja tego absolutnie nie rozumiem. Jestem córką mojego ojca, który tak kochał ojczyznę, tak był wobec niej lojalny, że mówił wszystkim, iż najważniejszą rzeczą dla niego to być Polakiem. „Nikt nie kocha swojego kraju tak jak Polak" – powtarzał. A jaka to jest miłość do Polski, jeżeli oni nie mogą się wstrzymać, aby głosować za sankcjami wobec naszego kraju? Jeśli z kilku bannerów na Marszu Niepodległości wyciąga się wnioski, że właściwie mieliśmy do czynienia z manifestacją dziesiątków tysięcy nazistów? Przecież to nieprawda. Ja bym tego nigdy w życiu nie zrobiła, bez względu na to, kto by akurat rządził. Nasze problemy powinniśmy rozwiązywać w kraju, a nie na arenie międzynarodowej.

Senator Anna Maria Anders odbyła serię spotkań z wpływowymi politykami USA. Na zdjęciu: z senatorem Johnem McCainem FOT. ARCHIWUM ANNY MARII ANDERS

Wracając do wspomnianego pozytywnego przekazu o naszym kraju, czy pani zdaniem Polska Fundacja Narodowa dobrze realizuje powierzoną jej misję?

Niestety, zgadzam się z głosem tych, którzy wskazują, że PFN mogła odegrać w tym sporze znacznie większą rolę. Nie widać dostatecznych efektów pracy fundacji, a o efekt przecież tu chodzi. Pieniądze, którymi dysponuje, mogłyby być przeznaczone na bardzo ważne i potrzebne cele, np. hollywoodzki film o Polsce, kursy historyczne czy duże przedsięwzięcia promocyjne. Mam nadzieję, że to się poprawi, bo sama

eprasa.pl 1b7f89dddd

koncepcja utworzenia PFN jest bezdyskusyjnie słuszna.

Niektórzy politycy i dziennikarze twierdzą, że w Polsce rośnie fala antysemityzmu. Rzecznik PO Jan Grabiec stwierdził na Twitterze, że gdyby wykluczyć z szeregów PiS polityków antysemickich, nie byłoby z kim wystartować do wyborów. Senator Waldemar Bonkowski został zawieszony w prawach członka partii po udostępnieniu na swoim FB niemieckiego filmu propagandowego z getta w Warszawie. Czy problem jest realny?

Słyszałam, że ponoć wszyscy w Prawie i Sprawiedliwości są skrytymi antysemitami. To kompletna bzdura! Na całym świecie występują problemy antysemityzmu czy ksenofobii. W Polsce, według europejskich statystyk, jest to problem znacznie mniejszy niż w Niemczech czy we Francji. Tylko w tej chwili bardzo łatwo oskarżać swoich przeciwników o antysemityzm i niektórzy z tego korzystają. Współpracuję z panem premierem i rządem dlatego, że są patriotyczni i są za Polską, a nie przeciwko komuś. Mojego ojca też kiedyś posądzali, ale o faszyzm… To takie wytrychy intelektualne, gdy brakuje argumentów. Premier Morawiecki wyraźnie powiedział, że antysemityzm nie może być tolerowany. W podobnym duchu wypowiedział się prezes Kaczyński.

Czy pani zdaniem jesteśmy przygotowani na to, co nadchodzi? Mowa o rocznicy Marca '68, a później powstania w getcie warszawskim. Czy jako państwo otrząsnęliśmy się już po pierwszym szoku dyplomatycznym?

Na pewno nie będzie łatwo, bo zawsze mogą pojawić się głosy próbujące narzucić nam pewną narrację. Musimy być świetnie przygotowani do tłumaczenia naszej perspektywy historycznej oraz obrony racji stanu. Jeżeli teraz nie uspokoimy atmosfery, to kryzys rozleje się nam na kolejne miesiące, a my go powinniśmy zamknąć i iść dalej. 11 marca lecę z kombatantami armii gen. Andersa do Izraela, będzie nam towarzyszyć także – symbolicznie – 10 Sprawiedliwych. To jest dla mnie właśnie ta dobra narracja i często poprzez takie konfrontowanie ludzi z historią jesteśmy w stanie zmienić ich myślenie o Polsce. Przecież podobnie było z senatorem Johnem McCainem, który swego czasu podpisał list „o stanie demokracji w Polsce". Umówiłam się z nim na spotkanie i zapytałam: „Dlaczego?". Wie pan, co mi odpowiedział?

Chyba się domyślam.

Stwierdził, że nie do końca ma ogląd tego, co się dzieje w Polsce, ale zewsząd słyszy negatywne opinie, dlatego wyraził swój sprzeciw. Kiedy spotkaliśmy się następnym razem, rozmowa wyglądała już zupełnie inaczej. Nam często brakuje lobbystów sprawy polskiej na świecie, a przede wszystkim w USA. Robiliśmy na tym polu przez lata za mało. Teraz bardzo staram się to zmienić. Dużo rozmawiam z panem ambasadorem Piotrem Wilczkiem, który również stara się przedstawiać Polskę taką, jaką ona jest, bez półprawd i zwykłych kłamstw. Nie możemy pozwolić, by zwyciężały stereotypy, nie możemy się dać opanować niemocy. Również w Ameryce istnieje ignorancja na temat spraw naszego kraju. Jakiś czas temu senator Richard Durbin pytał mnie o prawa kobiet w Polsce, dociekając, czy w ogóle w polskim parlamencie są kobiety, czy przestrzega się praw człowieka. Nieprawdopodobne pytania. Gdy wspomniałam o brexicie, on nagle odparł, że to smutna sytuacja, bo raptem Brytyjczycy znajdą się bez hydraulików i elektryków. Tymczasem Polonia to dziś ogromna liczba ludzi fenomenalnie wykształconych, mających wpływ na gospodarkę i politykę.

Anna Maria Anders z gubernatorem Nevady Brianem Sandovalem FOT. ARCHIWUM ANNY MARII ANDERS

A może po prostu niedostatecznie często używamy argumentów, które są na wyciągnięcie ręki? Wspomniała pani o wyjeździe do Izraela z weteranami armii gen. Andersa. Przecież szeregi 2. Korpusu Polskiego – za zgodą dowódców – opuściło podczas wojny ponad 3 tys. żołnierzy pochodzenia żydowskiego. To oni później tworzyli armię swojego kraju. Czy w Jerozolimie i Tel Awiwie wiedzą cokolwiek na ten temat?

Kiedy byłam tam w zeszłym roku, zdziwiłam się, jak wiele pamiątek po żołnierzach mojego ojca znajduje się nadal w Izraelu. Niestety, nie przekłada się to na świadomość społeczną. Przecież jednym z żołnierzy armii Andersa był m.in. późniejszy premier Izraela i pokojowy noblista Menachem Begin. Staram się w tej chwili, aby w rocznicę powstania państwa Izrael pokazać wystawę „Szlakiem nadziei", dokumentującą losy tamtych ludzi. Pytałam o to na jakimś przyjęciu ambasador Annę Azari, na co ona odparła, że „przecież wszyscy wiedzą" o Andersie. Ewidentnie nie wszyscy, a jeśli już wiedzą, to bardzo mało. Przecież nawet izraelski minister ds. komunikacji, gdy odwiedził Warszawę, był wyraźnie zdziwiony, gdy pokazałam mu dom, w którym mieszkał Begin. Tutaj jest ogromna praca do zrobienia. Szacuje się, że co trzeci z żołnierzy 35-tysięcznej armii Izraela w 1948 r. pochodził z Polski albo był przeszkolony przez wojsko polskie. Trzeba o tym głośno przypominać. Jednak też wychodzić dalej, poza historię.

Czyli?

Skorzystać z okazji, która nadarza się raz na sto lat. Obecnie jesteśmy w przededniu obchodów okrągłej rocznicy polskiej niepodległości. Wykorzystajmy ten czas do pokazania, jak wielkie postępy jako kraj poczyniliśmy. Jak podnieśliśmy się po wojnie, okupacji, komunizmie. Jak fenomenalnie odbudowaliśmy nasze państwo. Mam wrażenie, że nadal nie potrafimy się z tego faktu cieszyć i go docenić. Jesteśmy nastawieni na celebrację klęsk, a to moim zdaniem błąd. Zamiast tego powinniśmy organizować wydarzenia kulturalne, bale – w takie święto radość to nasz obowiązek. Mój ojciec zawsze powtarzał: „Odrzućmy wszystko, co nas dzieli. Weźmy wszystko, co nas łączy". Szczególnie dzisiaj musimy sobie wziąć jego przesłanie głęboko do serca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Anna Maria Anders – senator, sekretarz stanu w KPRM, przewodnicząca Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Córka gen. Władysława Andersa.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Poland Daily

11:20 PM & 2:50 AM (Warsaw time)
5:20 & 8:50 PM (Eastern Time, US)

From now on, watch everyday news from Poland in English - "Poland Daily" on Telewizja Republika.

Watch "Poland Daily" on our website at your convenience: www.telewizjarepublika.pl
Free and 24/7

Nowy, angielskojęzyczny program informacyjny "Poland Daily".
Od poniedziałku do niedzieli na antenie Telewizji Republika .
Po raz pierwszy w Polsce! Niezależne i rzetelne źródło informacji o Polsce dla widzów i dziennikarzy z zagranicy.

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 1b7f89dddd

Łukasz Warzecha

Za mgłą

Katastrofa smoleńska w końcu ulegnie banalizacji. Stanie się tylko jeszcze jednym czynnikiem w wojnie politycznej

Wyobraźmy sobie, że informacje o nowych nagraniach z Okęcia z nocy z 9 na 10 kwietnia 2010 r., na których widać, jak ktoś krąży wokół rządowego tupolewa, wychodzą na jaw pięć lat temu, cztery czy nawet trzy. Pewnie wywołałyby spore poruszenie. Dzisiaj – mimo intensywnej promocji w prorządowych mediach – zginęły wśród innych spraw.

Na stronach internetowych podkomisji smoleńskiej, nad którymi kierownictwo objął po swojej dymisji z MON Antoni Macierewicz, jest komunikat z 2 lutego pod sensacyjnym tytułem „Przełom w sprawie śmierci prezydenta Polski w Rosji w 2010 r.: Uznany brytyjski ekspert stwierdził, że doszło do wewnętrznej eksplozji". Czytamy w nim: „Na podstawie szczegółowej analizy wielu dokładnych fotografii oraz po zapoznaniu się z rezultatami badań powstałych w wyniku wielu tysięcy godzin prac Polskiej Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Katastrofy Smoleńskiej Frank Taylor powiedział: »Nie ma wątpliwości, że eksplozje miały miejsce«, że zniszczenie lewego skrzydła »nie mogło być spowodowane jakąś kolizją z brzozą«, a »wstrzelenie do ziemi lewych drzwi pasażerskich nie mogło nastąpić w normalnej katastrofie samolotu uderzającego w ziemię ze zwykłą prędkością«".

I co? I nic. Kolejna, nie wiadomo która, „przełomowa" informacja, podobnie jak dziesiątki innych, ogłaszanych przez lata choćby na okładkach „Gazety Polskiej", nie wywołuje już większego zainteresowania. I to chyba najlepiej ilustruje zmianę nastawienia do kwestii katastrofy smoleńskiej.

W styczniu „Rzeczpospolita" przeprowadziła sondaż, zadając pytanie: „Czy uważasz, że powodem katastrofy było zderzenie samolotu z brzozą?". Pytanie, trzeba przyznać, dość ostrożne, bo przecież odpowiedź przecząca nie oznacza od razu, że katastrofa nie była zwykłym wypadkiem i że w Smoleńsku doszło do zamachu. Tymczasem twierdząco odpowiedziało niemal tyle samo osób co prze-

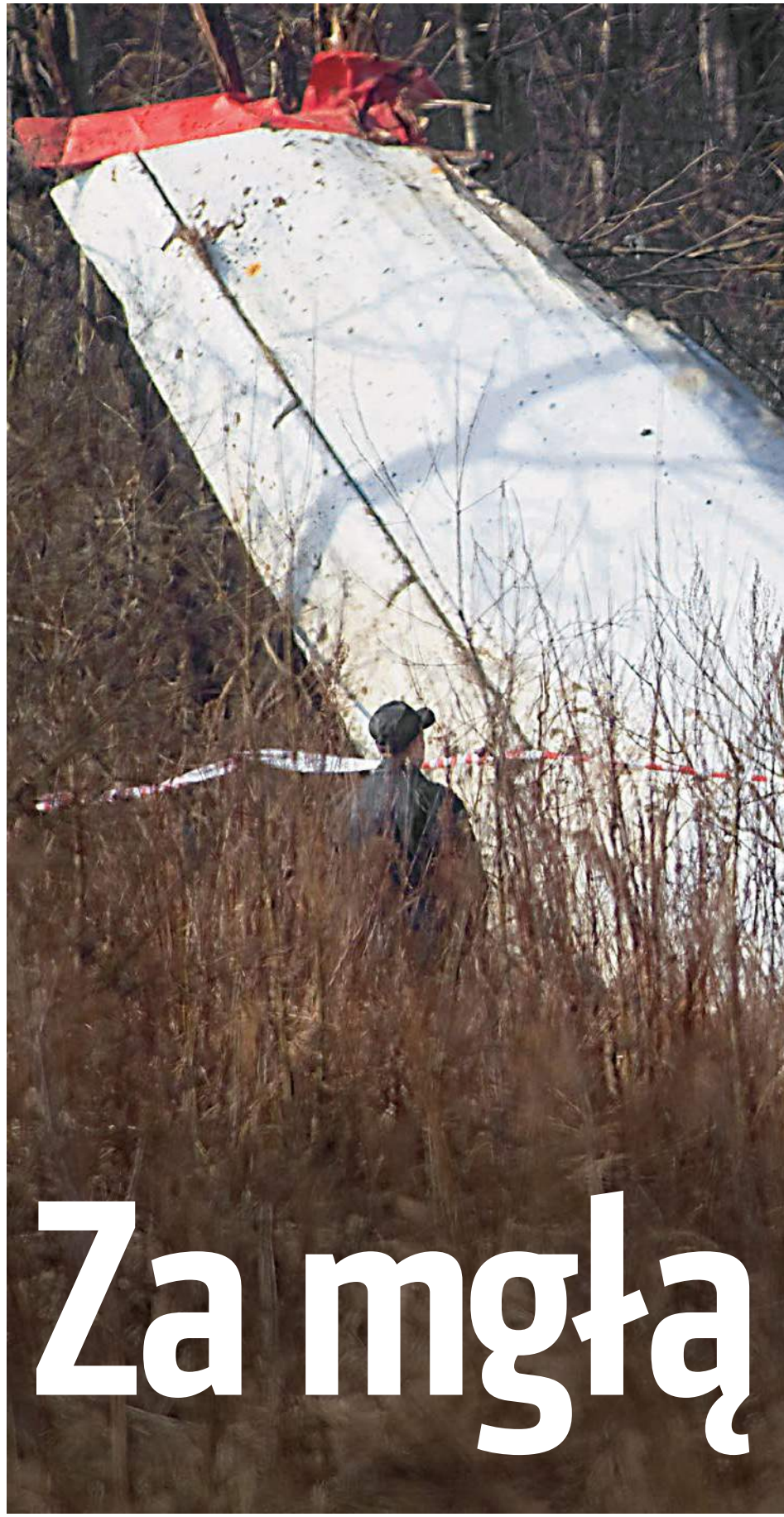

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. RIGA MONTI/REPORTER

cząco: odpowiednio 35,8 oraz 36,1 proc. 28,1 proc. nie miało zdania. To prawie równy podział na trzy części, przy czym ta najmniejsza może w sobie zawierać nie tylko smoleńskich agnostyków, czyli tych, którzy uważają, że nie są w stanie wydać żadnego definitywnego osądu, lecz także tych, którzy są wyjaśnieniem katastrofy najzwyczajniej niezainteresowani. Dla których jest ona coraz mniej istotnym zdarzeniem z przeszłości.

Przy okazji rocznicy katastrofy w 2017 r. „Rzeczpospolita" zleciła sondaż, w którym pytała wprost, czy respondenci uważają, że przyczyną katastrofy był zamach. Wówczas rezultat nie pozostawiał wątpliwości: przecząco odpowiedziało aż 55,7 proc., twierdząco – 18,9 proc., zdania nie miało 25,4 proc., czyli niewiele mniej niż w styczniowym badaniu. Oznaczałoby to, że zwolenników teorii o zamachu jest wyraźnie mniej niż zwolenników Prawa i Sprawiedliwości.

Jak to wyglądało kilka lat temu? W 2012 r. „Gazeta Wyborcza" zamówiła sondaż dotyczący przyczyn katastrofy. Odpowiedzi były zróżnicowane. 32 proc. wskazywało na błędy rosyjskich kontrolerów lotu (bez sprecyzowania, czy były to błędy celowe), 28 proc. – na błąd pilotów, 27 proc. – na błędy w organizacji lotu popełnione po polskiej stronie, 22 proc. – na presję zwierzchników pilotów, żeby koniecznie lądować. 18 proc. mówiło o zamachu, 13 – o awarii samolotu, 16 – sygnalizowało agnostycyzm.

A przecież im więcej mija czasu, a twarde dowody w postaci wraku samolotu stają się prawdopodobnie całkowicie bezwartościowe, tym trudniej sobie wyobrazić, by bez jakiejś interwencji typu „deus ex machina" zagadka się rozwiązała.

UŁUDA

Co byłoby taką interwencją na zasadzie „deus ex machina"? Zwolennicy tezy o zamachu marzą o rozstrzygającej informacji z zagranicy – albo z któregoś z ośrodków współuczestniczących w badaniu katastrofy, albo, jeszcze lepiej, od Amerykanów, którzy przecież – zdaniem niektórych – muszą ponad wszelką wątpliwość wiedzieć, co się w Smoleńsku wydarzyło. Inny wariant „boskiej" interwencji, niemal całkowicie nieprawdopodobny, to obszerne i szczere wyjaśnienia strony rosyjskiej. Coś na wzór przyznania się Moskwy do zbrodni katyńskiej za rządów Jelcyna.

Tyle że oba te warianty to ułuda. Katastrofa smoleńska tkwi w tak skomplikowanym świecie wielokrotnie odbijających się nawzajem luster, że nawet gdyby z któregoś z tych ośrodków popłynęła taka czy inna informacja – że zamach był lub że go nie było – po tylu latach nie miałoby to żadnego znaczenia. Po pierwsze – każda ze stron sporu, dla których Smoleńsk jest wciąż ważną sprawą, jest tak przywiązana do swojego paradygmatu, że gotowa będzie zaakceptować jedynie zgodną z nim informację, niezgodna zaś zostanie z miejsca zdyskredytowana. Nie istnieje żadna nadrzędna instancja, która zostałaby uznana przez wszystkich. Po drugie – nawet najbardziej trzeźwo i nieemocjonalnie patrzące osoby nie będą w stanie stwierdzić, czy taka informacja nie byłaby częścią jakiejś skomplikowanej politycznej gry, trwającej ponad naszymi głowami. A więc byłaby z definicji niewiarygodna.

A może jest tak, że wszystkim obecna sytuacja pasuje, powalając trwać wygodnie przy własnej wersji wydarzeń? Przecież katastrofa smoleńska niemal natychmiast stała się integralną częścią gwałtownego sporu politycznego przy współudziale obu jego stron i upływ czasu niczego nie zmienił, może poza spadkiem intensywności emocji z tym związanych oraz ograniczeniu ich do twardych części przeciwnych obozów. Ostateczne, przekonujące wyjaśnienie musiałoby oznaczać upadek wersji którejś ze stron, a tym samym zniknięcie jednego z tematów, pozwalających utrwalać zabójczy dla życia publicznego, ale wygodny dla zwaśnionych armii twardy podział.

ZAOGNIANY PODZIAŁ

Sprawa pomników, które staną w ciągu najbliższych miesięcy na przejętym przez rząd pl. Piłsudskiego, zawiera w sobie ten fatalny paradoks. Można uznać, że obie strony grały tutaj w tę samą niedobrą grę. Przedstawiciele PiS świetnie wiedzieli, że za rządów Hanny Gronkiewicz-Waltz nie uda im się umieścić pomnika ofiar katastrofy na Krakowskim Przedmieściu, a pomnika Lecha Kaczyńskiego – gdziekolwiek w przestrzeni publicznej. Hanna Gronkiewicz-Waltz świetnie wiedziała, że przynajmniej ten pierwszy pomnik powinien znaleźć swoje miejsce przy głównej ulicy miasta, ale wiedziała też, iż nie może ustąpić. PiS z kolei mógł poczekać z decyzjami o budowie pomnika na

eprasa.pl 1b7f89dddd

wynik wyborów samorządowych, które przecież teoretycznie może w stolicy wygrać. Zamiast tego wojewoda przejął najbardziej reprezentacyjne miejsce w stolicy pod pretekstem zapewnienia bezpieczeństwa podczas państwowych uroczystości, po czym – wbrew początkowym deklaracjom polityków PiS, że absolutnie nie chodzi o postawienie tam pomnika – właśnie pomnik zaczęto budować. Co więcej, z najnowszych deklaracji polityków partii rządzącej można wywnioskować, że zaraz obok stanąć ma pomnik Lecha Kaczyńskiego, dorównujący wielkością pomnikowi Józefa Piłsudskiego. I o ile w sprawie pomnika wszystkich ofiar katastrofy pojawiają się nawet z przeciwnej strony sporu głosy zrozumienia i umiaru, o tyle trudno tego oczekiwać w tym drugim przypadku.

Czyli wszystko po staremu: oba zwaśnione obozy będą mogły śmiało żerować na świeżo zaognionym podziale, tym razem wokół pomników, zwłaszcza pomnika Lecha Kaczyńskiego. Już dziś można sobie wyobrazić, jak „bohaterscy" bojówkarze jakiejś antyrządowej jaczejki będą obrzucać statuę farbą, żeby potem politycy PiS mogli odbębnić swoją część rytuału biadań nad podziałem, agresją i zdziczeniem przeciwników. Do tego dołączy opozycja, mówiąc o zawłaszczaniu przez PiS przestrzeni oraz stosowaniu przemocy symbolicznej i wszystko będzie się kręcić w chocholim tańcu.

Pozostaje pytanie, czy PiS, przejmując kontrolę nad pl. Piłsudskiego i decydując o budowie w jego obrębie pomników, przez sporą część warszawiaków odbieranych jako gra symbolami na własny polityczny rachunek, nie zmniejszył znacząco swoich szans na zwycięstwo w wyborach prezydenta stolicy. Jeśli ta sprawa nie stanie się jednym z głównych wątków kampanii wyborczej, to można będzie uznać, że przestała budzić emocje i zmieniła się w skostniały rytuał.

NIEWYJAŚNIONY PARADOKS

W opowieści o katastrofie smoleńskiej zawiera się jeszcze jeden paradoks, do dziś niewyjaśniony przez stronę opowiadającą się za teorią udziału zewnętrznych sił. Wkrótce po katastrofie pojawiły się dwa wątki wyjaśnień, w teorii ze sobą niesprzeczne, a jednak trudno akceptować je łącznie. Jeden to ten o zamachu lub przynajmniej celowym działaniu Rosjan, którzy być może chcieli tylko uniemożliwić lądowanie samolotu z polską delegacją, ale osiągnęli dalej idący skutek. Drugi to wątek organizacji wizyty po polskiej stronie w połączeniu z sytuacją w specjalnej jednostce wojskowej, odpowiedzialnej za transport najważniejszych osób w państwie.

Otóż jeśli przyjąć, że w Smoleńsku doszło do zamachu, to drugi zbiór przyczyn nie miał znaczenia. Samolot rozbiłby się niezależnie od obstrukcji ze strony kancelarii premiera czy fatalnej organizacji pracy w nieistniejącym już 36. Specjalnym Pułku Lotnictwa Transportowego. Z drugiej strony, jeśli założyć, że postępowanie urzędników Tuska i sytuacja w 36. Pułku miały znaczenie, uprawdopodobnia to hipotezę o zwykłej katastrofie lotniczej. Jak jedno ma się do drugiego – nigdy nie wyjaśnili ani Antoni Macierewicz, ani Jarosław Kaczyński.

Ogromną pracę dziennikarską w sprawie wojskowego wątku katastrofy wykonali Paweł Reszka i Michał Majewski. Jeszcze w maju 2010 r. pisali w „Rzeczpospolitej": „Kto dopuścił do tego, że w elitarnym pułku najbardziej doświadczonymi kapitanami byli oficerowie ze stażem dowódczym mniejszym niż dwa lata? [...] Arkadiusz Protasiuk, choć spędził ledwie 445 godzin jako dowódca Tu-154M, był najbardziej doświadczonym pierwszym pilotem tego samolotu w całym pułku". O tych ustaleniach dziennikarzy śledczych obie strony wolą dziś zapomnieć. Z jednej strony bowiem kompromitują one ówczesną ekipę MON z Bogdanem Klichem na czele, z drugiej – upadałaby hipoteza o tym, że katastrofa była w istocie zamachem.

Wbrew pozorom miesięcznice smoleńskie nigdy nie miały charakteru stricte religijnego. Zawsze były wiecami politycznymi

Kilka miesięcy temu Jarosław Kaczyński zapowiadał, że 96. miesięcznica smoleńska, przypadająca w kwietniu tego roku, będzie prawdopodobnie ostatnia: „Idziemy do przodu. Staną tu niedaleko pomniki i będziemy znali prawdę. Słyszymy nowe komunikaty podkomisji. Wierzę, że na ósmą rocznicę usłyszymy ostateczną prawdę, niezależnie, jaka będzie. Wtedy będziemy mogli powiedzieć po 96 marszach, że kończymy, że zwyciężyliśmy".

BEZ PRZEŁOMU

W ciągu dwóch lat działania podkomisji, kierowanej obecnie przez Antoniego Macierewicza, nie pojawiły się żadne naprawdę przełomowe wnioski. Czy raport, który mamy poznać w kwietniu, spełni kryterium „ostatecznej prawdy", o którym wspominał Kaczyński? Trudno tego oczekiwać. Chyba że słowa „niezależnie, jaka będzie" należy odczytywać jako gotowość do zaakceptowania nawet takiej konkluzji, że niczego nie możemy być pewni, a jednoznaczne określenie przyczyn katastrofy nie jest możliwe.

Czy jednak faktycznie miesięcznice się skończą? Wbrew twierdzeniom polityków PiS te zgromadzenia nie miały nigdy charakteru stricte religijnego. Zawsze były wiecami politycznymi, szybko stając się swoistym rytuałem najtwardszej części elektoratu PiS. To na nich Antoni Macierewicz był fetowany równie gorąco jak Jarosław Kaczyński. Logika obecnej władzy nie zakłada zakończenia „stanu oblężenia". Przeciwnie – utrzymywanie elektoratu i działaczy w przekonaniu, że taki stan jest w zasadzie permanentny, wydaje się stałą metodą sprawowania rządów. Istotną rolę odgrywają tu właśnie miesięcznice z protestami Obywateli RP i innych podobnych struktur oraz z odgradzającymi ulicę barierkami, symbolicznie potęgującymi poczucie oblężenia, podziału, konfrontacji z „tymi złymi po drugiej stronie". To znów wygodne dla obu obozów. Dlatego w maju może się okazać, że stan oblężenia nie minął, upragniona prawda wciąż jest daleko i miesięcznice nadal są potrzebne.

Jak w przypadku wielu spraw, które dla coraz większej części elektoratu są zamierzchłą przeszłością, tak i katastrofa smoleńska ulegnie banalizacji. Chociaż w istocie była jednym z najważniejszych – jeśli nie najważniejszym – wydarzeń w historii III RP, to zostanie już wkrótce sprowadzona do roli zrytualizowanego, niemal beztreściowego czynnika w wyniszczającej wojence politycznej. Jednego z wielu. A pamiętajmy, że ludzie, którzy będą mogli głosować po raz pierwszy w najbliższych wyborach parlamentarnych, w momencie upadku rządowego tupolewa mieli po dziewięć, dziesięć lat. Dla nich to prehistoria. Jeszcze jedna pałka, którą politycy okładają się po głowach, zamiast zająć się tym, do czego obywatele ich wynajęli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI
"ANALFABET III RP"
"KRETA SUBIEKTYWNIE"

Cena: 146 zł
Oszczędność: 113zł

+

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 1b7f89dddd

Nietykalny z Izraela

Baruch Schub vel Shub przemawiający w instytucie Yad Vashem podczas uroczystości upamiętniającej zwycięstwo aliantów nad hitlerowskimi Niemcami, 9 maja 2012 r. FOT. NIR ALON/ALAMY/BE&W

Wojciech Wybranowski

Kiedy były bojownik sowieckiej partyzantki mieszkający w Tel Awiwie domagał się od Polski uprawnień kombatanckich i świadczeń finansowych, odkryto, że był członkiem „zgrupowań" uczestniczących w mordzie Polaków i Litwinów. Dlaczego IPN wyciszył tę sprawę i nie trafiła ona do prokuratury?

Ta historia, która zaczęła się jesienią 2016 r., nie wystawia dobrego świadectwa urzędnikom państwa polskiego mającym odpowiadać za politykę historyczną, tropić sprawców i wyjaśniać okoliczności zbrodni wojennych popełnionych na Polakach i Litwinach zamieszkujących w czasie II wojny światowej tereny II Rzeczypospolitej.

POCZTA Z IZRAELA

Zaczęło się od listu z Tel Awiwu, który 23 listopada 2016 r. wpłynął do Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. To pismo od Barucha Schuba. Kilka zapisanych ręcznie kartek wraz z wnioskiem o przyznanie mu statusu kombatanta i – co za tym idzie – niewielkiego świadczenia finansowego. Schub urodzony w marcu 1924 r. wspomina w nim pobyt w getcie w Wilnie, ucieczkę, śmierć siostry, ponowną ucieczkę i to, jak przedostał się do zgrupowania sowieckich partyzantów w Puszczy Rudnickiej, ok. 40 km od Wilna.

„Ja byłem z początku z jednostką (otriadem) »Za Rodinu«, a potem wojewałem w otriadzie »Mstitiel«. Byłem w grupie diversantów i minowaliśmy pociągi, mosty, słupy telegraficzne. Te partizanskie otriady należały do Brigady Trockiej. Była też Brygada Wileńska i Kowniańska" – pisze Schub. Dodaje, że walczył później w szeregach Armii Czerwonej, a w październiku 1945 r. dostał się na statek, który płynął do Palestyny.

2 grudnia 2016 r. Urząd ds. Kombatantów zwrócił się do IPN z prośbą o przeprowadzenie analizy historycznej dotyczącej Schuba vel Shuba, nadesłanie informacji o radzieckich oddziałach, w których walczył, i zweryfikowanie, czy nie podejmo-

eprasa.pl 1b7f89d

wały one działań przeciw Armii Krajowej i ludności cywilnej.

Instytut analizował dane przez kilka miesięcy. Jak nieoficjalnie dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy", sprawdzano akta zgromadzone w archiwach IPN, historycy sięgnęli także po wspomnieniowe książki i publikacje uczestników radzieckiej partyzantki w Puszczy Rudnickiej, a także spisane i nagrane relacje samego Schuba publikowane w izraelskich oraz amerykańskich mediach, m.in. w „Meever lisheme ha-ananah: Sipuro shel partizan" (Tel Awiw 1995) czy nagranie zrealizowane w 1993 r. dla United States Holocaust Memorial Museum.

BANDYTA CZY WAŻNY ŚWIADEK?

– Analizy zakończyły się latem ubiegłego roku i nagle w Instytucie zrobiło się nerwowo. Okazało się, że jest gorący kartofel. Jaka byłaby bowiem reakcja Izraela na wniosek o przesłuchanie ich obywatela? – opowiada nam jeden z pracowników IPN.

Okazało się bowiem, że zdaniem IPN (taką opinię przedstawił Urzędowi ds. Kombatantów) oddziały, do których należał Baruch Schub, miały za zadanie podporządkowanie ludności Wileńszczyzny i Nowogródczyzny. Zwalczały polskie podziemie niepodległościowe i miały na sumieniu liczne zbrodnie na ludności cywilnej.

W ocenie historyków Instytutu oddział „Mstitiel", w którym walczył Baruch Schub, brał udział w zbrodniczej pacyfikacji wsi polskiej Koniuchy w styczniu 1944 r. „Partyzanci" spod znaku sierpa i młota zamordowali wówczas co najmniej 38 Polaków, w tym kobiety i dzieci (kilkanaście dni temu Instytut Pamięci Narodowej umorzył śledztwo w tej sprawie, trwało ono 18 lat).

Czy Schub brał bezpośredni udział w tej masakrze? Tego nie wiadomo. Jednak autorzy analizy IPN, powołując się na materiały historyczne i znane już publikacje – w tym opracowanie Anny Kraus, historyk specjalizującej się w dziejach ruchów partyzanckich na Litwie w czasie II wojny światowej – piszą, że w akcji zniszczenia wsi Koniuchy wzięło udział 30 partyzantów, m.in. z oddziału „Mściciel", do którego należał Schub. To oznacza, że nawet jako świadek znający historię z opowieści kolegów z oddziału byłby cennym źródłem informacji w sprawie zbrodni z czasów II wojny światowej.

„Do Rzeczy" dotarło do nagrania dla United States Holocaust Memorial Museum, na które powołują się historycy IPN. Baruch Schub mówi w nim o prześladowaniu Żydów, znacznie oszczędniej wspomina o swoim udziale w sowieckiej partyzantce. Opowiada o akcjach wymierzonych w ludność cywilną wiosek mieszczących się w Puszczy Rudnickiej, sugerując, że chodziło o działania aprowizacyjne. W pewnym momencie mówi jednak o pacyfikacji wioski stawiającej komunistom opór, której nazwę wypowiada jako „Tanjuchi". Pracownik Holocaust Memorial Museum, który dokonywał opisu nagrania, ten fragment oznaczył jako: „Punitive action in Tanjuchi village" – co można przetłumaczyć jako „Karna akcja we wsi Koniuchy".

Z analizy IPN wynika, że Baruch Schub, związany także z odziałem „Za Rodinu", mógł uczestniczyć – a przynajmniej mieć o nim wiedzę – w mordzie grupy 18 Litwinów, w tym także kobiet i dzieci. W posowieckich archiwach znajdują się informacje dotyczące wydarzeń z 12 kwietnia 1944 r. Wówczas grupa 150 partyzantów z oddziałów „Za Rodinu", „Wolność Litwy" i „Wyzwoliciel" z „Brygady Trockiej" dokonała napaści na wieś Bakaloryszki – Bakaliriškės (obecnie gmina Hanuszyszki, powiat trocki) i zamordowała tam wiele osób podejrzewanych przez napastników o „antyradziecki opór".

Historycy Instytutu poszli też tropem służby Schuba w strukturach Armii Czerwonej. W nagraniu dla United States Holocaust Memorial Museum mówi on (tego nie napisał w piśmie do Urzędu ds. Kombatantów), że był wykorzystywany przez sowieckie NKWD jako strażnik w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie (to miejsce kaźni polskich żołnierzy podziemia – przyp. red.).

BEZ REAKCJI

Konkluzja opracowania historyków IPN przekazanego do Urzędu ds. Kombatantów jest jednoznaczna. Zalecają przesłuchanie Barucha Schuba w charakterze świadka w śledztwie dotyczącym zbrodni w Koniuchach, „a także innych tego rodzaju". W dokumencie napisano też, że celowe wydaje się „przekazanie o nim informacji organom litewskim, gdyż tam równolegle także toczą się postępowania dotyczące zbrodni popełnionych przez partyzantkę sowiecką w latach 1943–1944 [...], co do których Baruch Shub może posiadać istotne informacje".

„Do Rzeczy" o tej sprawie dowiedziało się w połowie stycznia. W tym czasie analiza IPN była już władzom tej instytucji i kierownictwu Urzędu ds. Kombatantów znana od kilku miesięcy. Co zrobiły?

– Wydaliśmy decyzję odmowną w sprawie przyznania temu panu uprawnień kombatanckich, gdyż zaprezentowana nam analiza IPN wskazuje, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż uczestniczył on w zbrodniach na ludności polskiej. To jedyne, co zgodnie ze swoimi uprawnieniami mogliśmy zrobić – mówi „Do Rzeczy" minister Jan Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów. Zaznacza, że Schub nie odwołał się od decyzji. I dodaje: – Wysłałem list do prezesa IPN dr. Szarka z pytaniem, jakie działania IPN podjął w tej sprawie, i zapadła cisza.

My też staraliśmy się dowiedzieć od Jarosława Szarka, co Instytut zrobił w tej sprawie. I też się nie dowiedzieliśmy.

Udało nam się za to ustalić, że informacji o Baruchu, ważnym świadku, a być może również podejrzanym, władze IPN nie przekazały prokuratorom z pionu śledczego.

– Akta śledztwa nie zawierają wyników kwerendy IPN dotyczącej Barucha Schuby, przeprowadzonej na wniosek Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, o której wspomina pan w swoim piśmie – odpowiedział na nasze pytania prok. Jacek Kozłowski, naczelnik Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu IPN w Łodzi. Poinformował też, że śledczy sami nie zetknęli się z dowodami pozwalającymi na przypisanie Schubowi udziału w zbrodni w Koniuchach.

Dlaczego więc szefostwo IPN nie przekazało tych danych śledczym? Z odpowiedzi Instytutu wynika, że nie zrobiono tego, bo… prokuratorzy z Łodzi nie zapytali o informacje, o których przecież nie wiedzieli. – Do Archiwum IPN nigdy nie wpłynęło zapytanie z Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu o tę osobę – twierdzi Andrzej Przegaliński, rzecznik IPN.

Niektórzy w Instytucie nieoficjalnie mówią, że prezes Szarek boi się awantury o „żydowskich współsprawców" podobnej do tej, która wybuchła, gdy kilka lat wcześniej mówił o niemieckiej współodpowiedzialności za zbrodnie w Jedwabnem.

Dlaczego jednak nawet nie przekazano informacji o ustaleniach historyków IPN np. litewskiemu Centrum Badania Ludobójstwa i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy? Na to pytanie do dziś władze IPN nie potrafią nam odpowiedzieć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Rafał A. Ziemkiewicz

W najbliższym otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego toczy się nieustanna walka o jego względy. Bez zrozumienia tych intryg czasem trudno zrozumieć posunięcia obozu dobrej zmiany

O łaskę Prezesa

Działania partii rządzącej stale zaskakują komentatorów. Czasem znać w nich staranny namysł, strategię, przepracowanie dawniejszych błędów i wyciągnięcie z nich wniosków. A czasem rządzący robią coś w oczywisty sposób bezsensownego i przeciwskutecznego, jednym wyskokiem niszcząc efekty swej wcześniejszej pracy. Chaos? Zawrót głowy od sondaży? Poczucie, że „nie ma, z kim przegrać"? Wszystkiego po trochu, ale przede wszystkim dworski mechanizm rywalizacji i szukania, czym by tu się przypodobać prezesowi.

W efekcie PiS wizerunkowo miota się od ściany do ściany. Zmienia premiera, by poprawić relacje oraz wizerunek za granicą, i po pierwszych sukcesach nowej polityki spektakularnie zaprzecza jej ustawą nierodzącą żadnych skutków praktycznych, ale ogłoszoną w takim dniu oraz napisaną w taki sposób, że powoduje symboliczną wojnę o pamięć historyczną z dotychczasowymi sojusznikami. Broni miesiącami decyzji ministra Szyszki (nawiasem mówiąc, zapalonego myśliwego) o wycinkach w Puszczy Białowieskiej, używając argumentów praktycznych i ekonomicznych – a potem nagle wyskakuje z zakazem hodowli zwierząt futerkowych, całkowicie argumenty takie odrzucając i przechodząc na pozycje ideowe przykuwających się do drzew ekologistów. Wycisza emocje wokół tragedii w Smoleńsku, zapowiadając zakończenie miesięcznic, wycofuje z pierwszej linii Antoniego Macierewicza, by powalczyć o „lemingowski" elektorat oraz większość konstytucyjną – a potem rozpętuje awanturę o pomnik na placu Piłsudskiego, stawiając go przy użyciu prawniczego podstępu.

UCZUCIA I KAPRYSY

Ten ostatni przykład wydaje się najbardziej oczywisty. Wszyscy, którzy bodaj przelotnie poznali braci Kaczyńskich, doskonale wiedzą, jak silny był związek emocjonalny między nimi. Jarosław i Lech nie tylko po kilkanaście razy dziennie telefonowali do siebie, lecz także w szczególny sposób obrażali się za krytykę – nie siebie samego, ale brata. To znaczy, dziennikarz, który skrytykował premiera Kaczyńskiego, mógł liczyć, że ten machnie na krytykę ręką, ale od prezydenta Kaczyńskiego słyszał jeszcze po latach: „Nie podam panu ręki, bo pan pisał podłe rzeczy o moim bracie" – i odwrotnie.

Po tragicznej śmierci Lecha postać brata stała się dla prezesa PiS jeszcze ważniejsza, a jego pamięć – szczególnie droga. Na co dzień racjonalny, wręcz wyrachowany („człowiek, który ma w głowie polityczny komputer", charakteryzowano go przed laty), tam gdzie mowa o śp. prezydencie i jego tragicznej śmierci poddaje się całkowicie emocjom – a nawet potrafi stracić nad sobą panowanie, jak widzieliśmy to w Sejmie. Oczywiście nie może to nie być na różne sposoby wykorzystywane w dworskich intrygach i rozgrywkach – donosy z oskarżeniem, że np. rywal z okręgu przypisał Lechowi Kaczyńskiemu odpowiedzialność za tragedię w Smoleńsku, były i zapewne nadal są skuteczną bronią w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach. I odwrotnie – krzewienie „kultu smoleńskiego" postrzegane jest jako pewny, bezpieczny sposób „zapunktowania" w oczach lidera.

Ponieważ zarazem pamięć Lecha Kaczyńskiego jest też częścią politycznej tożsamości PiS, jako ojca założyciela, twórcy realizowanej przez PiS politycznej wizji, ale też jako postulowany – mówiąc językiem przedwojennej sanacji – „czynnik państwowotwórczy", trudno do końca oddzielić realizowanie programu partii od przejawów nadskakiwania prezesowi. Widać jednak, że w budowaniu tego kultu PiS w oczywisty sposób nie liczy się ze

eprasa.pl 1b7f89dddd

zdrowym rozsądkiem. Dopisanie ofiar Smoleńska do apelu poległych odczytywanego na każdej uroczystości, również niemającej niczego wspólnego z tragedią z 2010 r., narzucanie przez wojewodów nowych nazw zdekomunizowanych ulic lub placów czy właśnie podstęp zastosowany po to, by móc wbrew władzom miasta postawić pomnik na placu Piłsudskiego (przepraszam, już nie jeden pomnik, a dwa, drugi kilkanaście metrów obok), raczej szkodzą pamięci byłego prezydenta, a dają satysfakcję tylko najbardziej „żelaznemu" elektoratowi.

Mniej kontrproduktywne od szukania zasług w upamiętnianiu Lecha Kaczyńskiego w przestrzeni publicznej jest honorowanie go różnymi zaszczytnymi tytułami, w rodzaju „Człowieka 25-lecia", bądź też czynienie patronem różnych zbożnych przedsięwzięć. To nie zwraca już takiej uwagi poza kręgiem zwolenników, nie antagonizuje, a pozwala zdobyć przewagę nad konkurencyjnym PiS-owskim ośrodkiem. Można liczyć, że prezes zaszczyci swą obecnością galę czy odsłonięcie, przemówi – ma to swoją wagę.

Problem w tym, że w kwestii upamiętniania Lecha i Marii Kaczyńskich oraz ofiar smoleńskiej tragedii wykształciła się czołówka, z którą pozostałym trudno rywalizować – to ci, którzy ogłaszali kolejne „dowody" na zamach i publikowali zdjęcia wybuchających samolotów, kręcili oraz dystrybuowali niezależne filmy, a także organizowali miesięcznice „w czasach pogardy", za rządów PO i PSL, kiedy oznaczało to wyłącznie narażanie się na etykietę oszołoma i problemy z funkcjonowaniem w życiu publicznym.

Na szczęście prezes ma też inne uczucia. Jako typowy wychowanek inteligenckiej rodziny, kierujący się wyniesionym z niej rozumieniem przyzwoitości, jest bardzo lojalny wobec ludzi, którzy go nie zawiedli w trudnych czasach, a uczucia te szczególnie wzrastają wobec kobiet, do których prezes zawsze odnosił się szarmancko. Uczczenie kogoś takiego honorowym tytułem z gatunku „Człowieka roku" też jest dobrym sposobem ściągnięcia prezesa na galę i zbudowania eventu. Nawet jeśli prezes trzyma akurat taką frakcję w niełasce, to pojawi się z uwagi na nagrodzoną osobę, co najwyżej odmawiając zabrania głosu podczas gali, co jest sygnałem zrozumiałym już tylko dla wtajemniczonych.

Stąd właśnie medialne otoczenie PiS zapomniało w ostatnim czasie, jak bardzo kiedyś śmieszyły je gale i nagrody „Polityki" czy „Gazety Wyborczej", na których wręczano dyplomy i statuetki politykom swojego obozu, a śp. Janina Paradowska czy Tomasz Lis laudowali ich zgoła bezwstydnie i śpiewali „Sto lat". Nagradzanie przez PO sympatyzującego z tą partią prezesa Trybunału Konstytucyjnego ocenione było kiedyś na prawicy zupełnie jednoznacznie, dziś prawicowe media robią to samo, co robili kiedyś przeciwnicy – jak każdy przejaw „kalizmu" nie budzi to sympatii prostego Polaka, ale przecież nie jego opinia się tutaj liczy, a „przyjaciół, którzy nas wspierają" i „mają pełną świadomość, że media nigdy nie są wyizolowane z pewnych kontekstów" – jak to pięknie na jednej z takich imprez ujął pewien redaktor naczelny.

Prezes ma także swoje kaprysy. Jednym z nich jest miłość do zwierząt, która sprawiła, że w poprzedniej kadencji w klubie PiS wprowadzono dyscyplinę i kary za głosowanie przeciwko projektowi zakazania w Polsce uboju rytualnego – mimo iż zakaz ten pozbawił polskie rolnictwo intratnego eksportu na rynki bliskowschodnie, przejętego błyskawicznie przez Niemców (prawdopodobnie zresztą inspirujących całą akcję), i stanowił część generalnie wrogiej PiS, lewicowej agendy.

Podobnie jest obecnie z zakazem hodowli zwierząt na futra. Nie sposób znaleźć ani jednego zdroworozsądkowego argumentu, który kazałby popierać partii rządzącej ten zakaz. Przeciwnie – zakaz wynika z typu wrażliwości obcego prawicy, a PiS przynosi same szkody. Uderzając w rolników – nie tylko w hodowców, lecz także we wszystkich solidaryzujących się z nimi producentów rolnych – odbudowuje na wsi pozycję PSL jako jedynego jej reprezentanta. Stoi w zasadniczej sprzeczności z głoszonym przez premiera Morawieckiego programem rozwoju – zarzyna się jedną z gałęzi produkcji eksportowej odnoszących największe sukcesy. A także otwiera się drogę do szykowanego przez te same lewicowe fundacje i ośrodki, które postawiły sobie za cel zniszczenie „futerkowców" zapowiadanego jako następne uderzenia w drobiarstwo, dokładnie tymi samymi argumentami, które PiS właśnie na okoliczność norek i lisów zaakceptował. A drobiarstwo, poza tym, że jesteśmy w nim europejską potęgą, było nawet w najtrudniejszych latach i pozostaje wiernym sponsorem prawicy (futrzarstwo zresztą też) oraz różnych prawicowych przedsięwzięć.

W dodatku wytoczenie polskim przedsiębiorcom rolnym wojny za granicą, w Parlamencie Europejskim, skompromitowało to, co zwykł PiS mówić o „targowicy" – sam bowiem stał się w ten sposób, by użyć określenia użytego przez Łukasza Warzechę, „targowicą gospodarczą".

Prezes powiedział do kamer, że kto zadaje cierpienia zwierzętom, jest złym człowiekiem (co właściwie można odnieść do wszystkich rolników), więc raczej nikt nie odważy się oponować, szczególnie po tym, jak ukarano posłów poprzedniej kadencji za samo tylko wstrzymanie się od głosu w sprawach uboju rytualnego. Przeciwnie, jeśli położyło się ważne powierzone przez prezesa zadania na obie łopatki, a nie ma innej możliwości przymilenia się mu, prozwierzęca inicjatywa daje nadzieję na odbudowanie jego sympatii.

WALKA O UCHO

Prezes, jak każdy człowiek, ma też swe idiosynkrazje. „Jarosław Kaczyński… w głębi duszy nienawidzi narodowców" – powiedział w niedawnym wywiadzie dla „Wprost" Piotr Wierzbicki. Dla działaczy partii nie jest to żadną tajemnicą i tym właśnie można wytłumaczyć skwapliwość, z jaką działacze partii rządzącej przyłączają się do ataków na Marsz Niepodległości czy ONR oraz postulatów delegalizacyjnych, mimo że płyną one z kręgów, z którymi logika polityczna nakazuje PiS nie przemawiać jednym głosem. I mimo że skądinąd uważany w PiS za wzorzec skutecznej rewolucji Orbán pokazał, iż sposobem odebrania liberałom najszerszego elektoratu jest właśnie mieć na prawo od siebie jakiś Jobbik, by stawiać liberalnych wyborców przed szantażem: jeśli nas nie popieracie, to wzmacniacie tych chłopców. Czy naprawdę tego chcecie?

Efekt – PiS najpierw twardo daje odpór oszczerstwom, jakoby w Polsce istniało jakiekolwiek zagrożenie „faszyzmem", po czym do walki z tym nieistniejącym zagrożeniem tworzy demonstracyjnie specjalny urząd. Logiczne, prawda?

Jednak w tym przypadku zastosowanie ma inna logika. Nie rozumiejąc jej, nie rozumiejąc, że PiS, wbrew stereotypowi opozycyjnych mediów, nie jest zdyscyplinowaną armią, tylko – przynajmniej „na górze" – dworem, gdzie toczy się nieustanna rywalizacja o „ucho", dostrzeżenie i względy prezesa, gdzie ścierają się koterie oraz kamaryle, a także trwają nieustające intrygi i podchody, po prostu nie da się pojąć dużej części zapadających u władzy decyzji. A zwłaszcza jej niekonsekwencji i potknięć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Sztandar wprowadzić?

Kamila Baranowska

Ostatnie sondaże pokazują, że SLD odzyskuje wyborców, których wcześniej stracił na rzecz Platformy. Może się okazać, że pogłoski o śmierci Sojuszu były przedwczesne

Sondaże z drugiej połowy lutego były dla SLD wyjątkowo optymistyczne. W badaniu instytutu Pollster dla „Super Expressu" SLD uzyskało 8 proc., zajmując trzecie miejsce na podium za PiS i Platformą. W porównaniu z poprzednim sondażem tej samej pracowni Sojusz zyskał 2 pkt proc. W sondażu IBRIS dla portalu Onet.pl SLD wypada jeszcze lepiej – ma 9,4 proc. poparcia. Oba sondaże zostały zrobione innymi metodami, a do tego pierwszy wynik nie uwzględnia osób niezdecydowanych, drugi już tak. Z najświeższych sondaży jest jeszcze badanie Estymatora dla portalu DoRzeczy.pl, w którym SLD uplasował się powyżej progu wyborczego z poparciem 5,9 proc. (bez niezdecydowanych).

– To, że SLD nie ma w Sejmie, nie jest spowodowane tym, że całkiem zniknęli wyborcy tej partii, lecz różnymi ekstrawaganckimi pomysłami typu Magdalena Ogórek, Barbara Nowacka czy w ogóle cały sojusz z Palikotem – uważa prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW. – Dzisiaj wskutek polityki PiS coraz więcej dawnych wyborców wraca do SLD, uważając je za bardziej wiarygodne od Platformy w walce o sprawy dla nich kluczowe. Po pierwsze chodzi o ustawę dezubekizacyjną, która uderza w interes ekonomiczny wyborców SLD, a po drugie o całą politykę historyczną, która postponuje PRL i wszystko, co dla tego elektoratu ważne – dodaje.

Poniekąd potwierdza to także w rozmowie z „Do Rzeczy" Włodzimierz Czarzasty, przewodniczący SLD, który podkreśla, że już od kilku miesięcy sondaże jego partii są stabilne i sytuują Sojusz powyżej progu wyborczego. Mówi, że są dwie przyczyny. – Po pierwsze, oczywiście ciężka praca samego SLD, a po drugie błędy opozycji parlamentarnej, jak choćby głosowanie w sprawie aborcji, w sprawie nowelizacji ustawy o IPN, ustawy dekomunizacyjnej czy dezubekizacyjnej. Lider Platformy jednego dnia mówi o chadeckiej kotwicy, następnego wyrzuca z partii trzech konserwatystów za to, że są zbyt konserwatywni, krytykuje IPN i CBA, a to przecież rękoma polityków Platformy powoływano te instytucje. Platforma we wszystkich tych kwestiach jest niestabilna, co innego mówi, co innego robi, ludzie to widzą i wyciągają wnioski – mówi. – SLD w tych sprawach ma od początku do końca takie samo zdanie i jasne stanowisko. Można się z nim nie zgadzać, można je krytykować, ale trudno zarzucić, że nie wiadomo, o co nam chodzi – dodaje.

ZMIANA STRATEGII

To, że dziś Czarzasty uderza w Platformę, może wskazywać na to, że Sojusz wyciągnął wnioski z wyborów w 2015 r. Przegrał je bowiem między innymi dlatego, że był zbyt życzliwą wobec rządzącej PO opozycją, tracąc wiarygodność u coraz bardziej rozczarowanych rządami Tuska i Kopacz wyborców. Powodów takiej strategii było wiele, jeden z nich to ówczesna kalkulacja Leszka Millera, by wejść do rządzącej koalicji, inna to żywa u części lewicy potrzeba bycia chwalonym przez „Gazetę Wyborczą" czy TVN. SLD w czasach rządów koalicji PO-PSL skupiał się głównie na krytyce i punktowaniu… PiS. W tym sa-

eprasa.pl 1b7f89dddd

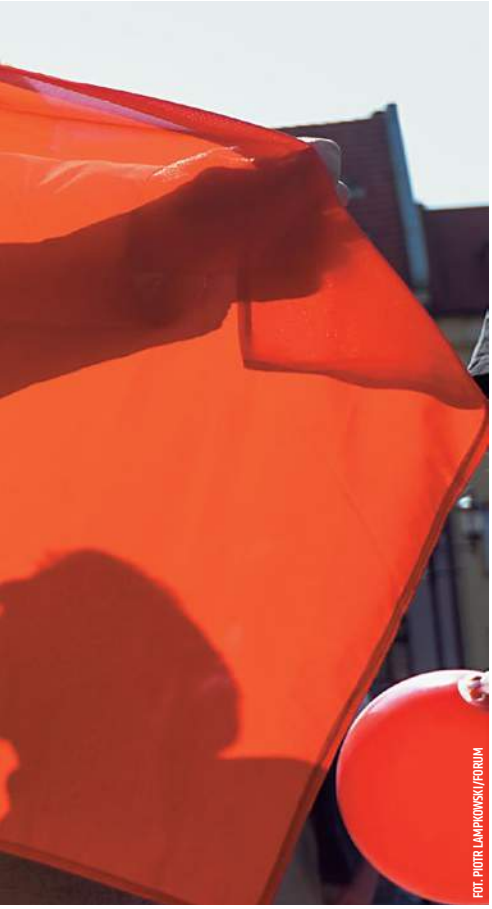
FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/FORUM

mym czasie partia Jarosława Kaczyńskiego zagospodarowywała antyrządowe emocje, a także wchodziła w naturalny obszar lewicy – sferę społeczną. Trudno uwierzyć, że SLD pozwolił na to, by to PiS stał się najbardziej widocznym przeciwnikiem reformy emerytalnej przeprowadzonej przez PO i by to PiS grał tą sprawą w kampanii. Podobnie jak kwestia chociażby minimalnej stawki godzinowej na poziomie 12 zł, co postulowała w swojej kampanii Beata Szydło. Kiedy to mówiła, projekt ustawy w tej samej sprawie autorstwa SLD leżał od kilkunastu miesięcy w Sejmie. – Jedyną prawdziwą alternatywą przez ostatnie lata dla Platformy był PiS, nie było nic po lewej stronie – tak tuż po wyborach parlamentarnych podsumował działalność Sojuszu były prezydent Aleksander Kwaśniewski.

Teraz SLD próbuje całkiem innej strategii, polegającej na krytyce partii opozycyjnych, które ani nie potrafią skutecznie przeciwstawić się PiS, ani zaproponować żadnej atrakcyjnej kontroferty wobec tego, co oferuje dziś Jarosław Kaczyński. SLD chce być sprytniejszy, pokazać, że w przeciwieństwie do PO czy Nowoczesnej nie jest wyłącznie reaktywny wobec PiS i że kieruje się własnymi zasadami, a nie wyłącznie robieniem na złość PiS. I tak na przykład od początku sporu rządu z Komisją Europejską SLD zachowuje się bardzo wstrzemięźliwie. Gdy w Parlamencie Europejskim odbywały się głosowania w sprawie praworządności w Polsce, europosłowie Sojuszu wstrzymywali się od głosu, a Bogusław Liberadzki wytykał kolegom europosłom, chcącym dyscyplinować Polskę, „obłudę i podwójne standardy". Jeszcze przed tajnym głosowaniem europosłów Włodzimierz Czarzasty zapowiedział, że Sojusz poprze kandydaturę Zdzisława Krasnodębskiego (PiS) na wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego zamiast odwołanego Ryszarda Czarneckiego, i wytykał Platformie, że ta przez wiele dni kluczyła w tej sprawie i wysyłała sprzeczne komunikaty.

Złośliwi twierdzą jednak, że to zmiana pozorna i czysto retoryczna, bo w praktyce Sojusz za bardzo wojować z Platformą ani nie chce, ani nie może. Powód? Łączy ich zbyt wiele interesów, zwłaszcza na szczeblu lokalnym. – Chodzi przede wszystkim o miejsca pracy dla SLD-owskich działaczy, którzy zostali na lodzie po tym, jak SLD miał słaby wynik w wyborach samorządowych, a potem jeszcze nie wszedł do Sejmu – mówi jeden z warszawskich radnych. W 2015 r. „Gazeta Wyborcza" wytykała, że choć SLD ma zaledwie dwa mandaty w 60-osobowej radzie miasta, to jego reprezentacja w miejskich spółkach i instytucjach jest znacząca. Wymieniła przy tym wiele nazwisk działaczy i polityków SLD, którzy z rekomendacji Platformy znaleźli się na intratnych miejskich posadach. Najbardziej symptomatyczny jest przypadek Sebastiana Wierzbickiego, który w 2014 r. rywalizował z Hanną Gronkiewicz-Waltz w wyborach na prezydenta stolicy, a tuż po nich dzięki Platformie został wiceprezesem Pałacu Kultury i Nauki.

Profesor Chwedoruk wskazuje jednak, że teraz Platformie będzie trudniej współpracować z SLD. – To ograniczy PO docieranie do centrowych wyborców, o których musi powalczyć z PiS. Zwłaszcza że walka w warstwie symbolicznej mocno się zaostrza. Na niższych szczeblach samorządu pewnie współpraca PO i SLD będzie możliwa, może nawet będą tworzone koalicje wszyscy przeciwko PiS, ale czy w sejmikach tak będzie, nie byłbym taki pewien – mówi.

Chociaż sondaże cieszą polityków SLD, to zdają oni sobie sprawę z faktu, że kalendarz wyborczy jest z ich punktu widzenia trudny. W ostatnich wyborach do sejmików SLD uzyskał wynik 8,79 proc. w skali kraju, cztery lata wcześniej było to 15,20 proc. – Gdyby pierwsze były wybory do Parlamentu Europejskiego, SLD pewnie przekroczyłby 5-proc. próg, w wyborach do sejmików faktyczne progi są wysokie i tutaj łatwo nie będzie – komentuje prof. Chwedoruk.

SAMI CZY RAZEM?

Mimo to Sojusz odżegnuje się od pomysłu wspólnych list wyborczych z opozycją parlamentarną. – W sprawie list wyborczych zawsze mieliśmy jasne stanowisko. W momencie, gdy PiS mówił o wprowadzeniu okręgów trzymandatowych, to wtedy rzeczywiście rozmawialiśmy o wspólnych listach z Nowoczesną, PO i PSL. Kiedy okazało się, że okręgi zostają w mniej więcej w takim kształcie jak dotąd, wróciliśmy do startu pod własnym szyldem – tłumaczy Włodzimierz Czarzasty.

W kwestii ewentualnych powyborczych koalicji Sojusz tak stanowczy już nie jest. Podobnie jak nie wyklucza współpracy z innymi partiami przy okazji wyborów prezydentów największych miast. Wciąż trwają rozmowy, czy SLD nie poparłby Rafała Trzaskowskiego w wyborach na prezydenta stolicy w zamian za stanowisko wiceprezydenta miasta. – Powtarzam swoim kolegom, że mamy wejść do sejmików i powiatów, a jak wejdziemy, to będziemy rozmawiać o koalicjach. Na razie trzeba myśleć o robocie do wykonania, a nie o stołkach – ucina Włodzimierz Czarzasty.

W miarę stabilny elektorat, który właśnie powraca po chwilowym romansie z Platformą, dobrze działające struktury i pieniądze z budżetu dają Sojuszowi przewagę nad innymi formacjami lewicowymi. Chociaż po lewej stronie długo trwały spekulacje, czy możliwa jest wspólna lista lewicy łącząca m.in. SLD, Partię Razem i Inicjatywę Polska Barbary Nowackiej, to ostatecznie żadna ze stron nie miała na to ochoty. W SLD za taką koalicją nikt zresztą specjalnie nie tęskni. Żywa jest tu pamięć o wyborach z 2015 r., gdy Zjednoczona Lewica – koalicja, w skład której wszedł także Sojusz – uczyniwszy swoją twarzą Barbarę Nowacką, nie weszła do Sejmu. Dzisiaj w SLD znów wygrywa myślenie, że szyld Sojuszu jest atutem, a nie – jak twierdzą Adrian Zandberg z Partii Razem i Nowacka – obciążeniem. „SLD znaczy wiele bez lewicy, ale lewica nie znaczy wiele bez SLD" – powiedział na jednej z konwencji partyjnych Leszek Miller. W Sojuszu są dziś przekonani, że miał rację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Zamrożone prawo, ale prawo

FOT. FOTOLIA

Maciej Pieczyński

Czy nowelizacja ustawy o IPN została zamrożona? Prawnicy nie mają wątpliwości: w sprawach przewidzianych przez nowe przepisy prokuratura nie będzie mogła zignorować doniesień

Przynajmniej do czasu wyroku TK nowelizacja ustawy o IPN nie będzie działać" – stwierdził Stanisław Karczewski. W dniu wejścia nowych przepisów w życie marszałek Senatu wezwał do „wstrzemięźliwości i umiaru" w obawie przed zasypaniem prokuratury pozwami, które zgodnie z ustawą można składać. „Ustawa o IPN będzie działać, ale powoli" – to z kolei sygnał z Ministerstwa Sprawiedliwości, które prokuraturę nadzoruje. Jeszcze inną wersję wejścia w życie budzących kontrowersje przepisów podał wiceminister spraw zagranicznych Bartosz Cichocki. „Ustawa o IPN będzie działać, ale kary nie grożą świadkom historii czy naukowcom" – zapewnił. Te wszystkie spekulacje próbował uciąć szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. Stwierdził kategorycznie, że nie ma możliwości, aby ustawa została zamrożona. Dodał, że nie ma planów jej ponownej nowelizacji.
Z kolei według nieoficjalnych informacji „Faktów" TVN Izrael dostał zapewnienie, że ustawa, choć de iure obowiązuje, de facto będzie „martwa". Ustawa już weszła w życie, niebawem się zatem przekonamy, jak w rzeczywistości będzie z jej stosowaniem. Najprawdopodobniej bowiem, przy obecnej skali emocji wokół problemów polityki historycznej, zainteresowanie wykorzystaniem nowych przepisów będzie spore. Przy czym prawnicy nie mają wątpliwości: jeśli posypią się doniesienia, to prokuratura nie może ich zignorować.

– Prokuratorzy w praktyce mogą powstrzymywać się przed wszczynaniem postępowań, które miałyby być prowadzone na podstawie przepisów zaskarżonych do Trybunału Konstytucyjnego. W tej sprawie możemy się spodziewać odgórnych formalnych lub nieformalnych wytycznych ze strony Ministerstwa Sprawiedliwości, któremu prokuratura podlega – mówi dr hab. Piotr Mikuli, profesor UJ z Katedry Prawa Ustrojowego Porównawczego Uni-

eprasa.pl 1b7f89dddd

wersytetu Jagiellońskiego. – Jeśli natomiast sprawa wynikająca z przepisów tej ustawy trafi do sądu jeszcze przed wyrokiem TK, to powinna być zastosowana ich prokonstytucyjna wykładnia. Mielibyśmy wtedy do czynienia z tzw. bezpośrednim stosowaniem konstytucji. Sąd mógłby dokonać stosownej modyfikującej interpretacji, powołując się na np. zagwarantowaną w konstytucji wolność wyrażania poglądów czy na fakt, że przepisy ustawy budzą wątpliwości co do ich zgodności z tzw. zasadą prawidłowej legislacji, wyprowadzaną z zasady demokratycznego państwa prawnego. Zasada prawidłowej legislacji zakłada, że przepis powinien być skonstruowany w sposób maksymalnie jasny, co ma w prawie karnym szczególną wagę, aby można było precyzyjnie ustalić znamiona przestępstwa. W znowelizowanej ustawie tej precyzji brakuje – dodaje konstytucjonalista.

DYLEMATY PRAWNE

– Popieram w całości tezy zawarte we wniosku pana prezydenta do Trybunału Konstytucyjnego. Uważam, że TK powinien uznać niekonstytucyjność zaskarżonych przepisów. Możliwe jednak, że zapadnie wyrok interpretacyjny, dopuszczający ich określone, zgodne z ustawą zasadniczą, rozumienie – mówi prof. Piotr Mikuli.

– Pan prezydent słusznie zwrócił uwagę w skierowanym do Trybunału Konstytucyjnego wniosku, że ustawa jest niedookreślona, a to poważny zarzut w przypadku prawa karnego, które musi być szczególnie precyzyjne – mówi dr Mikołaj Małecki z Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W jego ocenie nowelizacja ustawy nie pomoże w walce z kłamliwymi określeniami „polskie obozy śmierci", ponieważ jej przepisy przewidują kary za przypisywanie narodowi polskiemu sprawstwa konkretnych czynów, kwalifikowanych jako zbrodnia. – To przykład niedookreślonego przepisu. Za samo użycie zbitki „polskie obozy" nie można być ukaranym. Jednak nie jest już pewne, czy jeśli ktoś przypisze Polakom np. budowę czy administrowanie konkretnym obozem, w konkretnym miejscu i czasie, to będzie odpowiadał karnie – mówi dr Małecki.
– Oczywiście można wskazać przypadki, które bez żadnych wątpliwości podpadną pod nowe przepisy. Nawet przeciwnicy nowelizacji zgodzą się, że na jej mocy można byłoby pociągnąć do odpowiedzialności karnej autorów skandalicznego filmu, informującego o „polskim Holokauście". Podobnie jak każdego, kto celowo głosiłby np., że nazistowscy zbrodniarze byli Polakami, nie zaś Niemcami. W takich przypadkach „przypisywanie narodowi polskiemu zbrodni wbrew faktom" jest ewidentne. Jednak tego typu wypowiedzi mogły być karane już wcześniej na podstawie Kodeksu karnego, penalizującego znieważanie narodu polskiego. W praktyce były to sytuacje marginalne – dodaje karnista. Jego zdaniem problematyczne jest też określenie „wbrew faktom", co do których różni badacze mogą stawiać różne hipotezy. Jeśli powołani przez sąd biegli historycy nie będą zgodni, to wątpliwości powinny być rozstrzygane na korzyść oskarżonego. – Celem ustawy miało być eliminowanie krzywdzących Polskę sformułowań, ale realizacja tego celu nie może się powieść. Uchwalone przepisy prowadzą też do innego zagrożenia: pokusy ręcznego sterowania sprawami z pozycji ministra sprawiedliwości – uważa karnista z UJ. – W każdej nieoczywistej sprawie prokurator będzie stawał przed pytaniem: Czy wszcząć postępowanie czy nie? Z powodu niejasnego przepisu pojawi się trudność z oceną danego przypadku, a dylematu nie będzie rozstrzygało prawo, tylko polityka – mówi dr Małecki. Dodaje przy tym, że również na podstawie decyzji politycznej wzbudzające kontrowersje przepisy mogą być de facto niestosowane. – Ustawa obowiązuje od momentu wejścia w życie. Należy jednak pamiętać o tym, że „nie ma prawa przed interpretacją". Jeżeli obóz rządzący zdecydował się „zamrozić" ustawę, to zgodnie z prawem można to zrozumieć tylko w ten sposób, że prokuratura zinterpretuje przepisy tak, iż postępowania karne będą wszczynane jedynie w przypadkach niepozostawiających żadnych wątpliwości – mówi dr Małecki.

– Jeżeli ktoś zgłosi zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa wynikającego z przepisów ustawy o IPN, to prokuratura będzie musiała się sprawą zająć. Można wstrzymać wykonanie wyroku, ale nie ma prawnej możliwości wstrzymania wykonywalności ustawy – mówi prof. Piotr Kruszyński, karnista z Uniwersytetu Warszawskiego. – Oczywiście miał rację pan minister Ziobro, twierdząc, że sam fakt złożenia zawiadomienia o niczym nie przesądza. Prokuratura może wszcząć postępowanie, może też najpierw wszcząć postępowanie wyjaśniające.

PRZEPISY SĄ PRECYZYJNE

Z opiniami o nieprecyzyjności nowelizacji nie zgadza się mec. Piotr Andrzejewski. – Nowe przepisy ustawy o IPN są bardzo konkretne. Nowelizacja jest rozwinięciem artykułu Kodeksu karnego, który penalizuje znieważanie narodu polskiego – komentuje były sędzia Trybunału Stanu. – Oczywiście utrudnione będzie stosowanie nowych przepisów za granicą. W tej kwestii musimy liczyć na MSZ, które poprzez swoje służby konsularne powinno ustalać fakty popełniania przewidzianych ustawą przestępstw. Poza tym nie chodzi tylko o samą penalizację. Celem tej ustawy nie jest wsadzanie do więzienia oszczerców Polski, ale przeciwdziałanie dyfamacji, prostowanie fałszu historycznego i zniechęcanie do tego typu wypowiedzi – dodaje mec. Andrzejewski. Jego zdaniem nowe przepisy są zgodne z ustawą zasadniczą. – Prezydent, podpisując ustawę, potwierdził jej konstytucyjność. Skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego celem dodatkowego potwierdzenia. Stanowisko TK byłoby dodatkowym uzasadnieniem przeciwdziałania stereotypowi historycznych przekłamań. Z punktu widzenia spójności systemu prawa nie dostrzegam w nowelizacji sprzeczności z konstytucją. Nowelizacji winno towarzyszyć ustanowienie ochrony zbiorowych dóbr osobistych w Kodeksie cywilnym, co sugeruje pośrednio nowelizacja ustawy o IPN.

W ustawie mowa jest o przypisywaniu narodowi polskiemu zbrodni dokonanych przez Trzecią Rzeszę Niemiecką. Problem w tym, że z formalnego punktu widzenia takie państwo nie istniało. Niemcy za czasów Hitlera nosiły oficjalnie nazwę Rzesza Niemiecka, zaś Trzecia Rzesza to nazwa potoczna. Ten argument też może być podnoszony przez obrońców w sądach. Jednak dr Tomasz Scheffler z Katedry Doktryn Politycznych i Prawnych Uniwersytetu Wrocławskiego twierdzi, że ustawodawca mógł się takim sformułowaniem posłużyć, ponieważ funkcjonuje ono w obiegu naukowym. – Gdyby użyto oficjalnej nazwy „Rzesza Niemiecka", to pojawiłoby się pytanie, o którą Rzeszę chodzi. Trzeba by wtedy podać lata istnienia, ale historycy się spierają, kiedy dokładnie Niemcy hitlerowskie upadły: z chwilą śmierci Hitlera, zdobycia Berlina czy podpisania kapitulacji. Jego zdaniem, żeby uznać ten terminologiczny argument za decydujący, sąd musiałby uznać, że… Trzecia Rzesza nie istniała. I oczywiście wyjaśnić, w jakim sensie. Tak czy inaczej jednak trudno to sobie wyobrazić. – Trzecia Rzesza jest nazwą nieoficjalną, ale utrwaloną powszechnie. Ustawodawca nie mógł być w tym przypadku bardziej precyzyjny – ocenia dr Scheffler.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Pożar w TVN

Agnieszka Niewińska

Show grupy Pożar w Burdelu TVN przedstawił jako odpowiedź na „Ucho prezesa”. Po emisji premierowego odcinka jedno jest pewne: Robert Górski, twórca „Ucha...”, może spać spokojnie

Witam madame, rączki całuję. Kto zmieni kanał, ten będzie ch… jem” – taką rymowanką powitał widzów Andrzej Konopka z grupy Pożar w Burdelu (PwB), który w ubiegły poniedziałek na antenie TVN zaprezentował program „Fabryka patriotów”. Na widowni zasiadła plejada gwiazd stacji: Piotr Kraśko, Katarzyna Kolenda-Zaleska, Magda Mołek czy Michał Piróg. Znalazło się też miejsce dla Seweryna Blumsztajna oraz Henryka Sawki.

BURDELTATA MINISTREM KULTURY

Fabuła widowiska opiera się na tym, że Burdeltata (w tej roli Konopka) zostaje poproszony przez Mateusza Morawieckiego, aby został ministrem kultury i rozrywki narodowej oraz pokierował fabryką patriotów. Są żarty z zepsutej MaBeNy, chichot z kota Jarosława Kaczyńskiego. Przy energicznym songu „polskie plemniki/piastowskie nasienie/ z nich narodzi się polskie plemię” na scenę wchodzą postacie w przebraniu plemników. „Polska nowy projekt, umiłowany kraj/na cześć naszej ojczyzny trzykrotne sieg heil” – śpiewają artyści.

Z czasem dowcipy są cięższego kalibru: wciąganie prochów przodków, Wanda, „przyjaciółka papieża”, okazuje się striptizerką, która uwiodła Donalda Trumpa (w tej roli Andrzej Seweryn). Na scenie pojawia się lalka mająca przedstawiać prof. Bogdana Chazana i pluszak w roli abortowanego dziecka śpiewający „pieśń martwego płodu”. Show dopełnia finałowy dialog:

– Zdzisiu, a co to za zdzira?

– A to Polska właśnie.

Po emisji tego spektaklu sieć zalała fala krytyki i okazało się, że biegnie ona w poprzek podziałów politycznych. „Zacząłem oglądać Pożar w Burdelu nagrany z TVN. Przestałem po 15 minutach” – zatweetował Zbigniew Hołdys. „Ależ to jest słabe” – ocenił związany niegdyś z TVN Tomasz Sekielski. Internauci zarzucili produkcji prostacki humor, nudę, wulgaryzmy.

– „Ucho prezesa” jest oparte na tekście i chyba swój szczyt ma już za sobą. W programach PwB jest więcej piosenek. Natomiast „Fabryka patriotów” to mix starych i nowych rzeczy – zapowiadał produkcję Edward Miszczak, dyrektor programowy TVN w portalu WirtualneMedia.pl. Program według stacji miał „z przymrużeniem oka, inteligentnym humorem oraz dystansem skomentować aktualną sytuację w kraju”. PwB miał zresztą opinię elitarnej rozrywki dla inteligentów, rzadkiego dobra, bo na występy nie było łatwo o bilety.

Grupa – zawiązana w 2012 r. – najpierw grała w klubokawiarni Chłodna 25. – Spiritus movens tego przedsięwzięcia jest Michał Walczak, dramatopisarz, którego świetny debiut – „Piaskownica” – był w pewnym momencie najczęściej wystawianą sztuką młodego dramaturga – mówi Jacek Kopciński, redaktor naczelny miesięcznika „Teatr”. – Walczak napisał jeszcze kilka innych interesujących dramatów o groteskowej poetyce, ale w pewnym momencie zatęsknił za silniejszym, bardziej bezpośrednim kontaktem z widownią. Poszedł w kierunku stand-upu, a potem ambitnego kabaretu. Przybywało postaci, scenariusze zaczęły się rozrastać i tak narodził się PwB – opowiada.

WALENIE SZTACHETĄ

Konopka o początkach Burdelu opowiadał „Newsweekowi”: – Michał Walczak, reżyser i dramaturg, pozbierał nas – aktorów po trzydziestce, bez specjalnych sukcesów, większość bez etatów – i nam wmówił, że Warszawa padnie u naszych stóp. A my nie mieliśmy profesjonalnego makijażu, strojów, nic. Tekstu nikt nie pamiętał, bo dostawaliśmy go w ostatniej chwili. Potykaliśmy się o własne nogi, rekwizyty. Nie ogarnialiśmy tej sceny, tak jak nasi młodzi, 20-, 30-letni widzowie nie ogarniali swego życia.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Po emisji „Fabryki patriotów” sieć zalała fala krytyki. Internauci zarzucili autorom widowiska prostacki humor, nudę, wulgaryzmy

FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FORUM

Według Kopcińskiego Walczak potrafił ciekawie opowiadać o Warszawie: poprzez jej teraźniejszość, ale i przeszłość, jej legendy, mity, jej ciemną, jakby senną stronę, którą w dowcipny sposób ujawnia. – W taki sposób PwB komentuje życie społeczno-kulturalne stolicy. Wątki podziału na prawo- i lewobrzeżną Warszawę czy budującego się metra, które łączy oba brzegi, stale pojawiają się w scenariuszach Walczaka i Łubieńskiego. PwB mówi o mieście korpoludków z Wilanowa i hipsterów z pl. Zbawiciela, urzędników i społecznych aktywistów – opowiada naczelny miesięcznika „Teatr”. I dodaje, że PwB stał się w pewnym momencie głosem średnio młodego pokolenia, miejscem odwiedzanym przez warszawską inteligencję, ludzi, którzy się tu rodzili albo tu przyjechali i zasili rzesze „słoików”.

– Po wyborach w 2015 r. PwB zaczął silniej komentować życie polityczne, ale na swój sposób. Artyści nie ukrywają swoich liberalnych poglądów, ale nie oszczędzają żadnej ze stron. Śmieją się zarówno z prezydent Warszawy, jak i ministrów PiS, z lewicowych feministek i prawicowych rekonstruktorów. Próbują łapać dystans do wszelkich dyskursów, konserwatywnych i modernizacyjnych, dzięki czemu na ich widowni tworzy się nowa wspólnota – wspólnota śmiechu. Twórcy PwB poruszają się w stylistyce karnawałowej zabawy – aktorzy pojawiają się w perwersyjnych kostiumach, w mocnym makijażu, wspierani przez animowane lalki, które bywają karykaturą znanych postaci. Śpiewają, tańczą, recytują, nie unikając dosadnego słownictwa, ale też poetyckiej metafory. Ich kabaret ma literackie korzenie i odwołuje się do poważnych kodów kulturowych, przede wszystkim romantycznych. By to docenić, trzeba mieć za sobą kilka lektur – opowiada Kopciński.

U stóp artystów z PwB padła nie tyle Warszawa, co pewna grupa warszawiaków – zaangażowana politycznie, manifestująca swoją niechęć do rządzących. Sceny klubokawiarni już wcześniej okazały się za małe, dziś PwB jest w stanie wypełnić widownię Teatru Polskiego. Teraz w zachwytach prześcigają się inni widzowie – sporo starsi.

– Słuchając euforycznych recenzji po przedstawieniach PwB, zawsze czułem się trochę jak renegat, bo nie znajdowałem w nich artystycznej wielkości – mówi Wojciech Krzyżaniak, specjalista ds. mediów z Onetu, autor bloga wTelewizji.pl. – Broniły się, kiedy prezentowane były w małej salce, ale to przecież wydarzenia z „Faktów” czy „Wiadomości”, które sprowadzają do absurdu i już. Twórcy robią to z myślą o bardzo konkretnym odbiorcy, bo PwB to w równej mierze wydarzenie towarzyskie co artystyczne. Odwiedzają ich głównie „luminarze towarzyskiego życia stolicy”. I wydaje się, że zagłaskali ich do tego stopnia, że ci uwierzyli w swoją wyjątkowość – ocenia Krzyżaniak i dodaje, że PwB daleko do kabaretu literackiego na miarę choćby Piwnicy pod Baranami. – Nie ma tam aluzyjnego dowcipu, tylko walenie w łeb sztachetą, a przeniesienie spektaklu do telewizji skończyło się tym, że zobaczyliśmy jego karykaturę, dużo gorszą wersję Kabaretu Olgi Lipińskiej.

OBURZENIE MUSI BYĆ

– Szanujemy pozytywne i negatywne opinie, od ponad pięciu lat proponujemy widzom teatralnym różnorodne spektakle i jako teatr niezależny często ryzykujemy – odpowiedział nam zespół PwB zapytany o krytyczne głosy. Artyści zaznaczyli, że program był dłuższy, a telewizja go skrócił. – Bez kontekstu część numerów wypadła ostro zwłaszcza dla widzów TVN. Jesteśmy przyzwyczajeni do wolności wyobraźni w teatrze i będziemy pracować nad formą telewizyjną i filmową, która tę wolność przeniesie na ekrany.

Czy TVN ich jeszcze pokaże? Oglądalność nie była najlepsza. Średnia widownia wyniosła 851 tys. osób – wynika z danych Nielsen Audience Measurement. Jesienią o podobnej porze TVN nadawał serial, który miał ponaddwukrotnie wyższą widownię.

– Niski wynik oglądalności łatwo tłumaczyć m.in. brakiem wyrobienia czy przygotowania do odbioru takiej „sztuki” przez szeroką publiczność. To całkiem naturalny dla każdego twórcy mechanizm obronny. Przecież jeśli artysta przyjmie do wiadomości, że to jego wina, to koniec. Ale czy naprawdę potrzebne jest jakieś specjalne przygotowanie do odbioru faceta, który w błyszczącej marynarce śmieje się z premiera czy innego polityka? Nie. Przygotowanie to trzeba było mieć, żeby zrozumieć i znieść wspaniałą manierę Kabaretu Starszych Panów, a nie prostackie kpiny jak w monologach Jana Pietrzaka – mówi Krzyżaniak. I zauważa, że widzowie chcieli dać szansę widowisku TVN. – Wyniki oglądalności wskazują, że w trakcie emisji wielu widzów włączało PwB, ale po kilku minutach uciekali. TVN wiedział, że nie będzie to hit, ale biorąc ten spektakl do siebie, liczył pewnie na oburzenie polityków, wzmożenie prawicowych komentatorów, bo wtedy zyskałby PR-owo, jak zawsze mistrzowsko rozgrywając sytuację. Skończyło się jednak na śmiechach z tego, jak bardzo to było nieśmieszne, więc same straty. Lepiej wybrać oglądane przez miliony kabarety w Polsacie. Tam też dowalają politykom, przebierają się, ale niczego nie udają.

– Ci, którzy się dowiedzieli o Pożarze w Burdelu z telewizji, mają pecha. To najgorsze medium dla tego typu przedsięwzięć – uważa Jacek Kopciński i dodaje, że wcześniej TVP próbowała pokazywać popularną grupę Klancyk i zakończyło się to porażką. – To ma sens w teatralnej sali, kiedy publiczność reaguje na każde zmrużenie oka, każdy gest, słowo, aluzję. Tego nie da się osiągnąć w telewizji – twierdzi.

Zawsze przy takich okazjach pojawiają się pytania o to, czy we współczesnej Polsce nie ma szans na drugiego Dudka czy Tey. – Jestem przekonany, że w Polsce są ludzie, którzy potrafią w inteligentny sposób żartować z naszego życia publicznego. Niestety jako ogół nie chcemy takiego niuansującego kabaretu w telewizji. Po popularności takich programów jak „W tyle wizji” czy „Szkło kontaktowe” widać, że wolimy okładanie się sztachetami, mało wybredne porównania i złośliwości. Proste, głośne i błyszczące zawsze będzie popularniejsze, a współczesne media sprawiają, że niebawem nie będzie już wyboru – kwituje Krzyżaniak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Pisać każdy

Krzysztof Masłoń

Literatura powstająca obecnie w Polsce pisana jest albo przez maniaków, albo przez cwaniaków

Badania dotyczące stanu czytelnictwa w Polsce od lat wykazują niezmienną tendencję. Po książkę sięgamy niechętnie, a jeśli już, to – nie da się ukryć – po tytuły z niższych półek w rodzaju „50 twarzy Greya". Ze współczesnej literatury powodzenie mają jedynie kryminały, horrory, sensacje i romanse. Najchętniej zagraniczne, i to te, które były lub będą ekranizowane. Za to polska literatura współczesna, gorąco polecana przez mainstreamową krytykę, omijana jest w księgarniach szerokim łukiem. I trudno się temu dziwić; rodzime środowisko literackie bardziej przypomina zakład dla obłąkanych niż Parnas.

Pisarze dawno już doszli do przekonania, że minęły czasy, w których wystarczyło napisać dobrą książkę i doprowadzić do jej edycji, by móc liczyć na sukces. Skuteczny literacki marketing polegać miał do niedawna m.in. na zainteresowaniu czytelnika osobą samego autora. Miał on być ciekawy poza stronicami swojego dzieła, być postacią rozpoznawalną, jeśli nie sławną, to przynajmniej znaną z wydarzeń pozaliterackich. Dzisiaj działania tego rodzaju, podejmowane u progu III RP np. przez Jerzego Pilcha, budzą uśmiech pobłażania. Problemy alkoholowe nikogo nie wzruszą, bo każdy je ma albo miał, a jeśli nie miał, to utrzymuje, że było inaczej. Zainteresowanie płcią odmienną w zasadzie już z samej natury rzeczy jest passé, no ostatecznie coś można wygrać na ordynarnych seksistowskich żartach, jak to się przytrafiło Januszowi Rudnickiemu, który za sprawą potraktowania pewnej redaktorki jak k…, i tak właśnie nazwanej, stał się pisarzem popularnym, choć wcześniej jego pracowicie wysyłane do „Twórczości" „Listy z Hamburga" miały tylu czytelników, ile numerów tego znakomitego w PRL-owskiej prehistorii periodyku udaje się spieniężyć co miesiąc w wolnej sprzedaży. To znaczy bliżej kilkudziesięciu niż kilkuset. Dziesięć lat temu był też Rudnicki nominowany do nagrody Nike (za „Chodźcie, idziemy"), nie pomogło mu to jednak specjalnie, a może nawet – kto wie? – zaszkodziło. To swoją drogą kapitalne, jak nagroda ta, niegdyś potężne narzędzie promocyjne, została zdeprecjonowana. I to nie tylko przez przyznawanie jej takim „objawieniom" pisarskim jak „Nakarmić kamień" Bronki Nowickiej, co miało miejsce w 2016 r. Naprawdę źle świadczy o literaturze sytuacja, w której za najlepszą książkę roku uznaje się autobiografię jakże mocno zaangażowanego politycznie Karola Modzelewskiego („Zajeżdżamy kobyłę historii", 2014). Zresztą o czym tu mówić, skoro przynajmniej od roku 2001 wszystko jest jasne? To wtedy w ścisłym finale Nike znaleźli się „Sąsiedzi" Jana Tomasza Grossa, którzy w zmanipulowanym czytelniczym plebiscycie rzekomo finiszowali łeb w łeb z ówczesną triumfatorką, powieścią Jerzego Pilcha „Pod Mocnym Aniołem". A Salon Warszawski szalał ze szczęścia, że oto ich „Janek" został odpowiednio doceniony za tak ważne dzieło. Antypolskie.

OPERA MYDLANA

Trzy lata później tą samą, w owe lata bezkonkurencyjną, nagrodą został uhonorowany Wojciech Kuczok za „Gnój", sfilmowany następnie przez Magdalenę Piekorz i pod tytułem „Pręgi" również uhonorowany – Złotymi Lwami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

Na pewno był Kuczok najbardziej obiecującym pisarzem swojego pokolenia, autorem dobrze rokujących opo-

eprasa.pl 1b7f89dddd

może

Wojciech Kuczok (laureat literackiej nagrody Nike w 2004 r. za „Gnój") był najbardziej obiecującym pisarzem swojego pokolenia

FOT. DAWID TATARKIEWICZ/EAST NEWS

wiadań („Opowieści słychane", „Widmokrąg"), niemniej jednak późniejsze jego utwory – tak jak i sfilmowana „Senność" – mocno rozczarowywały. A przecież miał ten urodzony w Chorzowie prozaik z czego czerpać, choćby z dobrze mu znanej gwary śląskiej, a i z kibicowskich tradycji Ruchu. Wspominam o tym nieprzypadkowo; sam jako czytelnik i ówczesny redaktor „Rzeczpospolitej" cieszyłem się z zamieszczanych przez Kuczoka w tej gazecie (w latach 2004–2005) felietonów sportowych. Wtedy jeszcze skupiał się na nie najlepszej kondycji „Niebieskich" z Chorzowa, nie przykładając jakoś wagi do tego, czy piłkarze Ruchu żegnają się przed wyjściem na boisko czy też nie.

Jako się rzekło, z pisaniem szło Kuczokowi opornie, osiągał za to sukcesy jako speleolog, penetrując mniej i bardziej znane jaskinie (to bardzo ważne, dziś modny pisarz powinien zajmować się czymś jeszcze, dobrze widziane są sporty, jednak nie tak trywialne jak tenis; dobrze wie o tym np. Bartek Sabela, jako snowboardzista, slackliner i, przepraszam za wyrażenie, wspinacz prezentujący się niezwykle okazale). A w 2013 r. ożenił się – z Agatą Passent, córką samej Agnieszki Osieckiej. I niemal od razu stał się bohaterem opery mydlanej obejmującej m.in. po części rozbierane sesje fotograficzne, wiadomości o scysjach dzielących parę i szczęśliwych powrotach do siebie, „stuprocentowo" pewne informacje o rozwodzie, a następnie zdjęcie rodziców z dzidziusiem, urodzonym dwa lata po ślubie Antosiem. Dla Agaty Passent było to drugie dziecko, dla Wojciecha Kuczoka trzecie, jego najstarszy syn to od dawna dorosły facet.

O ile małżonka Kuczoka znana jest opinii publicznej i jako córka sławnych rodziców, i jako prowadząca TVN-owską „Xięgarnię" (w tym samym TVN24 w „Loży prasowej" od czasu do czasu straszy także Daniel Passent), o tyle pisarz stopniowo stawał się coraz bardziej anonimowy i, widać, wyraźnie tym poruszony, postanowił przypomnieć o sobie znów poprzez sport. To, co napisał 8 stycznia w „Gazecie Wyborczej" o polskich skoczkach narciarskich, jednych oburzyło, drugich obraziło, a najbardziej tolerancyjnych – mocno zdziwiło. Otóż Kuczok dał wyraz swemu zniesmaczeniu na widok żegnającego się przed skokiem Dawida Kubackiego: „Dalibóg [nie inaczej; od „Dalibóg" rozpoczyna zdanie ten osobisty nieprzyjaciel Pana Boga – przyp. K.M.], w żadną pracę z psychologiem nie uwierzę, dopóki to nerwowe »Wymię ojca…« będzie poprzedzało każdy dojazd do progu. Wygląda na to, że w przypadku skoczka z Nowego Targu wiara w Boga jest silniejsza od wiary w siebie".

W tej samej felietonowej „perełce" autor spostponował również Kamila Stocha („wyhodowana maszyna do wygrywania") i wybitnego skoczka sprzed lat Piotra Fijasa („orzeł pośród nielotów"). Oczywiście tekst Kuczoka był w zamierzeniu prowokacyjny i jako taki spełnił swoje zadanie. O felietoniście „GW" wie dzisiaj prawie każdy Polak. Tyle że prawie każdy ma go za…, co z całą pewnością nie zwiększy poczytności jego książek.

Kuczok przy okazji zareklamował też wybitne poczucie humoru swojej żony, która ponoć znak krzyża czyniony przez Dawida Kubackiego przed skokiem traktuje jako „jeszcze jeden dowód na przewagę narciarstwa alpejskiego. Mówi, że nie byłoby problemu, gdyby miał kijki".

ULICZNICE I ULICZNICY

Wymieniony wyżej wspinacz Sabela jest również – tak jak Kuczok – pisarzem, to znaczy wydaje książki w oficynie Czarne u, od pewnego czasu, też pisarki Moniki Sznajderman, żony również pisarza – Andrzeja Stasiuka. Z tego grona w świadomości społecznej istnieje tylko ten ostatni, ale już za minutkę, już za momencik Polska doceni i Bartka Sabelę. Na razie poznała go jako zadymiarza, który 17 stycznia obrzucił pojemnikami z farbą siedzibę PiS przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Wcześniej pracował na nazwisko, odpalając race na demonstracji „Stop faszystom w stolicy", blokował wjazd do Senatu, protestował przeciw wycinaniu Puszczy Białowieskiej i przeciw ustawie antyaborcyjnej. Z wykształcenia jest architektem, ale pieniądze zbiera w Internecie, a jak je zbierze, to jeździ po świecie, a następnie pisze książki – to o Uzbekistanie, to znów o Saharze Zachodniej – i bywa, że dostaje za nie nagrody (m.in. podróżniczy „Bursztynowy Motyl", 2014).

O felietoniście „GW" wie dzisiaj prawie każdy Polak. Tyle że prawie każdy ma go za…, co z całą pewnością nie zwiększy poczytności jego książek

W kraju wyżywa się w protestach – i w tych organizowanych przez ruch Obywateli RP, i w innych, byle wymierzonych w istniejącą władzę. O tym, że to on oblał farbą warszawskie biuro PiS, powiadomił świat za pośrednictwem Facebooka. Osobiście, w końcu obowiązkowe lekcje z marketingu tacy pisarze jak on mają za sobą.

Sabela zdobył popularność, rzucając pojemnikiem z farbą, jego literacka koleżanka Klementyna Suchanow 8 grudnia

eprasa.pl 1b7f89dddd

Z grona literatów związanych z oficyną Czarne w świadomości społecznej istnieje tylko Andrzej Stasiuk FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS

zeszłego roku po manifestacji przed Pałacem Prezydenckim obrzuciła jajami limuzynę rządową, za co została przez policjantów powalona na ziemią i skuta kajdankami, co następnie z dumą pokazywała wszem wobec na dowód swojej waleczności oraz opresyjności działań służb bezpieczeństwa.

„Dzieje się dużo rzeczy, które mnie wkurzają, i nie umiem na nie nie reagować" – tłumaczyła swoje postępowanie w Radiu TOK FM, wyjaśniając rozbrajająco: „Robię to, co słuszne". Nie da się nie zauważyć, że ta uliczna aktywność Klementyny Suchanow zbiegła się z premierą jej, wydanej oczywiście przez Czarne, dwutomowego dzieła „Gombrowicz. Ja, geniusz". Naturalnie rozreklamowała je niezawodna w takich przypadkach Justyna Sobolewska, indagując biografkę (?) autora „Ferdydurke" następująco:

„– Gdy w Berlinie powiedział, że »Polacy są zaściankowymi nacjonalistami«, w Polsce zawrzało. Ale gdyby dziś coś takiego powiedział, byłoby podobnie. To była prowokacja?

– To skomplikowana historia, w której nie do końca wiadomo, czy była zaaranżowana przez samą Swinarską [autorkę artykułu w »Życiu Literackim«, w którym zmanipulowała prywatną rozmowę z twórcą »Pornografii« – przyp. K.M.] czy na zlecenie. W każdym razie, kiedy już wybuchła, a Swinarska przedstawiła Gombrowicza jako osobę, która sobie kpi z dramatu Polaków z okresu wojny, sprawa trafiła do KC PZPR i stamtąd była sterowana ta nagonka. Jak jednak widać, polskie kompleksy są wieczne i niezależne od rodzaju władzy. Czy car, czy marszałek, czy okupant, wychodzi na to samo. Dzisiaj też mamy służby, które skutecznie pracują, żeby kogoś w coś wrobić, jak wtedy wrobiono Gombrowicza, oskarżając go o »hitleryzm«".

Nie łudźmy się, że Suchanow nieoczekiwanie broni tu tych, którzy rzeczywiście pomawiani są obecnie, prawem kaduka, o „hitleryzm". Nic podobnego, ona wyraźnie wskazuje wroga. Jeszcze niedawno na serwisie Lubimyczytac.pl głosiła, że „lubi wszystkie kierunki świata: wschód i zachód, północ i południe", teraz jednak dosmuca. „Najbardziej przygnębia mnie, że Polska w szybkim tempie obiera kierunek na wschód. Moja córka dorastała, kiedy byliśmy już w Unii Europejskiej, była wychowana w duchu poszanowania prawa głosu, zależy jej na tej mocy sprawczej. Ale kiedy dojdzie do wieku, w którym można głosować, może już nie być wolnych wyborów" – wieszczy.

ANTYPOLSKA NARRACJA

Edytorce Klementyny Suchanow i Bartka Sabeli – Monice Sznajderman – w skórze wydawcy zrobiło się pewnie coraz ciaśniej i stąd zapewne wzięła się jej wzmożona działalność publiczna, a także literacka – z miejsca zauważona i doceniona przez znawców literatury z okolic ul. Czerskiej. „Fałszerze pieprzu. Historia rodzinna" od razu też znalazła się w finale Nike. Dzieje swojej polsko-żydowskiej familii autorka przedstawiła w sposób poprawnościowo wręcz wzorcowy. I żydowscy Sznajderanowie i polscy Lachertowie ukazani są z sympatią, niezbędną dozą humoru, a nawet – zaryzykuję – z odrobiną miłości. Tyle że przyszła wojna, okupacja i Holokaust, a wtedy jedna babka świeżo upieczonej pisarki pozowała do portretu wśród kwiatów [też nie miała kiedy – przyp. K.M.], a druga szła na rzeź. „Istnieli, owszem, »swoi Żydzi« – wywodzi Monika Sznajderman. – Ale »en bloc« Żydzi uosabiali obcość, z którą trudno się było utożsamiać, która nie była człowiecza, i w tym sensie trudno było jej współczuć".

Sprawy polsko-żydowskie są od dawna już w naszej literaturze fundamentalne, ale na nieznane jej wcześniej tory pchnęła je dopiero dwa lata temu Olga Tokarczuk. Po otrzymaniu za „Księgi Jakubowe" nagrody Nike w wywiadzie telewizyjnym orzekła: „Wymyśliliśmy historię Polski jako kraju tolerancyjnego, otwartego, jako kraju, który nie splamił się niczym złym w stosunku do swoich mniejszości. Tymczasem robiliśmy straszne rzeczy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów". Gwoli informacji: kolonizatorami byliśmy wobec np. Ukraińców, niewolnikami byli chłopi, a nienawiść do Żydów wyssaliśmy – jak wiadomo – z matczynym mlekiem.

Jeśli dziś oburzamy się na państwo izraelskie, które w walce Polski o swoje dobre imię widzi jedynie niezgrabną próbę negowania Holokaustu, to przyjmijmy do wiadomości, że w roli sprawców Zagłady obsadzili nas wcale nie wyłącznie obcy, żydowscy autorzy, lecz i polscy pisarze. Jasne, ich zwolennicy jak mantrę powtarzać będą za Żeromskim o polskich ranach, które trzeba szarpać, by nie zabliźniły się błoną podłości. Tylko dlaczego z ranami tymi obnoszą się – jak, dajmy na to, Andrzej Stasiuk – przed Niemcami? Dlaczego posypują głowę popiołem za nikczemność Zagłady, zdejmując odpowiedzialność z prawdziwych zbrodniarzy, że przypomnę tutaj taką skromną „Naszą klasę" Tadeusza Słobodzianka, artystyczne uzupełnienie Grossowych „Sąsiadów"? W końcu

Nie łudźmy się, że Suchanow nieoczekiwanie broni tych, którzy rzeczywiście pomawiani są obecnie, prawem kaduka, o „hitleryzm"

eprasa.pl 1b7f89dddd

dlaczego, w takiej, powiedzmy, odległej tematycznie „Sońce" Ignacego Karpowicza, znów inni – tutaj akurat Białorusini – są krzywdzeni. Przez Polaków? Jakby to powiedzieć… między innymi. Nawiasem mówiąc, pomocnikiem mordercy gardzimy w równym stopniu co sprawcą zbrodni, a niekiedy i bardziej.

SYPIAJĄC Z WROGIEM

Ignacy Karpowicz przypomniał mi się nie bez powodu. Pisarz ten, urodzony w podbiałostockiej, prawosławnej wiosce do literatury dostał się – tak jak wielu innych ludzi pióra – dzięki Paszportowi „Polityki", do którego nominowana została w 2006 r. jego powieść „Niehalo". Paszport otrzymał jednak dopiero pięć lat później, wraz z nominacją do nagrody Nike za „Balladyny i romanse". Robił za światowca, po studiach pracował bowiem na Kostaryce, dłuższymi okresami przebywał też w Afryce. Po śmierci matki wrócił do rodzinnej Słuczanki, epatując dziennikarzy i krytyków opowieściami o życiu bez telefonu i ciepłej wody.

Okazało się jednak, że z dala od Warszawy pisarzowi kłopotów nie ubywa, autor „Sońki" (nominowany do Nike i za „Gesty", i za „Ości", niezmiennie chwalone przez krytykę) zjeżdżał więc do Warszawy, gdzie – jak się później dowiedzieliśmy – użyczała mu gościny egeria Krytyki Politycznej, Kinga Dunin. Co się działo dalej wiemy z upublicznionej korespondencji e-mailowej tej pary. Jak to kiedyś śpiewał Maciej Zembaty w „Balladzie o Imogenie"? „A on był łajdak, starszy już mężczyzna, przy tym żonaty, a w dodatku Ignac". Karpowicz jest Ignac raczej niestary, bo urodzony w roku 1976, ale porzucił bardziej zaawansowaną wiekowo partnerkę dla znacznie młodszego od niej partnera, Juliusza Kurkiewicza, zresztą sekretarza nieśmiertelnej nagrody Nike (a co!), z którym żyje w konkubinacie. Niestety, pisarz nie oddał krytyczce niemałej sumy pieniędzy, co spowodowało upublicznienie przez nią całej sprawy, która obuchem uderzyła we wspomnianego sekretarza Nike, odbierając mu tym samym szansę na bohaterskie dokonanie coming outu.

Inny pisarz – Paweł Huelle – nie gorsząc się zresztą specjalnie całą tą żenującą historią, tak skomentował ją w „Newsweeku": „To ciekawa sprawa pod względem obyczajowym. On jest homoseksualistą, ale sypia z kobietą. Ona z kolei sprzedaje się medialnie jako radykalna feministka, która nie lubi facetów, a tu nagle sypia z jednym z nich. A powinna być lesbijką".

Z innych ciekawostek z naszego życia literackiego wymienić jeszcze warto pobicie rzeczywiście znanego, tyle że jako aktora, Krzysztofa Pieczyńskiego. Ten nieprzejednany krytyk Kościoła katolickiego nie tylko gra w filmach i serialach (ostatnio jakby rzadziej), lecz także wyżywa się artystycznie w raczej nieczytanych powieściach i tomach wierszy wydawanych przez poznański Rebis. A krzywdę, jakiej doznał na warszawskiej ulicy, wykorzystał do wygłoszenia w Polsacie płomiennej filipiki, w której stwierdził, że dla Kościoła jedynym miejscem, na jakie zasłużył, byłby Trybunał w Norymberdze.

Jak widać, ludzie nazywający siebie pisarzami nie dają zapomnieć o sobie. Wikłając się w kolejne skandale i awantury polityczne oraz obyczajowe marzą o laurach, splendorach i wysokich, a do tego sprzedanych, nakładach swoich książek. Z zazdrością spoglądając na takiego np. Tomasza Piątka, który wprawdzie sześć lat temu nie podbił czytelniczego rynku swoim „Antypapieżem", za to ostatnio wywindował się na wysokie miejsca rankingów bestsellerów książką „Macierewicz i jego tajemnice". Pisarz ten dawno temu, bo w 2002 r., uwiódł odbiorców literatury rzekomo autobiograficzną „Heroiną". Teraz jego „Macierewicz…" traktowany jest jako literatura faktu, choć przedstawione przez Piątka informacje z faktami zdecydowanie się rozmijają. Jednak to naprawdę nie ma znaczenia. Literatura powstająca obecnie w Polsce pisana jest albo przez maniaków, albo przez cwaniaków. Ta pierwsza interesuje tylko krewnych i znajomych królika, tę drugą uda się czasem wcisnąć tej istniejącej jeszcze grupie społecznej, której słowo drukowane potrzebne jest niczym chleb i woda. Jednak wszystko jest do czasu. Czytelników będzie ubywać, a potencjalni klienci jeszcze działających księgarń 10 razy zastanowią się przed kupnem książki autora, może i znanego, ale budzącego niechęć, złość, a bywa, że i odrazę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Uliczna aktywność Klementyny Suchanow zbiegła się z premierą jej, wydanego oczywiście przez Czarne, dwutomowego dzieła „Gombrowicz. Ja, geniusz"
FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

eprasa.pl 1b7f89dddd

Piotr Gociek

To pewne – nigdy nie zostanę członkiem amerykańskiej Akademii Filmowej. Jednak czy ten drobiazg może przeszkadzać w przyznawaniu moich własnych Oscarów?

Oscary subiektywnie

Niech to będzie ranking w nakreślonych przez Akademię ramach – wybieram spośród oficjalnie nominowanych w poszczególnych kategoriach, co nie znaczy, że zgadzam się ze wstępnymi decyzjami szacownego gremium. Układam moją listę nagrodzonych, nie znając oficjalnego werdyktu – ogłoszono go, gdy ten numer „Do Rzeczy" wędrował już do kiosków. Jednak moim zamiarem nie było celne typowanie, tylko wskazanie listy najlepszych – takiej, jaką podpowiadają mi gust, rozum i serce.

TECHNICZNIE RZECZ BIORĄC

Będę w tej kwestii może nudny, ale konsekwentny. „Blade Runner 2049" to jeden z najlepszych filmów roku. Jednak skoro skrzywdzono go brakiem nominacji w kategoriach „Film" i „Reżyseria", to warto przynajmniej docenić pieczołowitość i talent, z jakimi wykreowano ten niezwykły świat. Zatem w kategoriach „Efekty specjalne" oraz „Najlepsza scenografia" (tu akurat oscarowe nominacje są) nagradzam po dwakroć film Denisa Villeneuve'a. I dorzucam trzecie wyróżnienie za zdjęcia. Roger Deakins dostał w tym roku swoją 14. oscarową nominację i czas najwyższy, by wreszcie dostał Oscara. Nie udało się z „Sicario", „Prawdziwym męstwem" czy „To nie jest kraj dla starych ludzi", niechże uda się z „Blade Runnerem 2049". To olśniewający wizualnie film, w którym niemal każdy kadr to majstersztyk.

Najpiękniejsze kostiumy mogliśmy oglądać w dwóch produkcjach. Pierwsza to aktorska wersja animowanego przeboju „Piękna i Bestia". Druga to „Nić widmo" Paula Thomasa Andersona. I na ten ostatni film wskazuję, przyznając mojego Oscara. Co do charakteryzacji – trzeba docenić trud ludzi, którzy zamienili Gary'ego Oldmana w Winstona Churchilla. Zatem w tych zawodach wygrywa „Czas mroku".

Za montaż dźwięku brawa – i nagroda – należą się autorom rewelacyjnie zmiksowanej ścieżki dźwiękowej do „Baby Driver". Za sam dźwięk nagradzam „Kształt wody", bo perfekcyjnie podkręca fabułę (inna sprawa, że irytująco głupiutką). Co do muzyki niezawodny Hans Zimmer sprawił, że nawet podczas drugiego oglądania „Dunkierki" czułem, jak serce mi przyspiesza. Jednak najpiękniejsza jest w tym roku muzyka Alexandre'a Desplata do „Kształtu wody", wpisująca się ładnie w tradycję hollywoodzkich wyciskaczy łez. Tutaj zatem mój Oscar.

Spośród piosenek najbardziej przypadła mi do gustu soczysta soulowa „Mighty River" śpiewana przez Mary J. Blige w filmie „Mudbound", choć wiem, że Akademia pewnie będzie wolała „Remember Me" z animowanego hitu „Coco" – łatwo wpadającą w ucho, idealnie radiową.

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Duma, serce czy rozsądek? Duma z osiągnięć rodaków mówi „Twój Vincent". No tak, ale jest to dzieło niepełne, a gdy minie pierwszy zachwyt nad techniczną maestrią opowieści o van Goghu – nużące. Serce wskazuje: niedoceniany „The Breadwinner" (reż. Nora Twomey), ciekawa ekranizacja młodzieżowej powieści „Żywiciel" Deborah Ellis, znanej także w Polsce. A rozsądek przypomina: komercja i wielkie pieniądze, czyli „Coco", hit ze stajni Pixara, za którego sukces odpowiadają twórcy „Toy Story 3". Jednak czy tylko rozsądek? Dobrze się bawiłem na „Coco", zabawnej i wzruszającej podróży przez krainę umarłych, którą przemierza marzący o karierze muzycznej chłopak. Z pięciu nominowanych tytułów (walczą jeszcze irytujący „Dzieciak rządzi" i przeciętny „Fernando") „Coco" jest chyba dziełem najbardziej kompletnym, choć trudno je nazwać wybitnym artystycznym osiągnięciem. Niestety, w tym roku zabrakło propozycji tak zachwycających jak „Sekrety morza" Tomma Moore'a. Zatem „Coco" rządzi.

NAJLEPSZY FILM OBCOJĘZYCZNY

Wątpliwości nie mam – „Niemiłość" Andrieja Zwiagincewa tnie jak nóż

eprasa.pl 1b7f89dddd

„Blade Runner 2049" to jeden z najlepszych filmów roku FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i rozerwie wasze dobre samopoczucie na strzępy. Zwiagincew, autor słynnego „Lewiatana", „Eleny" czy „Powrotu", przywraca wiarę w kino zwane niegdyś dramatem psychologicznym. To nie zabawa, to wiwisekcja ludzkiej duszy, a przy okazji duszy rosyjskiego narodu, który zagubił swą drogę w czasach putinizmu-konsumpcjonizmu. Skromna opowieść o małżeńskiej i rodzicielskiej bezduszności zamienia się w wielowarstwową metaforę. Także na temat świata, w którym żyjemy. Świata, w którym łatwo jak nigdy sprzedaje się i kupuje seks, świata, który choruje na tytułową „Niemiłość".

Żałuję bardzo, że oscarowej nominacji nie dostał inny niesamowity film nakręcony w języku rosyjskim – pokazywana w Cannes „Łagodna" ukraińskiego reżysera Siergieja Łoźnicy. Chyba zbyt hermetyczny dla amerykańskiej publiki, za to operujący masą kodów doskonale zrozumiałych dla widza ze środkowej i wschodniej Europy.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Brakło mi tu nominacji dla Judi Dench za wyśmienitą robotę w przeciętnym „Powierniku królowej". Skoro kiedyś warta była takiego wyróżnienia za rolę królowej Wiktorii w „Jej wysokości pani Brown", to tym bardziej trzeba było zauważyć, że teraz – jako monarchini stojąca nad grobem i kwestionująca sens swego życia oraz dokonań – była jeszcze lepsza. Muszę jednak wybierać spośród nominowanych, więc najpierw odrzucam dwie kandydatury, które są nieporozumieniem (Mary J. Blige za występ w „Mudbound", filmie skądinąd godnym uwagi, oraz Octavia Spencer za rolę w najbardziej przecenionym filmie sezonu, jakim jest „Kształt wody"). I po chwili wahania wskazuję Allison Janney, która stworzyła mocną kreację opresyjnej matki w ciekawym „Jestem najlepsza. Ja, Tonya".

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Tutaj wahania nie było – Sam Rockwell jako rasistowski gliniarz w „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri" bije konkurencję na głowę. Fakt, że ma co grać i jest pewnie prowadzony, bo cały film to popis reżysera oraz scenarzysty w jednym, Martina McDonagha (co ciekawe, choć film dostał nominacje w siedmiu kategoriach, to nie było wśród nich reżyserii). Rockwell przez wiele lat pracowicie wyrabiał sobie pozycję w Hollywood, zagrał w niemal stu produkcjach. Jednak wyróżniać zaczął się w ostatnich latach, wystarczy wspomnieć ciekawy dramat science fiction „Moon" czy trochę niedocenione „Najlepsze najgorsze wakacje". W filmie „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri" zagrał rolę życia (tak, wiem, nie ja pierwszy to mówię).

NAJLEPSZA AKTORKA

21 nominacji i trzy Oscary ma na swoim koncie Meryl Streep, ale w „Czwartej władzy" nie pokazuje niczego ponad dobry poziom, do którego przyzwyczaiła nas przez dekady. Sally Hawkins w „Kształcie wody" musiała poradzić sobie bez wypowiedzenia ani jednego słowa, więc zadanie miała trudne. Wywiązała się z niego dobrze, lecz jej kreacja zdaje mi się taka na jedną nutę. Saoirse Ronan, fenomenalna 24-latka, zdążyła już zdobyć trzy nominacje, w „Lady Bird" jest bardzo dobra, myślę jednak, że wciąż czeka na wielką rolę godną swego talentu. Margot Robbie podobała mi się bardzo w „Jestem najlepsza. Ja Tonya", gdzie zaskoczyła tym, ile można wydobyć z dość płaskiej, zdawałoby się, postaci. Gdyby w tej konkurencji nie startowała w tym roku Frances McDormand, pewnie wskazałbym właśnie Margot Robbie. Jednak jest McDormand i jej przepełniona milczącą wściekłością rola w „Trzech billboardach za Ebbing, Missouri". I to dla niej szykuję swojego subiektywnego Oscara.

NAJLEPSZY AKTOR

W tej kategorii najbardziej emocjonujący był pojedynek weteranów. Gary Oldman jako słynny brytyjski polityk, przysłonięty niezwykłą pracą charakteryzatorów, którzy szczupłego Oldmana zamienili w baryłkowatego Churchilla. Aktor zrobił w tej sytuacji, co mógł – oglądając „Czas mroku", proszę obserwować jego oczy, w których znaleźć można wszystko: wybitną inteligencję, pychę, arogancję, a także – kiedy trzeba – niepewność, lęk i tragizm. Wszystko to robi wrażenie. Z kolei Daniel Day-Lewis lekko zaszantażował nas w tym roku, oznajmiając, że rola w filmie „Nić widmo" to jego pożegnanie z aktorskim fachem. I jak tu nie nagrodzić giganta kina na do widzenia? Pozostali kandydaci to albo nie ten rozmiar buta (Timothée Chalamet w „Tamte dni, tamte noce" oraz Daniel Kaluuya w „Uciekaj!"), albo casus Meryl Streep, bo o nominowanym już po raz ósmy Denzelu Washingtonie wypada powiedzieć to samo, co chwilę wcześniej o Meryl – tak, wiemy, żeś dobrym aktorem, ale rola w „Roman J. Israel, Esq." niczego nowego nam o tobie nie powiedziała.

Rozdarty jestem, będę więc musiał kalkulować niczym członkowie Akademii, biorąc pod uwagę całokształt dorobku. Daniel Day-Lewis już ma trzy Oscary (choć jeden z nich za niewłaściwy film, bo jego występ w „Gangach Nowego Jorku" był o niebo lepszy od roli w nagrodzonym „Lincolnie"). Gary Oldman natomiast Oscara jeszcze nie ma (to dopiero druga nominacja), a mieć powinien. Nagradzam go więc za „Czas mroku".

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

„Trzy billboardy za Ebbing, Missouri". Reżyser Martin McDonagh sam napisał sobie ten scenariusz, rzecz w duchu najlepszych dokonań braci Coen. Świetne dialogi, ciekawa konstrukcja i masa ciekawie nakreślonych bohaterów – nie ma tu słabej roli do zagrania. Wybór łatwy, bo pozostałe cztery nominacje plasują się jednak o poziom niżej („Lady Bird", „Kształt wody", „Uciekaj!", „The Big Sick").

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Dla mnie wygrywają „Tamte dni, tamte noce". Film mnie nie uwiódł, doceniam za to robotę scenarzysty Jamesa Ivory'ego,

eprasa.pl 1b7f89dddd

Sam Rockwell w „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri" stworzył najlepszą postać drugoplanową FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gary Oldman jako Churchill w „Czasie mroku" to najlepsza kreacja aktorska FOT. MATERIAŁY PRASOWE

którego praca sprawiła, że w ogóle można było próbować przełożyć powieść André Acimana na język kina. Jest to bowiem proza eteryczna, nieuchwytna, subiektywna, niczym u Lawrence'a Durrella albo (no, może ciut przesadzam) Marcela Prousta. James Ivory jest mistrzem translacji, gdy chodzi o zamianę literatury w kino, a mimo to do tej pory Oscara nie dostał, choć warto przypomnieć, że nominacje dostawał nie za pisanie, lecz za reżyserię („Pokój z widokiem", „Okruchy dnia" i „Powrót do Howards End"). W czerwcu skończy 90 lat i nie sądzę, byśmy jeszcze mieli okazję go nagrodzić, jeśli nie zrobimy tego teraz. Zatem Oscar za całokształt, który przemyślnie ukrywam w nagrodzie za najlepszą literacką adaptację. Wybieg ten przychodzi mi o tyle łatwo, że pozostałe filmy nominowane w tej kategorii były chyba ciągnięte za uszy na siłę („Gra o wszystko", „Mudbound", „Logan", „The Disaster Artist").

NAJLEPSZA REŻYSERIA

Zacznijmy od najmniej znanych twórców. Greta Gerwig nakręciła świetny obyczajowy „Lady Bird", Jordan Peele przewrotny horror „Uciekaj!". Potem idzie specjalista od poprozrywki Guillermo del Toro i jego „Kształt wody", a stawkę uzupełniają Christopher Nolan z „Dunkierką" i Paul Thomas Anderson proponujący „Nić widmo". Moim zdaniem najpoważniej traktować należy tym razem dwóch ostatnich. A na nagrodę zasłużył Anderson, jeden z nielicznych wybitnych twórców współczesnego kina, autor „Magnolii" i „Poleje się krew". Jego film jest kameralny, momentami niemal jak sztuka teatralna, ale to, jak mistrzowsko poprowadził aktorów, jak wydobył z nich najdrobniejsze niuanse, półtony – wszystko to godne jest najwyższego uznania. I mojego subiektywnego Oscara. Przy okazji – wstyd, że w tej kategorii nie dostał nominacji Martin McDonagh za „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri".

NAJLEPSZY FILM

Czy nagroda za reżyserię musi iść w parze z nagrodą dla najlepszego filmu? Niekoniecznie. Tutaj wypada spojrzeć na film jako całość. Który w tym roku jest najbardziej udany? Jako film – nie jako fantazja, nie jako thriller, nie jako manifest polityczny. „Lady Bird" mimo swych zalet odpada, „Czas mroku" jako całość jest słabszy od kreacji Oldmana w roli Churchilla, „Czwarta władza" – nudna i mało odkrywcza, „Tamte dni, tamte noce" – nadmiernie manieryczny. „Uciekaj!" i „Kształt wody" to kino gatunków, w dodatku ten ostatni kiepski. Zatem gdzie szukać zwycięzcy? „Dunkierka", „Nić widmo" czy „Trzy billboardy…"? „Nić widmo" to jednak propozycja głównie dla widza zaawansowanego. Do „Trzech billboardów…" mam pretensję o zakończenie niepasujące do perfekcji reszty filmu. Zgodnie zatem z tradycją wyróżniania Oscarami wielkich filmowych widowisk daję moją nagrodę „Dunkierce".

PRZECENIENI I SKRZYWDZENI

Wyimaginowana statuetka „Najbardziej przeceniony z przecenionych" trafia ode mnie oczywiście do twórców filmu „Kształt wody", który poza wizualną konsekwencją i piękną muzyką nie przynosi nic poza zniecierpliwieniem i rozczarowaniem. Guillermo del Toro wymieszał polityczną poprawność z kawałkami mitów popkultury, od „King Konga" do „Pięknej i Bestii". Jest to według mnie koktajl przekalkulowany i nie do zniesienia. Tak, wiem, pewnie w chwili, kiedy czytacie te słowa, okazuje się, że „Kształt wody" zdobył najwięcej prawdziwych Oscarów, ale mam to w nosie.

Wśród filmów pominiętych przez Akademię jest jednak w tym roku garść tytułów naprawdę ciekawych. Za film wybitny uważam „Zaginione miasto Z" Jamesa Graya. Wśród filmów dziwacznych, acz intrygujących wyróżnia się w tym roku nietypowy horror „A Ghost Story". Kawał świetnej komedii obyczajowej zapewnił Steven Soderbergh w „Logan Lucky". Jeśli chodzi o dramaty kryminalne, to nic nie zrobiło na mnie w minionym roku takiego wrażenia jak „Wind River. Na przeklętej ziemi". Sprawdźcie sami, wszystkie te tytuły (oprócz „A Ghost Story") dostępne są już w Polsce na DVD. A ja idę pokroić ziemniaki i posiekać warzywa. W końcu zawsze po ceremonii wręczenia nagród odbywa się słynny Bal Gubernatora, na którym bawią się zwycięzcy, pokonani, członkowie Akademii, a nawet czasem dziennikarze. Muszę więc coś upichcić. Każdy się bawi tak, jak potrafi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

NIEZAPOMNIANY KONCERT

16 MARCA
WROCŁAW
GODZINA 20.00

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

ORAZ

ORKIESTRA NFM FILHARMONII WROCŁAWSKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

BILETY DO NABYCIA | W kasach Narodowego Forum Muzyki we Wrocławiu. Kasa czynna od poniedziałku do piątku w godzinach 11:00–18:00

REZERWACJA BILETÓW | Rezerwacji biletów można dokonać telefonicznie od poniedziałku do piątku w godzinach 9:00–17:00 oraz w soboty w godzinach 15:00–20:30 pod numerem telefonu: +48 71 715 97 00. Rezerwacji można dokonać także e-mailowo pod adresem: rezerwacje@nfm.wroclaw.pl.

REZERWACJA ONLINE
WWW.NFM.WROCLAW.PL | BILETY.NFM.WROCLAW.PL

NARODOWE FORUM MUZYKI PLAC WOLNOŚCI 1, WROCŁAW

MECENAT KONCERTU centrum historii zajezdnia · Ośrodek Pamięć i Przyszłość

WSPÓŁORGANIZATOR Wrocław the meeting place

PARTNERZY ALIOR BANK · LOTTO · Poczta Polska

PATRONI MEDIALNI Jedynka · TVP 1 · Gazeta · Do Rzeczy · wprost

eprasa.pl 1b7f89dddd

Smuteczki Pawła Sołtysa

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI/NEWSWEEK/FORUM

Andrzej Horubała

Tom „Mikrotyki" przyniósł kawałki wyśmienitej prozy, zdecydowanie wyrastającej ponad krajową przeciętność

Pisze Paweł Sołtys w jednym z najbardziej poruszających opowiadań z debiutanckiego tomu „Mikrotyki":

Kobieta, z którą miałem się spotkać, już raczej nie przyjdzie. Nie chce mi się nawet do niej dzwonić, sprawy potrafią cichnąć i zamierać. Kończy się pora na lunch, w ruch idą serwetki, karty płatnicze i monety w napiwkach. Dwa głośniki z pomarańczowymi znaczkami JBL sugerują, że love, love will tear us apart again, ale bez przekonania. To nie Ian Curtis, tylko jakaś smoothjazzowa przeróbka. Pewne sprawy cichną i zamierają, stają się smoothjazzowymi coverami, elegancką parszywką. Jestem bez okularów, więc przesiadam się bliżej, zamawiam alkohol, pierwszy raz od dwóch miesięcy. Na chybił trafił, bo nie wiem, co powinno się pić w takim momencie.

Za chwilę nastąpi przesilenie: bohater natknie się na człowieka niewidzianego od 20 lat i przyjdzie świetna coda opowiadania, w której usłyszeć będzie można wpośród wielu innych głosów i echo „Oplutego" Marcina Świetlickiego.

Ale my zatrzymajmy się nad tymi zdaniami, rzuconymi jakby tylko dla nakreślenia przypadkowych okoliczności spotkania. Czy Paweł Sołtys nie chce powiedzieć nam czegoś o swoich uczuciach, o swoim pisarstwie? Smoothjazzowa parszywka – lekkostrawna muzyczna potrawa, wygładzająca ostrza dramatów, łagodząca drapieżne nuty, owijająca saksofonową watoliną coś, co zrodzone było z gwałtownych uczuć i szlochu. Czyż Sołtys nie zadaje pytania o jakość swego uczuciowego świata, swego pisarstwa, które oświetla promieniami zachodzącego słońca dawne dramaty i porywy uczuć? Czy nie przyznaje się do własnej bezsilności wobec mechanizmu pamięci, która ludzkie losy otula nostalgią i inkrustuje vintage'owymi diamencikami?

Nie wykluczałbym tego tropu, tym bardziej że Paweł Sołtys, także jako Pablopavo – znakomity tekściarz, wokalista, kompozytor – bywa bardzo przewrotny, nie tylko wtedy, gdy igra z muzycznymi konwencjami czy kryptocytatami.

Wsłuchajmy się choćby w otwierający płytę „Tylko" sygnowaną Pablopavo utwór „Sobota" z refrenem:

i tylko już nie ma tego,
który by to dobrze spisał
książę się w noc książę się w noc
w powidok się książę wypisał.

Aluzja oczywista – tytuły książek mistrza krótkich form, Marka Nowakowskiego, w refrenie tego epitafium ewidentne. Nie ewidentna natomiast gra, jaką rozwija Pablopavo w zwrotkach piosenki. Bo przecież właśnie to spisuje i spisuje w sposób mistrzowski: kongenialnie pastiszuje Marka Nowakowskiego, który krótką frazą, szybkim sztychem kreślił sytuację, że stawała się i obrazkiem rodzajowym, i socjologiczną obserwacją, a także wymierzeniem sprawiedliwości widzialnemu światu.

Pierwsza zwrotka i scenka, jak to jąkała kupuje bułki, a stojący za nim w kolejce nowobogacki szpaner nawiązuje spojrzeniem szyderczą więź z ekspedientką:

się szczerzy szeroko
pełen garnitur zębów śnieżno-białych
i na palcu kluczyki do Tourana w chybocie.

A do tego liryczna minipuenta:

zza szklanych drzwi się patrzy jąkały pies
wybacza, psy wybaczają przy sobocie.

Znać, że Pablo dokładnie prześwietlił metodę Nowakowskiego, a i swój talent do upoetycznienia zwyczajnych sytuacji wprzągł… I podobnie kolejne zwrotki:

eprasa.pl 1b7f89dddd

o bezpańskim kocie wahającym się, czy zjeść, czy nie, wystawioną w pudełku po margarynie karmę, bo przecież „truli chrześcijanie koty tu w ten sposób", wreszcie obrazek z przebudzenia pod płotem, gdy „się przegrało i wygrało zarazem z piątkiem", szuka się portfela, ciężko wspomina troskliwą żonę, próbuje odtworzyć nocne przygody – wszystko to sytuacje nasycone szczegółami, znaczącymi rekwizytami, będące hołdem dla zmysłu obserwacji mistrza Nowakowskiego, a zarazem przecież popisem własnej maestrii. Czy rzeczywiście „nie ma tego, kto by dobrze spisał"? Pablopavo mruga do nas okiem i snuje swą balladę.

I przecież udało się.

Przyszedł czas na jego debiut prozatorski. Tom „Mikrotyki" przyniósł kawałki wyśmienitej prozy, zdecydowanie wyrastającej ponad krajową przeciętność. Przyniósł opowiadania pełne nostalgii, melancholii, wspominki człowieka, który już wyczepił, outsidera, obserwatora raczej niż uczestnika zdarzeń, kolesia z papierosem w ustach obserwującego, jak spalają się, wariują, łudzą, kochają inni. Opowieści człowieka, który już się nie ściga, widział za dużo śmierci i cierpienia, widział za dużo nieszczęść.

Raz zwróci się ku dzieciństwu, które jest dla niego czasem nabywania gorzkiej świadomości, że nie zbawi świata, nie stanie dzielnie w obronie uciśnionych, nie będzie megabohaterem, a jedyne, co może ofiarować prześladowanym, to bezsilne współczucie literatury. Przywoła scenę, jak to prawą ręką obejmując piłkę, idzie obok skrzywdzonego kolegi. Ale co zrobił ze swą lewą ręką? Posłuchajmy ostatnich zdań opowiadania „Lato": „Może położyłem ją na ramieniu Wiśni? Raczej nie, nie pamiętam, niech mi ktoś wybaczy". No tak, potrafi ująć, dokładnie zna alchemię literackich wzruszeń. Czasem będzie to akord, częściej pojedynczy dźwięk, gdy nagle na koniec epizodu z ochroniarzem, na którego natknie się wędrując śladami dzieciństwa, rzuci: „w świetle latarni widać, że ma ślad po obrączce, wygląda jak głębszy cień, pogrubiony".

Kiedy indziej pochyli się nad magicznym czasem dojrzewania i wielkiej tajemnicy seksualności („Znaliśmy słowo »cycki« i widzieliśmy te wybrzuszenia"), seksualności, która też będzie miała u niego walor jakiejś daremności, smutku.

Zabierze nas na spacer po przepoczwarzającej się w nowoczesnego bezdusznego molocha Warszawie, by odtwarzać jej dawne ludzkie oblicze, czasem odwoła się do bolesnej na wpół zatartej wojennej i powojennej przeszłości. Zmieszane genealogie warszawiaków, ślady Holokaustu („– Kiedy… jesteśmy sami, jak mam do ciebie mówić? Tamtym… tamtym imieniem czy tak jak teraz, Boguś…?"), pogmatwanych metryk, płynnych przynależności wyznaniowych, szabru i szmuglu.

Wprowadzi gościa, który nosić będzie ze sobą karteluszki z dziwnymi zapiskami, mającymi chronić przed złudnym poczuciem szczęścia i beztroski. Karteluszki przywołają grozę niedawnych, nieodległych, a może przyczajonych już w skradającej się przyszłości zdarzeń. Wykaligrafowane staroświeckim charakterem pisma wyrazy: „Ukrywający się, przerażeni ludzie", „Zaginione dziecko", „Poniżający i poniżani".

Zaprosi nas do baru Stokrotka, gdzie wbrew nowym czasom wódkę polewa się na pięćdziesiątki, można jarać szlugi, a kompani przy stoliku potrafią milczeć „jakoś tak po ludzku, nie robiąc z ciszy papieru ściernego".

Będzie nas mamił autentyzmem („Gdybym zmyślał tę historię, dorzuciłbym do porośniętego murku chudego kota patrzącego nieufnie. Chude koty zawsze pasują. Ale kota nie ma"), innym razem bawił wszechmocą narratora, wchodząc do mieszkania przez uchylony lufcik („Mieścimy się bez problemu, wszak jesteśmy tylko spojrzeniem czytelnika").

Nasyci swe opowiadania erudycyjnymi sygnałami, ale tak, by nie zniechęcić czytelnika. Dla koneserów przygotuje językowe smaczki. Opisując przemijanie innych i ich nieme życiowe katastrofy, będzie też ogrywał własne wejście w smugę cienia, gdy podsłuchując konwersację dziewuch na Saskiej Kępie, zapisze: „Dużo było w tej rozmowie anglicyzmów, wklepanych polską fleksją, żeby nie wystawały, jakieś wakacje w Mielnie i picie wódki z jakimś Andrzejem. Pojąłem, że jestem dziadem i że to nie są żadne idiotyzmy, tylko życie, choć opowiadane w języku, który już nie jest mój. Ktoś go wziął i przemalował na seledynowo. Byłem przez te kilka minut w Kraju Młodych Dziewczyn. Trochę jak na Słowacji, niby się dogadujesz i rozumiesz, ale to jednak zagranica".

Ale wcześniej uraczy nas zasłyszanym w czasie tego samego spaceru, w Carrefourze, świetnym tekstem faceta z dwoma okocimami: „Kurwa! Może mnie pani policzyć? Czy ja mogę zapłacić za swoje zakupy? Pani nie widzi, że ja się rozlatuję? […] Czy pani się kiedyś rozlatywała? Tak, że każda komórka w ciele boli i gryzie inną komórkę? Tak, że nie da się żyć?".

Pełen empatii dla pijaczków, wariatów i wykolejeńców, będzie miał też współczucie dla biednych bandziorów, np. braci Greków, którzy bez powodzenia próbowali stworzyć grupę przestępczą z prawdziwego zdarzenia. „Byli za głupi. Najstarszy, by przeżyć, średni, by się nie wpieprzyć na dwadzieścia pięć, a najmłodszy na browna. Prawdę mówiąc, na browna za głupi okazali się dużo od nich mądrzejsi. Ale to trochę później". Promienie nostalgii oświetlają Stegny, oświetlają Grochów i wszystko wygładzają. Przecież nawet katujący na prywatce naszego bohatera prawie dwumetrowy osiłek zasługuje na zrozumienie: „bił na poważnie, bił za swoje dresy z bazaru, za hutę, która upadła, więc stary od roku siedzi w domu, za starą, którą stary leje, jak syna nie ma, za wszystkie te dziewczyny, które przechodzą na drugą stronę ulicy, za dziewczyny z teledysków Nazara, Kasy i Norbiego, za pieniądze, które robią inni, za Balcerowicza, Wałęsę, Tymińskiego i oczywiście za Żydów, Niemców i Ruskich, bił na poważnie, w szale".

PAWEŁ SOŁTYS „MIKROTYKI" WYDAWNICTWO CZARNE 2017

„Mikrotyki" Sołtysa świetnie będą współgrać z jego piosenkami podpisanymi ksywką Pablopavo. Spotkamy tu bohaterów opiewanych już w songach, zobaczymy te same krajobrazy, napisy na murach, miniemy szkolne boisko. Zajrzymy do okien na osiedlu z wielkiej płyty i wyobrazimy sobie „monstrualny gramofon grający tę wielką płytę, nasze życie, mnie, siostrę na obcasach i tych dwoje przed telewizorem". Nocny spacer po Stegnach w deszczu zrymuje się z niesamowitym „Ostatnim dniem sierpnia", a utwór z tej samej płyty „Ladinola" – „Znałem faceta" – znajdzie swe kapitalne dopełnienie w leitmotivie opowiadania otwierającego tom prozy.

Autor, nie mogąc zbawić swoich bohaterów, zaoferuje im i nam to, co ma najlepszego – swą twórczość. Smuteczki Pawła Sołtysa destylowane w piosenki lub rozwijane w opowiadania czasem otrą się o kicz, nierzadko o arcydzieło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. MATERIAŁY PROMOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Przeminęło z trądzikiem

Alarm dla planety Ziemia! Barbarzyńcy z plemienia millennialsów szturmują salony! Na razie amerykańskie, lecz reszta świata – wcześniej czy później – też będzie musiała przed nimi skapitulować.

Na szczęście inwazję poprzedziły wnikliwe badania naukowców i mniej więcej wiemy, czego się po generacji Y spodziewać. Osobnicy, którzy dojrzałość płciową osiągnęli na początku wieku, plwają na autorytety i mają gargantuiczny apetyt na życie. Według raportu socjologów z University of New Hampshire „cechują ich wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach, przekonanie o własnej wyjątkowości, nadmierne oczekiwania oraz silna awersja wobec krytyki".

Niby wszystko się zgadza, jednak 17-letnią bohaterkę filmu Grety Herwig trudno uznać za typową przedstawicielkę pokolenia kojarzonego z cyfrową rewolucją. Nie posiada nawet własnego telefonu komórkowego. Pewnie dlatego, że miała pecha urodzić się na zabitej deskami prowincji, czyli w stolicy stanu Kalifornia, zaś konserwatywni rodziciele posłali ją do szkoły prowadzonej przez zakonnice.

Christine jest przekonana, że prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej i każdy, kto ma jakieś ambicje, powinien czym prędzej uciec z Sacramento, najlepiej do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, bunt dziewczyny ma raczej wątłe uzasadnienie. Nikt jej wolności nie ogranicza. Dorośli są aż nadto cierpliwi, tolerują szczeniackie wybryki w przekonaniu, że młodość wyszumieć się musi. Panna McPherson do rozumu dochodzi metodą prób i błędów. Poznajemy ją jako irytującą pozerkę, egoistkę i kłamczuchę. Nie jest bogata z domu, lecz próbuje się przykleić do szkolnej elity. Fatalnie lokuje uczucia i sympatie. Często kłóci się z matką, po której najwyraźniej odziedziczyła wybuchowy charakter. O dziwo, z czasem zaczynamy Christine rozumieć, a nawet jej kibicować. To dobrze wymyślona i świetnie zagrana postać. Pozornie banalna fabuła łapie za serce. Kto, będąc nastolatkiem, nie miał problemów z cerą, rodziną i rówieśnikami, nie zaliczył skrajnych emocji oraz huśtawki nastrojów, niech pierwszy rzuci w ekran kamieniem.

Siła „Lady Bird" prawdopodobnie wzięła się z tego, że to projekt autobiograficzny. Reżyserka, rocznik 1983, pochodzi z Sacramento, skończyła katolicką szkołę, jej matka też pracowała jako pielęgniarka. W wywiadach Herwig zarzeka się, że w przeciwieństwie do Christine była grzeczną dziewczynką. Kto chce, niech wierzy. Nie rokuję jej filmowi wielkiego sukcesu w Polsce. Fabuła jest zbyt mocno osadzona w amerykańskich realiach.

O przyszłość Saoirse Ronan jestem spokojny. Ona zostanie gwiazdą, nawet gdy do głosu dojdzie pokolenie Z. ©℗

★★★★★☆

REŻ. GRETA HERWIG
„LADY BIRD"
USA 2017

wyst. Saoirse Ronan, Laurie Metcalf, Lucas Hedges

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WIECZÓR GIER"

Czarna komedia, w której grupa miłośników rozrywek raczej konwencjonalnych (m.in. scrabble) będzie musiała wytężyć umysły nie w słownych łamigłówkach, lecz by rozwiązać kryminalną zagadkę. Nowy film twórców „W nowym zwierciadle: Wakacje" oraz scenarzystów obydwu części komedii „Szefowie wrogowie". ©℗

Piotr Gociek

- ***„Wieczór gier" („Game Night"), reż. John Francis Daley, wyst. Jason Bateman, Rachel McAdams, Kyle Chandler, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Nieznajomi: Ofiarowanie", reż. Laurent Briet, USA 2018***
- ***„Kobieta sukcesu", reż. Robert Wichrowski, Polska 2018***
- ***„Boski porządek", reż. Petra Biondina Volpe, Szwajcaria 2017***
- ***„Madame", reż. Amanda Sthers, Francja 2017***

eprasa.pl 1b7f89dddd

Tożsamość kreta

Dominika miała zostać gwiazdą baletu, lecz los – w osobie niepoczciwego wujaszka Wani – chciał inaczej. W szkole szpiegów nr 4 nauczono ją kłamać, kraść, zabijać i prostytuować się ku chwale rosyjskiej ojczyzny. Zatraciłaby się dziewczyna ze szczętem, pracując dla cynicznych sadystów, gdyby nie empatyczny agent wywiadu USA. Czy Dominika pójdzie w ślady wuja (dziwnie podobnego do Putina), da się odwrócić, a może zacznie rozgrywać własną partię? I kto jest kretem?

Te zagadki przestają być intrygujące już w połowie filmu, gdy okaże się, że twórcy wpadli aż po uszy w pułapkę sentymentalizmu, stereotypów z niezachwianą wiarą w moralną wyższość Ameryki nad resztą świata.

Budapeszt udaje Moskwę, szpiedzy działają z otwartą przyłbicą, przedstawiając się prawdziwym imieniem i nazwiskiem. „Salt" z Angeliną Jolie też był na bakier z logiką i zdrowym rozsądkiem, ale miał dobre tempo.

★★☆☆☆☆
REŻ. FRANCIS LAWRENCE
„CZERWONA JASKÓŁKA" („RED SPARROW")
USA 2018

wyst. Jennifer Lawrence, Joel Edgerton, Matthias Schoenaerts

W „Czerwonej jaskółce" akcja snuje się jak smog w Zakopanem. Miary nieszczęścia dopełnia drewniane aktorstwo Edgertona.

Lawrence często się rozbiera, lecz tak kiepsko skrojonej fabuły nie uratowałby nawet striptiz Meryl Streep. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

REPLIKANT, TWÓJ BRAT

★★★★★☆
REŻ. DENIS VILLENEUVE
„BLADE RUNNER 2049"
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Ryan Gosling, Harrison Ford, Ana de Armas, Jared Leto

Twórca „Sicario" i „Nowego początku" zrobił film stylowy i mocno inny od oryginału, ale konsekwentnie rozwijający idee, z którymi zmagał się Ridley Scott w oryginalnym „Blade Runnerze" (1982). Znów jesteśmy w Los Angeles przyszłości, na potrzeby pozaziemskich kolonii wciąż produkowani są replikanci, tyle że bezwzględnie posłuszni. Są też policjantami. Jeden z nich (Ryan Gosling), tropiąc swych zbuntowanych braci, trafia na ślad tajemnicy, która nie tylko wiąże się z bohaterami pierwszego filmu (tak, znów zobaczycie Ricka Deckarda granego przez Harrisona Forda), lecz także może na zawsze odmienić relacje między ludźmi a sztucznymi istotami. Chociaż „Blade Runner 2049" nie zarobił w kinach tyle, ile oczekiwano, to pozostaje najlepszym filmem SF minionego roku, niezwykłym wizualnym osiągnięciem i rzadkim przykładem sequela dorównującego oryginałowi. A jeśli chodzi o materiał do przemyślenia, to chyba nawet go przewyższa. ©℗

ŚMIERĆ PRZYJDZIE POCZTĄ

★★★★☆☆
ANDREW SODROSKI
„MANHUNT: UNABOMBER"
USA 2017, NETFLIX

wyst. Sam Worthington, Paul Bettany, Jeremy Bobb

Serial wyprodukowany przez Discovery, włączony do oferty Netflixa, odtwarza historię łowów na słynnego „Unabombera" Teda Kaczynskiego. Główną rolę w dochodzeniu odgrywa agent FBI (Sam Worthington), którego nowe podejście do sprawy i wykorzystanie analizy językowej przyczyniają się do schwytania zamachowca. Zaskakująco dobrze wypada Paul Bettany jako genialny samotnik Kaczynski, reszta nie dorasta do poziomu „Mindhuntera", ale to wciąż dobra, niegłupia rozrywka. Chociaż od początku wiemy, kto jest sprawcą, to samo dochodzenie do prawdy trzyma w napięciu przez pełne osiem odcinków. Przy okazji można się sporo dowiedzieć o Unabomberze, postaci w Polsce mało znanej, a mocno intrygującej. Jego antycywilizacyjne pisma są w USA wciąż czytane i komentowane, choć oczywiście nikt nie popiera metody stosowanej przez Unabombera, by nadać im rozgłos. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „AGE OF EMPIRES: DEFINITIVE EDITION" ★★★☆☆☆

Zaryzykuję stwierdzenie, że nie ma nikogo po trzydziestce, kto wychowywał się na pierwszych RTS-ach, nie grając równocześnie w „Age of Empires". Świetna grafika, 16 unikatowych frakcji (od Rzymian, przez Egipcjan, do Persów), ciekawe historyczne kampanie. To wszystko sprawiło, że „AoE" doczekała się miana produkcji kultowej. Prawdziwe pytanie brzmi jednak następująco: Czy przez lata nie ulotniła się charakterystyczna dla tytułu magia? I tak, i nie. Grafika w 4K, drobne usprawnienia mechaniki, większy limit jednostek działają na plus. Cała reszta? To nadal po prostu ładniej wyglądająca strategia sprzed 21 lat. Dla zagorzałych fanów. ©℗

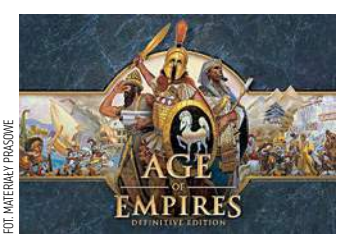

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RTS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Forgotten Empires/Microsoft*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 1b7f89dddd

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Marcowe migdały

Nic nie jest takie, jakie się wydaje. Także to, co się działo w Polsce 50 lat temu, w marcu 1968 r., pisanym a to z dużej, a to z małej litery. Przekonuje o tym książka Janusza Majcherka i Tomasza Mościckiego „Kryptonim »Dziady«", znakomicie podbudowana faktograficznie opowieść o tzw. wydarzeniach marcowych widzianych z wyjątkowej perspektywy – Teatru Narodowego, na którego scenie Kazimierz Dejmek wystawił wówczas „Dziady" Adama Mickiewicza. To ten nasz arcydramat stał się iskrą, z której – jak miało się okazać – rozgorzał płomień.

Marzec '68 widnieje dziś na czele polskich grzechów antysemickich. Wśród grzeszników wymienianych przy tej okazji z nazwiska przywoływani są usłużni propagandyści tamtych czasów, z Ryszardem Gontarzem i Tadeuszem Kurem („Kur wie lepiej") na czele; lista pomniejszych winowajców jest długa, gdzieś tam można na niej znaleźć nazwisko posłanki Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej. Że w tym pożałowania godnym rankingu na wysokim miejscu sytuuje się Witold Filler, nie bez przyczyny zwany Eichmannem humoru, zupełnie nie dziwi. Jednak że ex aequo z Grzegorzem Lasotą, uważanym za ikonę telewizyjnej kultury, twórcą i prezenterem „Pegaza", reżyserem filmów o balecie – to już niespodzianka. Wprawdzie co bardziej pamiętliwi nie zapomnieli o tym, że w latach stalinowskich nie bez powodu uchodził on za „literackiego terrorystę", ale z tym, co działo się w marcu 1968 r., rzadziej jest kojarzony. A niesłusznie, gdyż to Lasota – pospołu z Fillerem – co przypominają teraz autorzy „Kryptonimu »Dziady«", właśnie w telewizyjnym „Pegazie" sflekowali spektakl Dejmka, i to Lasota, a nie np. urzędujący minister kultury, poinformował społeczeństwo o zdjęciu z afisza głośnego przedstawienia. Swoją drogą ciekawe, że Filler zanim objawił się jako przeciwnik Mickiewiczowskich „Dziadów" w Dejmkowej koncepcji, napisał z nich – do warszawskiej „Kultury" – bardzo pozytywną, wnikliwą recenzję, oczywiście zdjętą przez cenzurę. Jak widać, nie przeszkodziło mu to niewiele dni później snuć przed kamerami odwrotne w swym wydźwięku bajędy. Ponoć gdy partyjny czynownik Aleksander Syczewski zapytał go, co chce w zamian za oddaną partii przysługę, Filler miał powiedzieć: „Jak będą przychodzić do KC donosy, że jestem dziwkarz, to umówmy się, że od dziś wszystkie wylądują w koszu na śmieci".

Janusz Majcherek FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

Tomasz Mościcki FOT. JACEK LAGOWSKI/FORUM

Wróćmy jednak do Grzegorza Lasoty, po którego popisie telewidz z Wrocławia nazwiskiem Kowal w liście, którego odpis skierował do Teatru Narodowego, tak go podsumował: „Nigdy nie uważałem Was za orła, po ostatnim Waszym wystąpieniu na temat »Dziadów« jestem przekonany, że jesteście świnią i szmatą". I jeszcze puenta: Lasota naprawdę nazywał się Frejman, jego matka zginęła w Treblince.

I kolejna siurpryza. Otóż na zebraniu partyjnej egzekutywy w Związku Literatów Polskich najostrzej przeciw zwołaniu nadzwyczajnego zebrania pisarzy w sprawie „Dziadów" protestował Jerzy Jurandot. Naprawdę Jerzy Gleigewicht, w czasie okupacji – do 1942 r. – szef artystyczny teatru Femina. W 1968 r. twierdził, że „przy całym uznaniu dla Dejmka trzeba mu patrzeć na ręce", a nadzwyczajne zebranie oddziału warszawskiego ZLP stanie się „pożywką dla wszystkich opozycyjnych elementów", zaś „rewolucja, którą przedstawią, na pewno będzie zdecydowanie wroga, podejmie zdecydowaną krytykę naszej polityki kulturalnej".

Autorzy „Kryptonimu »Dziady«" agresywność Jurandota po części usprawiedliwiają jego „wojenną gehenną". Nie byłbym pewny, czy to najbardziej adekwatne słowa w stosunku do człowieka, który prowadził teatr, wprawdzie w getcie, ale za przyzwoleniem okupanta. Za to samo, tyle że robione po stronie aryjskiej, ludzie teatru mieli po wojnie spore kłopoty. A żeby do końca dowieść, że jeśli chodzi o wydarzenia sprzed pół wieku, to nie są wcale takie, jak wyglądają na pierwszy rzut oka, zacytujmy jeszcze Bohdana Korzeniewskiego, środowiskowy autorytet, po wojnie działający w komisji weryfikującej aktorów grających w dozwolonych przez okupanta, a potępianych przez podziemie spektaklach. To on też był alfą i omegą ludzi teatru w stanie wojennym. W 1968 r. natomiast, na konferencji SPATiF z udziałem władz (Kraśko, Motyka), potępiał tych, „którzy objawiają stosunek wrogi do Związku Radzieckiego i kierownictwa partii". A przecież to tylko ZSRS, „tylko on jeden, gwarantuje nam utrzymanie niepodległości politycznej i, więcej, niepodległości duchowej".

I tyle z okazji rocznicy marcowej. ©℗

★★★★★

JANUSZ MAJCHEREK, TOMASZ MOŚCICKI „KRYPTONIM »DZIADY«. TEATR NARODOWY 1967–1968"
FUNDACJA HISTORIA I KULTURA 2017

eprasa.pl 1b7f89dddd

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wiem, że nie wiem

Ależ to gratka – książka, która wkurzy wszystkich. Lektura dla zaawansowanych, dodam, że aby się połapać, o co chodzi, musiałem mocno odświeżyć swoją wiedzę o fenotypach i genotypach, sprawdzać, co autorzy mają na myśli, gdy piszą „bywamy oskarżani o to, że jesteśmy hemplistami", cofnąć się do wywodów Dawkinsa o samolubnym genie, odkurzyć logikę itd. (Przyznam szczerze, że nie wiem, czy dobrze wszystko rozszyfrowywałem – odwołanie do „hemplizmu" ma chyba związek z filozofem Carlem Gustavem Hemplem, twórcą paradoksu Hempla, znanego jako paradoks czarnego kruka, sprawdźcie sami, jaki to intrygujący błąd logiczny).

Najbardziej wywód zirytował neodarwinistów, bo autorzy wprost piszą, że Darwin się mylił, teoria doboru naturalnego „ze względu na" (jakąś korzystną cechę) nie da się obronić. I nie wiemy, na czym polega mechanizm ewolucji. Fodor (filozof) i Piattelli-Palmarini (kognitywista) zastrzegają: wiemy, że ewolucja istnieje, dowodem jest fakt, że rozmaite organizmy kiedyś wyglądały tak, a teraz wyglądają inaczej, coś musiało to sprawić. Jednak co? „Jesteśmy stuprocentowymi ateistami" – zaznaczają także, odżegnując się od próby zagarnięcia ich pracy przez kreacjonistów.

Jeżeli dobór naturalny postępuje, bo u rozmaitych organizmów premiowane są korzystne dla nich cechy, to co i na jakim etapie decyduje, którą cechę premiować? Pojawia się więc pytanie o celowość. Jeśli ją wyeliminujemy i zgodzimy na to, że rządzą tu prawa statystyki (natura przeprowadza naraz milion eksperymentów i pozwala żyć efektom tylko tego najbardziej udanego doświadczenia), to gdzie pozostałości po tych nieudanych 999 tysiącach 999 eksperymentach? Neodarwiniści tłumaczą, że najważniejsze są naturalne nisze, które premiują te, a nie inne cechy. No tak, ale nie ma przecież nisz idealnych i przeznaczonych tylko dla jednego gatunku – we wszystkich niszach żyją też inne organizmy, które akurat nie rozwijają się w kierunku „premiowanym" przez niszę. I tak dalej.

Książka „Błąd Darwina" wysadza w powietrze także marksistowskie pojęcie praw historii jako ewolucji i rozwala na kawałki modną psychologię ewolucyjną. Wściekłość całej armii naukowców gwarantowana. Autorzy zaś przypominają: udowodnienie, że coś na pewno nie działa tak, jak sądziliśmy, jest w nauce równie ważne jak udowodnienie, że działa. Skąd więc cały ten zgiełk? ©℗

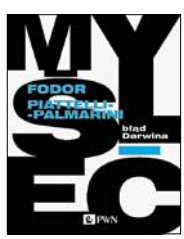

★★★★★☆

JERRY FODOR, MASSIMO PIATTELLI-PALMARINI „BŁĄD DARWINA" PWN 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny zbiór opowiadań jednego z najlepszych i najbardziej wpływowych twórców amerykańskiej fantastyki. Ellison zasłynął także jako świetny autor antologii („Niebezpieczne wizje"), zadziorny krytyk i w ogóle człowiek instytucja.

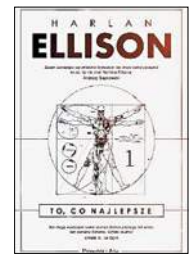

HARLAN ELLISON „TO, CO NAJLEPSZE", TOM 1 PRÓSZYŃSKI I S-KA

Od jąkającego się nastolatka do gwiazdy. Niewiele brakowało, by został aktorem, hit „Shape of You" miała śpiewać Rihanna, ale go nie oddał. Ed Sheeran, sympatyczny i utalentowany, przywraca wiarę w show-biznes. Oto jego historia.

DAVID NOLAN „ED SHEERAN. PLUSY I MINUSY" IN ROCK MUSIC PRESS

Nie tylko Polacy walczyli o cudzą wolność. „Cudzoziemcy w powstaniu styczniowym 1863" – brzmi podtytuł, a w środku historie Włochów, Francuzów, Węgrów, a nawet Rosjan, którzy w chwili próby znaleźli się po właściwej stronie.

EWA I BOGUMIŁ LISZEWSCY „VIVA LA POLONIA!" REPLIKA

Autor zasłynął, m.in. pisząc „Teorię wszystkiego" o Stephenie Hawkingu. Pracując nad kolejnym scenariuszem („Czas mroku", sześć nominacji do Oscarów), przygotował jednocześnie książkę o polityce Churchilla w roku 1940. ©℗

poleca Piotr Gociek

ANTHONY MCCARTEN „CZAS MROKU" MARGINESY

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Nieodnaleziona" (Filia) – ukochana Damiana pojawia się 10 lat po zaginięciu. Kto stoi za tą zagadką?***
2. ***E.L. James „Mroczniej" (Sonia Draga) – przy takiej popularności ciąg dalszy musiał nastąpić. Historia Anastasii i Christiana tym razem z jego punktu widzenia.***
3. ***Adam Bielecki „Spod zamarzniętych powiek" (Agora) – znany i kontrowersyjny himalaista (akcja pod Broad Peak) opowiada o swoich dokonaniach.***
4. ***B.A. Paris „Na skraju załamania" (Albatros) – nowy thriller autorki bestsellerowego „Za zamkniętymi drzwiami".***
5. ***A.J. Finn „Kobieta w oknie" (W.A.B.) – thriller, współczesna wariacja w duchu „Okna na podwórze", kolejna próba wykreowania nowej „Dziewczyny z pociągu".***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 5 do 18 lutego 2018 r.)

eprasa.pl 1b7f89dddd

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Powrót Bohdana

Bohdan Łazuka – legenda, urok i osobowość FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/SE/EAST NEWS

Pewnie trudno wyobrazić sobie w jednym muzycznym przedsięwzięciu Natalię Niemen i Macieja Maleńczuka albo artystkę sceny operowej Justynę Reczeniedi i zbuntowaną Red Lips. A jednak to się udało.

Wspólną przestrzenią, w której znakomicie znaleźli się wykonawcy o tak różnej proweniencji, jest nowa płyta Bohdana Łazuki. Ale to nie koniec zaskoczeń. Pan Bohdan do studia nagrań zaprosił jeszcze Dodę i Mikę Urbaniak, Michała Rudasia i Agatę Nizińską. Są też osoby spoza sceny muzycznej lub niespecjalnie z muzyką kojarzone: Krystyna Czubówna i Daniel Olbrychski. Mimo tak odległych światów jest coś, co skleja wykonawców. To legenda, urok i osobowość Bohdana Łazuki.

Po 30 latach od nagrania swojej ostatniej płyty pan Bohdan wraca, w dobrym nastroju, z uśmiechem i poczuciem humoru. Wraca z klasą. Można oczywiście doszukiwać się inspiracji albumem Tony'ego Bennetta, nagranego również z duetami, można zarzucać brak któregoś ze znanych przebojów z lat młodości Łazuki, bo przecież (powtarzając za inżynierem Mamoniem) podobają się nam tylko te piosenki, które już słyszeliśmy, niemniej płyta „Nocny Bohdan" jest fantastycznym pomysłem.

Uwagę zwraca staranna produkcja albumu, świetne aranżacje i instrumentaliści z najwyższej półki. Autorami muzyki i aranżacji są Marcin Nierubiec i Piotr Remiszewski (jednocześnie wydawca – Anaconda Productions). Zdumiewające jest to, że mija trzeci miesiąc od premiery płyty, a produkt o takiej marketingowej nośności i komercyjnym potencjale, gdzie spotykamy tylu „znanych i lubianych", nie znalazł się na playlistach polskich rozgłośni radiowych.

Czy powodem tego przemilczenia nie jest to, że album został wydany w małym, niezależnym, ale polskim wydawnictwie i nie jest częścią katalogu zagranicznych gigantów fonograficznych? To pytanie dołączam do moich tekstów o dyskryminacji naszych twórców w polskim eterze. Życząc artyście wielu sukcesów, powtarzam: Bohdan, trzymaj się! ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Lekcja obywatelska

Na lekcjach WOS należałoby puszczać płyty płockiego zespołu. Siódmy wykład utrzymany w różnorodnych rytmach i brzmieniach rozbudzi najbardziej znudzonych uczniaków. Dowodem jest singlowy „Nie raj", który błyskawicznie wylądował na szczycie Trójkowej listy.

Lao Che nagrał 13 lat temu album „Powstanie Warszawskie", na długo przed tsunami rockowych patriotów. Hubert „Spięty" Dobaczewski wie, że muzyczna publicystyka kołem się toczy. Dlatego śpiewając o relacjach międzyludzkich w kraju podzielonym murem „kartonowo-gipsowym", bawi się słowem, używając banalnych rymowanek. I wychodzą mu cudeńka: „Kto winny? Inny!", „Naszych dusz nie uratuje nawet Chrystus Plus", „Mamy twardy orzeł do zgryzienia", „Czasem tak zawstydzony, aż biało-czerwony", „Nie rzucisz ziemi, skąd twój smród", „Religia we mnie nie wierzy, od moich pacierzy obraz Boga śnieży"... Wysłuchamy też lekcji z historii rockowej alternatywy. Pojawiają się cytaty wprost, jak choćby z Izraela w „Sen A'la Tren", ale w zależności od naszego osłuchania znajdziemy wszelakie tropy. To zasługa tandemu producenckiego Emade/Filip „Wieża" Różański, który świetnie przyrządził ten sos nowocześnie staromodny.

Ta lekcja błyskawicznie wpada do uszu i pozostaje w głowie. A potem jak mantrę będziemy powtarzać: „»Bogowie, honory, ojczyzny« / W liczbie pojedynczej – wers z ryzykiem blizny / Liczba mnoga... / Nie ma wroga". ©℗

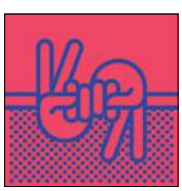

★★★★★

LAO CHE
„WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE"
MYSTIC

★★★★☆

GUSGUS
„LIES ARE MORE FLEXIBLE"
GROOM

Minęło 20 lat od debiutu islandzkiego kolektywu muzyczno-filmowego. Dzisiaj to duet, który już nie odkrywa nowych brzmień, ale wykonuje solidny electropop na miarę naszych czasów. Klubowe granie sprawdzające się też w samochodzie. ©℗

★★★☆☆

KRAJEWSKI/ OSIECKA
„STROFKI"
SONY

Piosenki z programu telewizyjnego „Z pamiętnika szalonej gospodyni". Ona pisała odpowiedzi na listy, On je śpiewał. Po ponad 30 latach On przypomina tamte piosenki. Suplement na drugiej płycie w podobnym, choć nietelewizyjnym klimacie. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

SENSACYJNY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM WYKLĘTYM!

Piotr Zychowicz – **Wyklęci, historia prawdziwa**
Leszek Żebrowski **kontra** Oleg Łatyszonek – **Spór o niezłomnych**
Sławomir Cenckiewicz – **Mazowiecki wierny Jaruzelskiemu**
Antony Polonsky – **Polska była rajem dla Żydów**
Patryk Pleskot – **Jak pijany milicjant zamordował dziecko**
Sławomir Koper – **Najpiękniejsze nogi II RP**
Mikołaj Iwanow – **Nowy trop w sprawie Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 1b7f89dddd

DEUTSCHLAND ÜBER ALLES

sztych Johanna Baemlera

Juliusz Słowacki: *„Musząc żyć obok Niemców, męczę się i żyję,*
Lecz nienawiść do tyla rozkrzewia się w duszy,
Kiedy jestem przy Niemcach, tak mi serce bije,
Że mi się kiedyś w piersiach od wzgardy rozkruszy”.

Teofil Lenartowicz: *„Pokąd ziemi, pokąd słońca,*
Lach nie będzie Niemcu bratem”.

Aleksander Fredro: *„Pierwiej w księżycu na tronie zasiędzie,*
Nim Niemiec Polakowi przyjacielem będzie”.

Maria Konopnicka: *„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.*

Wacław Berent: *„A Niemcy tymczasem po cichutku, spokojnie*
i systematycznie swoje robią”.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Waldemar Łysiak

Salonowy kombinator o celebryckim już statusie, reklamujący się jako filozof Jan Hartman, umieścił na swym wojowniczo politpoprawnym blogu frazę: *„Przepraszam Niemców za PiS"*. To nic zaskakującego, filogermańskich *„Prusaków"* jest w Salonie, czyli w opozycji, co niemiara. Skąd ta nazwa? Otóż *„Stronnictwem Pruskim"* rodzimi *„narodowcy"* zwą już od dawna Tuskową Platformę Obywatelską, nawiązując do łaszenia się platformersów u stóp Merkelowego Berlina, jak również do XVIII–wiecznej antypolskiej perfidii Prus. Król Fryderyk II zwany Wielkim był pomysłodawcą i motorem pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a jego koronowani następcy działali identycznie antypolsko. Mieli przy tym wsparcie ideologiczne ze strony oświeceniowych niemieckich filozofów. Exemplum Christoph Bernard Joseph Schücking, który w swych **„Adresowanych do Przyjaciela rozmyślaniach Kosmopolity na temat rewolty polskiej"** (**„Pensées d'un Cosmophilite a un Ami sur la révolution de Pologne"**, Münster 1773)* wazeliniarsko pisze do Fryderyka II jako *„filozof"* do *„filozofa"*, przedkładając adresatowi swą entuzjastyczną opinię na temat słuszności rozbioru Polski (1772) dokonanego z inicjatywy Berlina. Zrewoltowaną (Konfederacja Barska 1768–1772) Polskę prezentuje jako *„Rzeczpospolitą despotyzmu i anarchii"*, która przez swą *„nazbyt nieposkromioną suwerenność"* (sic! — *„l'independence de plus indompté"*) stanowiła *„ciągłą groźbę dla swych sąsiadów"*, więc trzeba było zapobiec tej groźbie rozbiorem. Ów rozbiór Schücking zwie *„lekarstwem zaaplikowanym rękami potęg sąsiednich gwoli praw ludzkich"* (*„droits de l'humanité"*), używa zatem terminologii (*„prawa człowieka"*) faworyzowanej dziś przez ujadające na Polskę pieski unijne, których smycze dzierży Berlin.

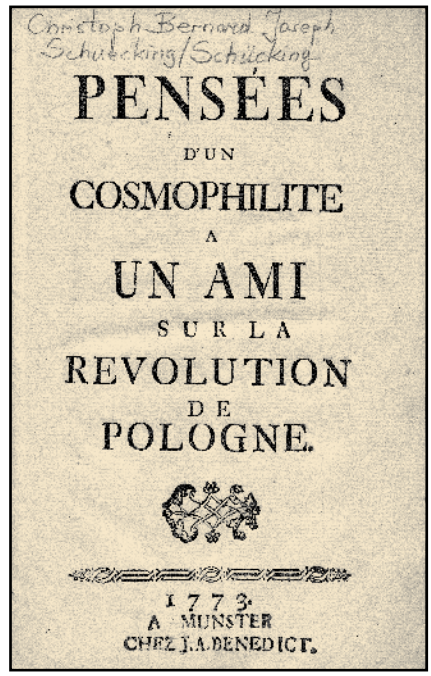

Christoph Bernard Joseph Schücking/Schücking

PENSÉES D'UN COSMOPHILITE A UN AMI SUR LA REVOLUTION DE POLOGNE.

1773. A MUNSTER CHEZ J.A. BENEDICT.

KRÓTKA SMYCZ

Gdy już wspomniałem o smyczach, pozwolę sobie tę kwestię rozwinąć. Problemem jest tu nie tylko znany i globalnie komentowany fakt, iż Niemcy do najważniejszych stanowisk unijnych dopuszczają wyłącznie miernych polityków z różnych europejskich krajów (politykami dużego formatu trudno byłoby sterować), dzięki czemu Bruksela stanowi narzędzie Berlina — lecz także agenturalność. Unia Europejska — o czym nie wszyscy wiedzą — jest od dawna rządzona przez kadrowych komunistów i socjalistów, którzy nieformalnie (kryjomo) są także kadrowymi agentami niemieckich służb specjalnych. Za kulisami dyplomacji europejskiej, amerykańskiej i azjatyckiej (czyli *„kuluarowo"*) jako *„agenciaków Berlina"* wskazuje się szefów UE: przewodniczącego Komisji Europejskiej, Luksemburczyka Jeana–Claude'a Junckera (nieuleczalnego alkoholika, twórcę tzw. *„planu Junckera"*, który ma czynić gospodarki Europy Środkowo–Wschodniej wasalami gospodarki niemieckiej), Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego KE (gorącego adwokata partnerstwa Moskwa–Berlin, wprost schizofrenicznego nieprzyjaciela Polski) i Donalda Tuska, przewodniczącego Rady Europejskiej (mówi się o nim, odkąd ja go tak nazwałem: *„pudel Angeli"*). Identyczną łatę (*„agenciaki Berlina"*) przypina się wielu komisarzom UE — tym partyjnie komunistycznym, jak Włoszka Federica Mogherini, komisarz do spraw zagranicznych i bezpieczeństwa (od 1988 roku członkimi KP Włoch), Francuz Pierre Moskovici nomen omen, komisarz ds. ekonomicznych i finansowych (członek trockistowskiej Rewolucyjnej Ligi Komunistycznej) i Dunka Margareta Vestager, komisarz ds. konkurencyjności (członkini Lewicy Radykalnej); tym socjalistycznym, jak Rumunka Corina Crețu, komisarz ds. polityki regionalnej, Czeszka Věra Jourova, komisarz ds. sprawiedliwości i równości płac, czy Słowak Maroš Šefčovič, komisarz ds. unii energetycznej (kształcony w Moskwie); wreszcie tym centrowym z lewackim przechyłem, jak Fin Juryki Kateinen, komisarz ds. miejsc pracy, bezrobocia i wzrostu, Łotysz Valdis Dombrowskis, komisarz ds. usług finansowych i rynków kapitałowych, Niemiec Günther Oettinger, komisarz ds. gospodarki cyfrowej, społeczeństwa, budżetu i zasobów ludzkich, Irlandczyk Phil Hogan, komisarz ds. rolnictwa i rozwoju wsi, Estończyk Andrus Ansip, komisarz ds. jednolitego rynku cyfrowego, Szwedka Cecilia Malmström, komisarz ds. handlu, oraz Polka Elżbieta Bieńkowska, komisarz ds. rynku wewnętrznego. Prawie wszyscy oni byli w wyścigu ku fotelom *„lewarowani"* przez Berlin. Optymiści twierdzą, że tylko połowa z nich to regularni agenci niemieckich *„służb"*, pesymiści — że 3/4. Według mnie ci pesymiści to optymiści.

Ta niemiecka polityka smyczy agenturalnej lub paraagenturalnej (exemplum niemieckie *„granty"* dla polskich akademików i honoraria dla polskich żurnalistów) jest równie skuteczna co niemiecka polityka propagandy historycznej, wskutek której 70% kanadyjskich studentów uważa, że *„Naziści to Polacy, którzy*

* Przywołuję tę akurat broszurę, gdyż jest ona niezwykle rzadka. Nie znali jej ani historycy przedwojenni (Stanisław Kot, **„Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu"**, 1919), ani powojenni (Wacław Zawadzki, **„Polska Stanisławowska w oczach cudzoziemców"**, 1963; Jan Gintel, **„Cudzoziemcy o Polsce"**, 1971).

eprasa.pl 1b7f89dddd

zbudowali obozy zagłady, a wcześniej rozpętali II Wojnę Światową". Na naszej półkuli tylko ruska–sowiecka–postsowiecka propaganda dorównuje kłamliwością niemieckiej. Obie zresztą mają bardzo dawne wspólne płaszczyzny: ruscy inteligenci XIX wieku pasjonowali się niczym pismem świętym filozofią niemiecką (Fichte, Schelling, Hegel, Marks), a wrogowie II Rzeszy zwali ją nie bez przyczyny *„knuto–germańskim imperium"* (i do tego zadawnionego ruso–germańskiego braterstwa, i do przekłamywania historii, jeszcze wrócę niżej).

MIĘDZYMORZE VERSUS MITTELEUROPA

Dopiero dzisiaj, gdy kanclerzyca Merkel otwarła przeciw tradycyjnej chrześcijańskiej Europie islamską puszkę Pandory, służącą za cios dobijający — widać jak pochopna była zgoda mocarstw na zjednoczenie Niemiec przywracające Germanom hegemoniczny status. Póki Niemcy były rozdrobnione (aż do roku 1871), panowała w Europie równowaga sił, gdyż niezbyt duże Prusy miały silnych kontrolerów (Anglia, Francja, Austria, Rosja). Lecz gdy Bismarck zjednoczył Niemcy — wybudowana przezeń II Rzesza stała się piątym mocarzem europejskim, co rozregulowało nie tylko europejską, lecz i światową równowagę sił (dowodem dwie Wojny Światowe), wskutek agresywności/pazerności tego *„piątego elementu"*. Duże, scalone Niemcy to ciągła europejska groźba, potencjalna gangrena nieodmiennie.

Nikt nie wie o tym lepiej niż Polacy (vide tysiąc lat naszego handryczenia się z niemieckim żywiołem), i nikt nie jest dziś bardziej nieufny niż Polacy. To kwestia nie tylko terytorialna (chwilowo — jak jeszcze długo? — nieodbezpieczany granat *„Ziem Odzyskanych"*), lecz też kulturowo–cywilizacyjna. Jeden spośród moich ulubionych komentatorów politycznych, Wojciech Tomaszewski: *„Dla Polski niemieckie imperium stanowi śmiertelne zagrożenie (...) Polska należy do cywilizacji łacińskiej, nasze korzenie to Rzym. Niemcy z tym Rzymem od wieków walczą o dominację w Europie. Wymyślili Reformację, niszcząc jedność religijną naszej cywilizacji i inicjując 150 lat krwawych wojen religijnych. Na niemieckiej ziemi powstały pogańskie ideologie współczesnego komunizmu i nazizmu. Ta druga, zastosowana przez Niemców w praktyce, była barbarzyńską próbą zniszczenia naszej łacińskiej cywilizacji"* (2017).

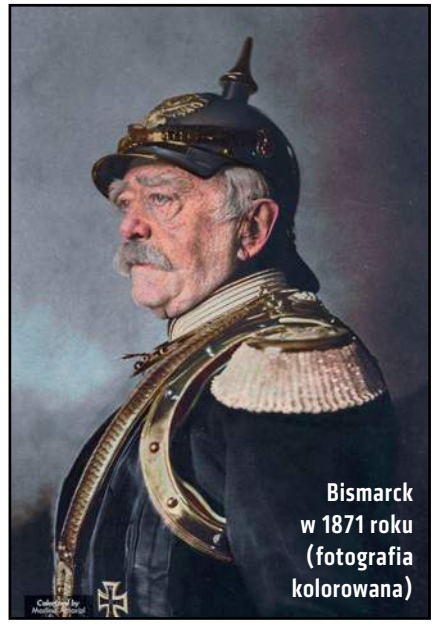

Bismarck w 1871 roku (fotografia kolorowana)

Próbą zniszczenia Polski i polskości było całe tysiąclecie historii niemieckiej, czyli tej od Mieszka I broniącego się przed Odonami, Geronami i Wichmanami, których następcy też jasno werbalizowali cel. Kanclerz Bismarck uczył: *„Polaków trzeba wytłuc do ostatniego, jak wilczą zarazę"*. Szef Reichswehry, von Seeckt, tłumaczył: *„Polska na mapie to dla nas fakt nie do zniesienia"*. Geografii/topografii nie przeskoczymy. Henryk Sienkiewicz, autor **„Krzyżaków"**, wzdychał: *„Choćby na krańcu świata, byle od Niemców daleko!"*. Niestety, los uczynił Polaków dożywotnimi sąsiadami Germanów, musimy z tym żyć, narzekając — Kazimierz Przerwa Tetmajer nie o Żydach sarkał: *„Nic dziwnego, że naród wybrany chce wszystko wybrać"*. Dzisiaj chce wybrać w całej Europie (po staremu), co mu się udaje, lecz na wschodzie Europy nie bez kłopotów, gdyż niemiecka koncepcja *„Mitteleuropy"* zderza się z geopolityczną koncepcją zwaną niegdyś *„Pentagonale"*, później *„Heksagonale"*, a teraz *„Międzymorzem"* lub *„Trójmorzem"*:

Niemiecka szlachta z epoki Dürera

Odkąd załamał się porządek jałtański, Niemcy robili wszystko, by w przestrzeni między Rosją a nimi nie powstał żaden układ polityczny niezależny od Berlina — chcieli wasalizować to terytorium, budując tam swoje wpływy (już Stefan Żeromski, choć myślał o innym międzymorzu, pisał w **„Międzymorzu"**: *„Niemcy, którzy na cudzych popiołach tak dobrze budować umieją..."*). Konsolidująca ten region antyniemiecko inicjatywa Grupy Wyszehradzkiej to dla Berlina potężny cios, wyautowujący *„Mitteleuropę"*. Owszem, Berlin dalej ma w krajach *„Międzymorza"* silne wpływy kulturowe i polityczne (za sprawą licznych niemieckich fundacji, bądź, jak nad Wisłą, także struktury właścicielskiej mediów), przegrywa jednak (póki co) grę geopolityczną. Dla pani Merkel *„die polnische Frage"* (kwestia polska) to dzisiaj głównie fakt, że Warszawa pełni sterniczą rolę w marginalizowaniu koncepcji *„Mitteleuropy"*. Zasadniczym celem Berlina na tym kierunku jest więc rozbijanie jedności *„Wyszehradu"*.

DEBEL BERLIN–KREML

W kontrwyszehradzkim sabotażu sojusznikiem Niemców są Rosjanie. Czemu? Gdyż strategiczne przymierze państw

eprasa.pl 1b7f89dddd

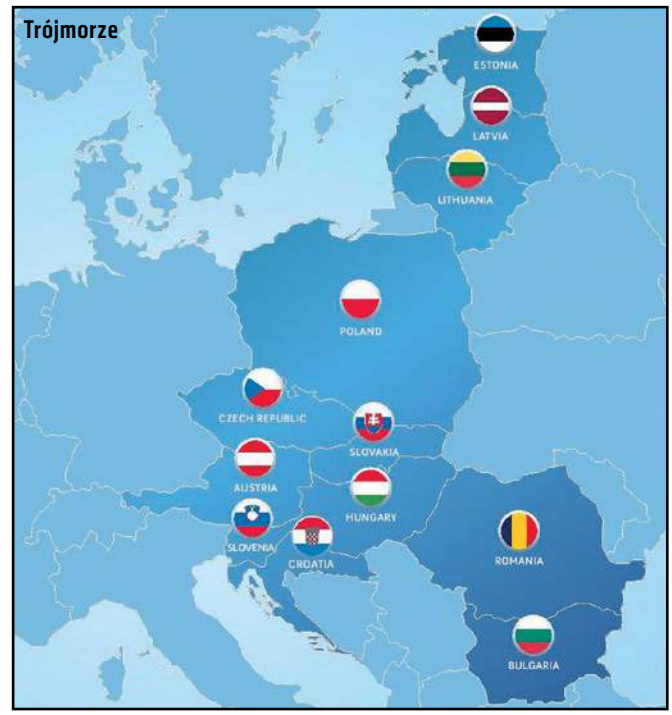

leżących między Morzem Czarnym, Bałtykiem i Adriatykiem (dziś mówi się już nie o heksagonie, czyli o sześciu, a o dwunastu — to: Polska, Węgry, Czechy, Rumunia, Bułgaria, Estonia, Litwa, Łotwa, Austria, Słowacja, Chorwacja i Słowenia) jest nie tylko *„zgiętym łokciem"* dla *„mitteleuropejskich"* wasalizatorskich apetytów Berlina, lecz również próbą tworzenia przeciwwagi dla strategicznego partnerstwa niemiecko–rosyjskiego, które mogłoby trząść Europą po swojemu. Kacapów bowiem, nie mniej niż Germanów, *„Trójmorze"* uwiera, zaś *„sztamę"* geopolityczną z Berlinem Kreml ma we krwi, co najmniej od XVIII wieku.

Nasza poezja dokumentuje ten wrogi nam sojusz wrednych sąsiadów nieprzerwanie przez ćwierć tysiąclecia. Znany rymopis ery Stanisławowskiej, czyli doby rozbiorów, Stanisław Trembecki, klnie: *„Rusin na nas Niemce zwabiał!"*. Za czasów napoleońskich Polska, wyzwolona przez Francuzów jako Księstwo Warszawskie (1807–1814), znajdowała się cały czas w obcęgach prusko–rosyjskich. Ciekawostką bardzo znaczącą jest fakt, że wtedy wszyscy (prócz Bagrationa i Kutuzowa) dowódcy wojsk cara Aleksandra I byli Niemcami: generałowie Bennigsen, Baggowut, Buxhöwden, Barclay de Tolly (którego adiutantami zostali też Niemcy, Satz i Schmied) — by wymienić jedynie tych na literę B. Podczas Kongresu Wiedeńskiego (1815) wśród pięciu przedstawicieli cara dwóch było Niemcami: Anstett i Nesselrode. Zawadiacki nawyk co śmielszych oficerów rdzennie rosyjskich stanowiło wkraczanie do sztabu generalnego carskiej armii z pytaniem: *„ — Przepraszam, czy ktoś tutaj mówi po rosyjsku?..."*. Wisienką na torcie tej rusko–germańskiej komitywy ery Napoleona był romans między carem Aleksandrem i Luizą Pruską, żoną króla Fryderyka Wilhelma III.

Pruska królowa Luiza pomiędzy carem Aleksandrem I (z lewej) a mężem, królem Fryderykiem Wilhelmem III (chromolitografia wg obrazu F. Gosse'a)

W dobie Powstania Listopadowego (1830–1831) absolutna większość rosyjskich generałów tłumiących tę insurekcję miała niemiecki rodowód: Dybicz (de domo Diebitz), Rosen, Pahlen, Witte, Kreutz, Geismar, etc. Można to niemieckie służenie u Rosjan wyliczać przez kolejne dekady, aż do dzisiejszej synekury ekskanclerza Schrödera u Putina, czyli za

fot. DPA/EPA/PAP

żołd od Gazpromu. Poeta doby Romantyzmu, Krystyn hrabia Ostrowski, miał rację pisząc:

„Dlaczego Moskal nas pokonał dumnych?
Bo słucha Niemców, podłych
lecz rozumnych".

Wielki Zygmunt Krasiński miał to samo zdanie:

„Gdy zbrodnię jaką gdzie spełni morderca,
Wraz ją uprawnisz teorią bez serca,
Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!".

Kochający Romantyków Marszałek Piłsudski rzekł tuż przed śmiercią: *„Pol-*

eprasa.pl 1b7f89dddd

Caryca Katarzyna Wielka (portret z epoki)

ska za czasów Katarzyny i Fryderyka doświadczyła na własnej skórze co znaczy, gdy dwaj jej najpotężniejsi sąsiedzi dogadują się" (1934). Jeśli już padło imię carycy Katarzyny Wielkiej — to trzeba pamiętać, że ta Polakożercza Niemka z rodu Anhalt–Zerbst nie miała w żyłach ani kropli krwi ruskiej, zaś XIX–wieczni Romanowowie byli niemieckim (holsztyńsko–gottorpskim) rodem z dynastii oldenburskiej, który przybrał sobie nazwisko Romanowów, by nie drażnić ludu rosyjskiego. I Wojna Światowa, i II również, nie zepsuły braterskiej miłości Kacapów i Germanów, mimo że jedni i drudzy utoczyli sobie sporo juchy wzajemnie. Po drodze był niemiecki pociąg, który przywiózł Lenina do Petersburga, i antypolski Pakt Ribbentrop–Mołotow, teraz zaś rosyjski reżyser Alieksandr Sokurow daje obowiązującą wykładnię minionych konfliktów: *„ — Tak walczą tylko bliscy krewni. Wojna pomiędzy Związkiem Radzieckim a Niemcami była czymś w rodzaju wojny domowej. Dlatego, że mamy wiele wspólnego. Nasze kraje były i są jak dwie siostry, ich wojny były konfliktami narodów, które nie potrafią żyć bez siebie. Nikt w Europie, ani nawet w świecie, nie jest sobie tak nawzajem potrzebny jak Niemcy Rosji, a Rosja Niemcom"* (2009). No właśnie. Można Bogu dziękować, że mimo owej zażyłości *„Noch ist Polen nicht verloren"* (Jeszcze Polska nie zginęła).

MERKELATURA

Gdy Sokurow wygłaszał te słowa, Niemcami już od czterech lat rządziła Angela Merkel, bardzo intensywnie kultywująca po dziś dzień zażyłe (partnerskie/przyjacielskie) relacje z Putinowską Rosją (Nord–Stream, Nord–Stream 2, itp.). W apogeum jej *„cesarzowania Europą"*, czyli na początku roku 2016 (później już było tylko gorzej, wskutek tsunami ze strony *„nachodźców"*), Anna Kwiatkowska–Drożdż (analityk Ośrodka Studiów Wschodnich, specjalistka od polityki niemieckiej) opublikowała bardzo ciekawy tekst à propos rosyjsko–niemieckich więzów. Kluczowe zdanie brzmi tam: *„W społeczeństwie niemieckim żywa jest wiara, że dusza niemiecka i dusza rosyjska są całkowicie odmienne niż dusze innych narodów świata i z tego powodu mają znajdować wspólny język"*. Druga (już czysto polityczna) strona medalu to fakt, że od dawna nową, prorosyjską polityką wschodnią Niemiec (*„neue Ostpolitik"*) kierują *„Russlandversteher"* (rusofile o nieskończonej wyrozumiałości wobec Kremla), którzy *„postrzegają Rosję jako kluczowego dla UE partnera geopolitycznego, wyznając credo: «Russia first» — Rosja na pierwszym miejscu"*. W ramach takiego myślenia ci niemieccy motorniczowie podjęli decyzję (2015), że Berlin i Moskwa będą miały czołowy głos co do rynku gazowego. Anna Kwiatkowska–Drożdż: *„To oznacza kompletne ignorowanie planów Komisji Europejskiej dotyczących dywersyfikacji dostaw gazu do Europy, a także interesów Europy Środkowej i Wschodniej"*.

„Kompletne ignorowanie" interesów każdego (prócz Kremla) stało się niemiecką *„Spezialität"* tuż po upadku Muru Berlińskiego. Będąc przez ostatnie ćwierć wieku głównym *„płatnikiem"* (*„Zahlmeister"*) Europy — Niemcy uznały za rzecz naturalną tudzież sprawiedliwą pełnienie przez Berlin funkcji *„nadzorcy"* (*„Zuchtmeister"*) kontynentu. Ergo: dyrygenta/dysponenta. I właśnie to rozzuchwalenie pchnęło Frau Merkel do beztroskiego otwarcia granic Europy dla muzułmańskich hord w 2015 roku. *„Dziewczynka z NRD"* (tak ją zwał Helmut Kohl) okazała się istotnie babą z Niemiec komunistycznych, która prawie dwumilionową islamską komunę zwanych *„uchodźcami"* najeźdźców gości na koszt podatnika niemieckiego (ledwie 3% spośród nich podjęło pracę!), a *„zero asymilacji"* (czytaj: demonstracyjna wrogość wobec gospodarzy) jakoś jej nie przeszkadza. Wszystko

eprasa.pl 1b7f89dddd

fot. KAY NIETFELD/DPA/PAP

to ze wsparciem SPD Martina Schulza, nienawidzącego Polaków lewaka, który nie posiada nawet matury (nie ukończył gimnazjum w Würselen), ale lubi się mądrzyć autorytarnie. Ona sama zresztą przesiąkła i duchem, i retoryką komuchów — Tomasz Mysłek: *„Angela Merkel przemawia w mediach do ludu językiem notabli SPD, szczególnie w sprawach «socjalnych» i polityki wewnętrznej"* (2018). Bruksela, miotając groźby pod adresem Warszawy (bo odrzucamy koncepcję *„relokacji uchodźców"* ku Wiśle), jest tylko posłuszną tubą Berlina. O niemieckich groźbach pisał półtora wieku temu Lenartowicz:

„Pogróżki wasze tyle mi ważą,
Co psa skowyty około woza,
Co żab krakanie, gdy z błot wyłażą —
Tyle mi waży niemiecka groza".

Rok 2015 był dla pani Merkel pechowy z dwóch powodów. Raz, że w Polsce wyborcy odesłali na *„śmietnik historii"* ekipę, która była berlińską psiarnią, czyniącą Lechistan *„niemieckim zapleczem gospodarczym, krajem poddostawców i rezerwuarem siły roboczej"* (W. Tomaszewski 2017), więc RP zaczęła odzyskiwać podmiotowość. A dwa, że właśnie roku 2015 Merkel otworzyła bramy Europy dla obcej kulturowo dziczy, co teraz wychodzi bokiem i Niemcom, i tracącej prestiż kanclerzynie. Krzysztof Rak: *„Na potencjał Niemiec negatywnie wpływa katastrofa demograficzna (...) Wbrew płonnym nadziejom imigracja nie jest tu żadną receptą, ponieważ zdecydowana większość imigrantów będzie adresatem pomocy socjalnej"* (2017).

fot. AP

fot. EPA/PAP

GEOPOLITYKA HISTORYCZNA

Niemcy lubią *„uchodźców"*, bo sami byli uchodźcami. W latach 30–ych XX wieku uszli ze swego kraju pod naporem kosmitów zwanych nazistami. Naziści zajęli cały teren Niemiec, wymordowali kilkadziesiąt milionów Europejczyków, i dopiero kiedy zostali przegnani lufami/bagnetami zachodnich aliantów oraz Sowietów — Niemcy mogli wrócić z emigracji na swoją ziemię, by głosić swą całkowitą niewinność.

Kontynuując jeszcze przez chwilę tę nutę szyderczego sarkazmu: Niemcy całe pięć lat (1939–1944) starali się wbić światu raz na zawsze do głowy, że są egzystującym w centrum Europy plemieniem zwyrodniałych morderców. I co? Nie udało się. Dzisiaj prawie nikt nie przypisuje tych rzezi Niemcom, tylko *„nazistom"*, a na pytanie: kto to byli *„naziści"*? — 70–80% młodzieży globu (od Peru po Nową Zelandię) wyjaśnia, że Polacy. Ilekroć w amerykańskim serialu **„Zawód: Amerykanin"** (**„The Americans"**) mowa o zbrodniach niemieckich podczas II Wojny Światowej — nigdy nie pada słowo *„Niemcy"* lub *„niemieckie"*, zawsze: *„naziści"*, *„nazistowskie"*. Włoska gwiazda filmowa, Gina Lollobrigida, wspominając niemiecką okupację Rzymu, pamięta wyłącznie *„nazistów"*, Niemców tam nie było. Et cetera, et cetera.

Zważywszy powyższe — jestem już od dawna pod wrażeniem geniuszu Niemców. Wymordować 6 milionów Żydów, a później wlepić Holocaust innemu narodowi, przyszywając metkę *„polskie"* do hasła *„obozy zagłady"* — to duża sztuka, *„Meisterwerk"*! Gwoli ścisłości: tę nazwę wymyśliła tajna zachodnioniemiecka służba kontrwywiadowcza, zwana Agencją 114, w 1956 roku. Jej szef, były hitlerowiec (czyli *„nazista"*) Alfred Benzinger, zaproponował medialne rozpowszechnianie terminu *„polskie obozy koncentracyjne"*, perswadując: *„Odrobina historycznego fałszu może się przyczynić do wybielenia odpowiedzialności Niemiec za Zagładę"*. W ostatnich kilku dekadach silnym wzmocnieniem tej *„odrobiny historycznego fałszu"* stały się fałszywe żydowskie relacje na temat Zagłady (Jerzy Kosiński, Monique de Wael, Mary Berg, Martin Grey, Sophie Caplan, Yitzak Zuckerman,

eprasa.pl 1b7f89dddd

Shmuel Krakowski, Dan Kurzman, Mark Verstanding, i in.), zwalające na Polaków winę za *„Shoah"*. Do schyłku lat 80–ych ubiegłego stulecia pracujący w Niemczech Zachodnich korespondenci cudzoziemscy parskali ironicznie: *„ — Gdzieś tu muszą być jeszcze miliony Żydów!"*, bo każdy napotkany Niemiec przekonywał ich, że uratował jednego.

Za rządów Angeli Merkel Bundestag nieomal jednomyślną deklaracją potępił ludobójstwo Ormian dokonane przez Turków (1915), co znaczy, że Niemcy potrafią być sprawiedliwi gdy idzie o historię. Cudzą. Własna podlega *„polityce historycznej"* ślepej na fakty. Dlatego trzeba im te fakty przypominać. Zważywszy skuteczność przypominania — nikt nie uczynił tego wspanialej niż kibice Legii Warszawa gigantycznym banerem, który obejrzały miliardy mieszkańców globu: ***„Podczas Powstania Warszawskiego Niemcy wymordowali 160 000 ludzi. Tysiące spośród tych ofiar były dziećmi"***, plus germańska lufa pistoletu przystawiona do głowy dziecka. Miesiąc wcześniej odwiedził Warszawę prezydent Donald Trump, wygłosił peany na temat chrześcijańskiego ducha oraz heroizmu Polaków, radząc ludziom słabym, aby w Polsce nabrali wigoru rycerskiego (*„ — Niech przyjadą do Polski!"*), a dzień później znalazł się w płonącym (za sprawą anarchistów) Hamburgu (szczyt G–20), co internauci skomentowali serią kapitalnych *„memów"*.

fot. SCANPIX/AP/EAST NEWS

Jeden ukazywał Trumpa dzwoniącego do prezydenta Dudy: *„ — Andrew, weź mnie jakieś wyro zarezerwuj, bo w tym Hamburgu to jakaś Afryka!"*, na drugim Trump perswaduje surowo Angeli trzymającej twarz w dłoniach po wiadomości o demolce miasta: *„ — Ogarnij się, weź urlop, jedź na wakacje do Polski. Zobaczysz jak wygląda normalny kraj"*.

W pierwszych dniach lutego niemiecki minister spraw zagranicznych, Sigmar Gabriel, ogłosił swą prywatną opinię, iż to Niemcy wywołały II Wojnę Światową, po czym dokonały Holocaustu. Jego odważny *„news"* ucieszył tylko Polaków, reszta świata to zignorowała, więc niemiecka kontrnazistowska *„polityka historyczna"* będzie dalej święciła triumfy. Z górą 60 lat jej stosowania przyniosło trwały efekt, trudno będzie unicestwić go. Z jednej strony Frau Merkel, pytana o zbrodnie hitlerowskie, potwierdza, że to była niemiecka robota, a z drugiej w berlińskim Centrum Upamiętnienia Ruchu Oporu ekspozycja mówi, że do antyhitlerowskiego ruchu oporu należeli za czasów Hitlera właściwie wszyscy Niemcy — harcerze, studenci, robotnicy, urzędnicy, intelektualiści, artyści, księża, oficerowie, a nawet Romowie, Żydzi i Sinti (!?). Gratulacje, narodzie niemiecki! Jakim cudem ten Adolf przetrwał 12 lat u władzy mimo tak zmasowanego ostrzału ze strony partyzantki i opozycji wewnętrznej?!...

* * * * *

Żądając od Berlina odszkodowań za materialne krzywdy, pamiętajmy nie tylko zniszczenia spowodowane przez hitlerowców, lecz i wiele wcześniejszych berlińskich łotrostw, jak choćby kradzież przez Prusaków z Wawelu (1795) polskich insygniów królewskich (regaliów, czyli korony, berła i królewskiego jabłka), które Fryderyk Wilhelm III kazał przetopić na monety w 1809 roku.

Marian Hemar:

„Ja bardzo nie lubię Niemców
Z niejednego powodu.
Nie lubię ich pojedynczo,
Nie lubię jako narodu.

Mógłbym z grubsza powiedzieć,
Że z wszystkich cudzoziemców,
Których «en bloc» nie lubię —
Najbardziej nie lubię Niemców".

©℗

fot. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/NEWSPIX.PL

eprasa.pl 1b7f89dddd

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Płacz po Nemeczku

Niedawno uczestniczyłem w rozmowie z ludźmi, których średnio znam. Ponieważ wszyscy mamy dzieci w szkole, szybko znalazłem temat, który – jak mi się wydawało – przyjemnie nas połączy. Zacząłem narzekać na polską edukację.

I faktycznie. Wrzucony przeze mnie temat wzbudził zainteresowanie. Narzekanie poszło jednak w zupełnie inną stronę, niż się spodziewałem. Lamenty rozpoczął tata dziewięciolatka: „Mój syn miał przeczytać lekturę. To była książka »Anaruk, chłopiec z Grenlandii« Centkiewicza. I wyobraźcie sobie, że tam był opis polowania na foki. A potem jeszcze te foki oprawiali! Zdejmowali z nich skórę i kroili na kawałki! Koszmar! Jak te dzieci mają być normalne! Kto te lektury wybiera?!".

Na chwilę zapadła cisza. Wydawało mi się, że kłopotliwa, bo każdy myśli, jak grzecznie dać opór bzdurom wygłoszonym przez delikatnego tatusia. Chciałem już odpowiedzieć w imieniu zdroworozsądkowej większości, ale uprzedziła mnie jedna mama. „No właśnie! Moja córka musiała przeczytać »Chłopców z Placu Broni«. I jak przeczytała, to przez dwie godziny płakała i nie mogła się uspokoić. Te lektury to naprawdę wybierają jacyś psychopaci!" – zawyrokowała, a pozostali zebrani nagrodzili ją głośnymi wyrazami poparcia.

I wtedy pomyślałem coś, czego – jak sobie obiecywałem – nigdy nie pomyślę, bo to wyświechtane. – Co się z nami stało?! No przecież to jasne, że po „Chłopcach z Placu Broni" trzeba się rozpłakać! Ja łkałem jak bóbr! Dziewczynka wyrosłaby na seryjnego mordercę, gdyby śmierć Nemeczka spłynęła po niej jak po kaczce. To jest poruszające! Po to jest literatura, żeby poruszała. Żeby wzruszała. Albo żeby dawała nam wiedzę, nawet taką o zabijaniu fok.

Chciałem im to powiedzieć, ale wszyscy byli oburzeni, że ich dzieci naraża się na smutek i wzruszenie. I gulgotali gniewnie. Pożegnałem się zatem i sobie poszedłem. Jednak bardzo mnie ta sytuacja gryzła, bo to byli normalni ludzie, z tzw. klasy średniej, a więc jakoś tam wykształceni i na tzw. poziomie. A jednak byli wstrząśnięci tym – co według mojej oceny – jest najzupełniej normalne.

Oczywiście istnieje taka możliwość, że to ze mną jest coś nie w porządku. Wybieram jednak opcję dla mnie wygodniejszą: to oni zwariowali. I nurtuje mnie pytanie: Dlaczego? Najpierw pomyślałem, że to po prostu nadopiekuńczy rodzice, których pełno jest wokół i którzy dbają, żeby ich potomstwo żyło w pleksiglasowym raju.

Potem jednak doszedłem do wniosku, że ta aberracja to daleki odprysk poprawności politycznej, która przeorała nam mózgi znacznie głębiej, niż sądzimy. Ona ciągle zmusza nas do wygładzania i polerowania wszelkich zadziorów rzeczywistości. Aż w końcu uznajemy, że Eskimosi powinni jeść tofu. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Granica

Każde przedsięwzięcie, nawet najbardziej zacne, powinno mieć swoje granice. Czasem będą to granice prawne, czasem granice rozsądku, a czasem tylko przyzwoitości. Gorąco kibicuję działalności komisji weryfikacyjnej ds. reprywatyzacji, śledzę towarzyszący jej rozgłos medialny, ale niekiedy odczuwam dreszcz niepokoju. Czy aby wszystko idzie w dobrym kierunku?

Nie mam żadnych wątpliwości, gdy śledczy dogrzebują się wyłudzeń i oszustw, fałszywych testamentów, pełnomocników osób mających 130 lat, a nade wszystko korupcji w ratuszu i sądach, bez której cały proceder byłby niemożliwy. Czy jednak każda sytuacja jest identyczna? Czy kamienicznik to zawsze czarny charakter, a lokator to jego bezbronna ofiara? Nie mówimy o beneficjentach układu, którzy otrzymali nieruchomości wyremontowane na koszt miasta, opróżnione przez „czyścicieli". Jednak co z właścicielem otrzymującym ruinę, pełną lokatorów, którzy płacą grosze albo w ogóle nie płacą, a remonty robić trzeba, podatki płacić również?

Jeszcze bardziej nie podoba mi się, gdy dyskusja zmienia tory w kierunu, kto tam teraz mieszka – top modelka, superdziennikarka itp. I padają ceny lokali. Czasem jest to parę milionów. Owi nowi najemcy to nie są postacie z mojej bajki, ale kontekst sugerujący, że dorobiły się swych apartamentów nieuczciwie, jest co najmniej ryzykowny. Skądinąd podejrzewam, że właśnie owi celebryci (w odróżnieniu od licznych urzędników państwowych) najłatwiej wytłumaczyliby się z pochodzenia swoich ciężko zarobionych fortun.

Wątpię też, by otrzymali cokolwiek w prezencie od macherów przekrętów. Kierowanie na nich reflektorów śledczych jest oczywiście efektowne, ale odwraca uwagę od istoty problemu. A jest nią wyrwanie z korzeniami „układu warszawskiego" i udowodnienie przed sądem, że urzędnicy (w tym najwyżsi) czerpali z procederu olbrzymie korzyści. Bez tego cała para pójdzie w gwizdek. A i ten prędzej czy później się zapcha. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

Boję się, że

Elżbieta Morawiec

Polska odważyła się na przydanie narodowi godności. To się nie podoba wielu „kupcom", bo za wiele tracą

Z tej wojny – rozpętanej przez Izrael przeciwko Polsce – nasz kraj ma małe szanse, aby wyjść zwycięsko (oby Bóg i los sprawiły inaczej). Jesteśmy Dawidem w starciu z Goliatem. Sprzysięgli się przeciwko nam przede wszystkim byli współobywatele Żydzi. A z nimi – tzw. cały świat: wszystkie „Guardiany", „Le Monde" etc. Słyszę w głowie słowa Mickiewicza z „Dziadów" i z „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" – jak to nas Gall traktuje, a Rakus żółcią poi. Słyszę te prorocze słowa z „Ksiąg…" o europejskim, umownie mówiąc, „porozumieniu pieniądza", kupiectwie, językiem wieszcza mówiąc.

STRUSIA POLITYKA

Zaczynając ab ovo – Polska dziś odważyła się na pewne zwycięstwo, wyprowadziła kraj z dołka, przydała narodowi godności. Podmiotowość Polski bardzo wielu „kupcom" na świecie się nie podoba – za wiele tracą.

Nie udała się próba storpedowania polskiego sukcesu (przy użyciu – a jakże! – usłużnej opozycji „ulica i zagranica"). No to wystrzelił inny bat. Trzeba wykazać, że Polska to jeden z najnikczemniejszych narodów świata, współsprawca Holokaustu. To nie był bat, to było działo, z którego 27 stycznia, w Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu, wystrzelono w Polskę. Podobnego skandalu chyba ze świecą w annałach świata szukać. Bezczelnie, w obliczu także polskich ocalałych z Auschwitz, ambasador Izraela rzuciła ciężkie oskarżenie przeciwko ustawie IPN jako Polakom usiłującym ukryć swoje winy. Że po czymś takim niebo nie spadło na głowę pani Azari! Co gorsza, nie wyszły z tej uroczystości ani polskie władze, ani nikt z polskich więźniów Auschwitz. Pierwszy akt – przegrany. Nazajutrz nikt z rządu nie poprosił ambasador Azari, aby opuściła nasz kraj. Po takim horrendalnym afroncie, chamstwie, jak to nazwać? Polityka strusia.

W Monachium na ewidentnie prowokacyjne pytanie dziennikarza Bergmana („klaka" po pytaniu z sali) Mateusz Morawiecki odpowiedział, zgodnie z prawdą, m.in., że nikt nie neguje, iż byli szmalcownicy, bo w każdym narodzie – też żydowskim – są jednostki niegodziwe. Tylko tyle. I o wiele za mało. Pomijam już fakt, że Bergman okazał się pospolitym kłamcą (twierdził, że jego matka dostała odznaczenie przed wojną za piękny język polski, potem – że w czasie wojny miała pięć lat). Ewidentnie izraelski dziennikarz i jego klaka zostali wynajęci do brudnej roboty. Mateusz Morawiecki powinien był zapytać tego pana, skąd czerpie swoją wiedzę o Polsce w trakcie II wojny. Czy zna pamiętniki Ringelbluma? Czy słyszał o „carze getta" Rumkowskim, którego sami Żydzi wrzucili do pieca w Auschwitz? Czy zna (napisaną po hebrajsku i w jidysz) poezję Icchaka Kacenelsona „Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie"? Czy poznał wielkie dzieło Raula Hilberga, a może słyszał coś o Hannah Arendt i reakcjach Żydów po „Eichmannie w Jerozolimie", kiedy ośmieliła się swoim współbraciom wytknąć niechlubne karty wobec współbraci, i co ją spotkało? Czy ten dziennikarz wie może, co to były Żagiew w getcie warszawskim, żydowskie gestapo itd.? Premier Morawiecki powiedział za mało, ale nie był przygotowany na taki atak. Mógł pytanie odsunąć, jako niezwiązane z tematem spotkania (na to samo by wyszło…).

Następujący dzień później skandaliczny akt obsmarowania polskiej ambasady w Izraelu został skwitowany przez naszych „przyjaciół" w Izraelu jako… akt wandalizmu. To druga klęska. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby ktoś nasmarował na ambasadzie Izraela w Warszawie np. „Żydzi kłamcy", „Żydzi niewdzięcznicy". Reakcja tzw.

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. FOTOLIA

Polska przegra

świata – nie do wyobrażenia. A tu – nic, akt wandalizmu, sprawcy nieznani, policja szuka!

RELIGIA HOLOKAUSTU

Zawsze uważałam, że ludzką sprawą, ale przede wszystkim sprawą inteligenta, intelektualisty, jest dążenie do prawdy. Pan profesor Śpiewak wybił mi z głowy złudzenia. Oświadczył mianowicie, że wielka uczona Hannah Arendt kłamie, bo nie była historykiem.

Jan Tomasz Gross, który historykiem nie jest – przytaczając w swoich książkach wierutne brednie, bez najmniejszej rzetelności dokumentacyjnej – może. Hannah Arendt – nie może. Dlaczego? Odpowiedź jest oczywista. Bo ona, przenikliwa badaczka totalitaryzmu, zło ludzkie widziała bez różnicy narodowej przynależności, on – ponieważ, jak każe nakaz chwili, za naród najciężej złem skażony uznał Polaków. Niech będzie przeklęta taka nauka, profesorze Śpiewak, jaką pan uprawia i karmi nią studentów.

Z tej kilkunastodniowej wojny przeciw Polsce wynika jedno – naszym adwersarzom nie chodzi o prawdę. Są wyznawcami nowej religii – Holokaustu. Zgodnie z nią jedyną ofiarą niemieckiego barbarzyństwa byli Żydzi.

To prawda, oni byli na pierwszym planie. Jednak wśród 6 mln pomordowanych w Polsce połowa (ta druga, gorsza) to byli Polacy. Czy ktoś się o nas upomniał, krzyczał, że mordowany jest dzielny europejski naród?! Kto ma dziś prawo mówić nam, że za mało uratowaliśmy współbraci Żydów? Kto ma prawo wystawiać rachunki niespełnionego bohaterstwa, niedostatecznie przelanej polskiej krwi? Panowie z „New York Timesa", „Guardiana", „Le Monde", z „Israel Post"?

„Religia" Holokaustu pojawiła się dopiero w latach 60., w okresie wojny siedmiodniowej. Żydzi w tym czasie walczyli, i słusznie, o wielkie odszkodowania od Niemców i Szwajcarów. Uzyskali je.

Niemcy od lat 50 przędli swoją narrację o „nazistach" (takie ludziki bez narodowości). I ta narracja zwyciężyła. Żydzi dostali, czego żądali od Niemców. I kochają ich nadal!

Z przyczyn dla mnie niepojętych naród, który ponad 600 lat współżył w naszym kraju z Polakami, cieszył się od XIII w. specjalnymi przywilejami, którego król – Kazimierz Wielki – zwany był królem chłopów i Żydów, tak głęboko nas – trzeba to powiedzieć – nienawidzi, tak głęboko chce nas zgnębić, upokorzyć?

Wdzięczności między narodami nie ma, są tylko interesy – jak mawiał Churchill. Jednak na Boga, choćby skromna pamięć! Toć pierwszy premier Izraela, Menachem Begin, z armią Andersa wywędrował do Palestyny z sowieckiego Sybiru i za zgodą Andersa mógł się odłączyć od polskiej armii, budując państwo Izrael. Czego wy, potomkowie Abrahama, uczycie swoje dzieci w szkołach? Dlaczego wycieczki młodzieży do Polski chodzą pod bronią, izolowane od miejscowych jako krwawych antysemitów? Dlaczego dziennikarze izraelscy w Muzeum Powstania Warszawskiego ośmielają się pytać: „To Polaków też mordowano?!"?

Marzę o chwili, w której naród żydowski przestanie czcić cielca Holokaustu i samego siebie jako jedynej ofiary niewinnej. Kiedy przestanie negować (a tak było!), że w Rwandzie doszło do ludobójstwa, że dzieje ludobójstwa są stare jak ludzkość, a co najmniej jak rzeź Wandei podczas rewolucji francuskiej. Że ludobójstwem była rzeź Ormian [warto przypomnieć, że twórcą pojęcia „genocide" (ludobójstwo) był polski uczony, Żyd z pochodzenia. I nie odniósł go bynajmniej tylko do żydowskiej tragedii].

Niestety, mało mam wiary, że to kiedykolwiek nastąpi. Zwłaszcza że III wojna, rozpętana przeciw Polsce, przynosi ewidentne profity. Na razie tzw. moralne. Jednak co w perspektywie?

Współsprawcy Holokaustu, czyli Polacy – a do tego ta narracja wojny zmierza – mają płacić odszkodowania. Wysokie, zdaje się, że 63 mld dol. Polacy mają też być wiekuiście upokorzeni. Naród, o którego dziejach napisano kiedyś „Serce Europy"! Ukrzyżować? Tak, tak! Barabasza, Barabasza…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Ostatni taki

Piotr Semka

Wybuch społeczny z 1968 r. zajmuje w historii kryzysów PRL miejsce szczególne. Ani Październik 1956, ani Grudzień 1970, ani stan wojenny nie są wspominane na tak wiele różnych sposobów. I nie są używane jako pałka na adwersarzy. To chyba najbardziej dzielący z powojennych „polskich miesięcy"

W ciągu 50 lat po fali protestów przeciw ekipie komunistycznego władcy Władysława Gomułki nigdy nie było ani jednakowych wspomnień, ani tym bardziej jednej mitologii marcowego wybuchu. A przecież mowa jest o wydarzeniach, które pchnęły do polityki ludzi z różnych stron światopoglądowego spektrum. Przybysz z jakiegoś odległego kraju, dowiedziawszy się, że ten sam Marzec '68 był pokoleniowym wydarzeniem dla tak różnych postaci, jak z jednej strony Adam Michnik i Jan Tomasz Gross, a z drugiej Jarosław Kaczyński i Antoni Macierewicz, mógłby naiwnie sądzić, że to wspólne wydarzenie może ich łączyć.

Jest tymczasem dokładnie odwrotnie. Marzec dzieli. Jest w tamtych wydarzeniach do dziś jakiś rys tajemnicy, który uwiera i lewicę, i prawicę. Jednak tylko jedna strona – środowisko Adama Michnika – uczyniła z Marca 1968 uniwersalny przyrząd, za pomocą którego bada i ocenia świat aż do dziś.

CZTERY MARCE

Jeśli pokusić się o typologię myślenia o wydarzeniach z 1968 r., to w polskiej przestrzeni publicznej występują cztery różne „Marce". Opisy wydarzeń w różnych mitologiach niekiedy się ze sobą stykają, a niekiedy zupełnie wykluczają.

Najsilniejszą pozycję na „rynku pamięci" ma legenda „komandosów", czyli grupy rewizjonistycznej, marksizującej młodzieży studiującej głównie na Uniwersytecie Warszawskim, która od pierwszej połowy lata 1960 r. zaczęła być coraz bardziej krytyczna wobec władzy, a w końcu postanowiła wystąpić przeciw niej otwarcie. Określenie „komandosi" odnosiło się do grupy skupionej wokół Adama Michnika, której najbardziej znanymi postaciami byli Jan Lityński, Seweryn Blumsztajn, Teresa Bogucka, Barbara Toruńczyk czy Józef Dajczgewand.

W różnym tempie przeżywali oni rozczarowanie marksizmem i z czasem stworzyli aktywną grupę, która rozpoczęła kontestację rządów Gomułki pod hasłem protestu przeciw odejściu od zdobyczy Października 1956. To zasługą „komandosów" były demonstracja przeciw zdjęciu z afisza „Dziadów" Dejmka, a potem kluczowy dla rozpoczęcia protestów wiec na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego 8 marca 1968 r. w obronie usuwanego ze studiów Adama Michnika, który zakończył się sporymi zajściami ulicznymi.

„Komandosi" byli iskrą rewolty, ale szybko ich aresztowano i w kolejnych tygodniach Marca nie odegrali istotnej roli. Owszem, to ich nazwiska zostały najbardziej rozpropagowane i to oni dostawali potem dotkliwe wyroki więzienia. Jednak sam protest ponieśli po nich inni, znacznie mniej znani studenci i płacili za to równie surowymi wyrokami oraz relegowaniami ze studiów. To były setki młodych ludzi, których nazwiska nie zaistniały potem w politycznej historii Polski. „Komandosi" natomiast byli zwartą grupą z wyrazistym liderem Adamem Michnikiem, który umiał wyczerpująco opisać epopeję swego środowiska. Łaskawie dopuszczał on do niej dziesiątki bezimiennych inicjatorów późniejszych protestów, ale w zamian

eprasa.pl 1b7f89dddd

Marzec?

Tak w 2008, jak w 2018 r. lewica uczyniła z okrągłej rocznicy Marca maczugę na PiS. Na zdjęciu (od lewej): Adam Michnik, Jan Lityński, Piotr Osęka, Anna Dodziuk i Sergiusz Kowalski podczas debaty zorganizowanej 25 lutego 2018 r. w muzeum POLIN „Jak Marzec '68 wpłynął na zmiany społeczne i polityczne. Co pozostawił nam w spadku?" FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

wyznaczył „komandosom" status naczelnych obrońców polskiej demokracji. A po 1989 r. Michnik z Marca uczynił swoją legitymację do decydowania, kto polskiej demokracji służy, a kto jej zagraża.

Drugi „Marzec" to – znacznie słabsza – legenda wybuchu społecznego przeciw komunizmowi, w obronie godności studenckiej i wolnego słowa. Ta legenda nie zaprzecza, że iskrą było wystąpienie w obronie Michnika, ale zbiorową zasługę skali i długości zajść przenosi już na masy strajkujących studentów, a potem także uczestniczących w ulicznych starciach uczniów oraz robotników, którzy spowodowali, że zajścia marcowe potrwały trzy tygodnie i objęły wiele polskich miast. W sensie symbolicznym alternatywą dla Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie studiowała większość „komandosów", była Politechnika Warszawska z jej młodzieżą pozbawioną wszelkich złudzeń wobec marksizmu, za to z tradycją antykomunistyczną wyniesioną z domu. To tradycja ostrej zadymy 8 marca na Krakowskim Przedmieściu ze skandowaniem hasła: „Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i radziecki". To fenomen wieców i strajków na uczelniach Wrocławia, Gdańska, Krakowa, Lublina i Łodzi, w których pierwsze skrzypce grali ludzie spoza środowiska „komandosów".

Dopiero po otwarciu akt IPN doszła wiedza o nieznanych lub słabo dostrzeganych przez Radio Wolna Europa – niemal jedyne wówczas źródło nieocenzurowanej informacji – zajściach w takich miastach jak Legnica, gdzie uliczne manifestacje trwały trzy dni, od 15 do 17 marca, z udziałem ok. 2 tys. ludzi, głównie robotników, czy Tarnów – między 20 a 23 marca – które w ogóle nie zaistniały ani w zbiorowej świadomości Marca, ani w jego mitologii. Najbardziej znanymi uczestnikami tego nurtu rewolty są dziś Antoni Macierewicz, aresztowany dość późno, bo 28 marca, w końcowej fazie likwidacji rewolty, oraz Jarosław i Lech Kaczyńscy aktywnie uczestniczący w wiecu 8 marca na UW i w kolejnych dniach zajść. Sporej części ofiar represji Marzec złamał szanse na dokończenie wykształcenia. Marcowy epizod pobrzmiewał w życiorysach części działaczy NSZZ „Solidarność" z lat 1980–1981.

Trzeci „Marzec" to trauma osób pochodzenia żydowskiego – zarówno tych, którzy wyjechali wtedy z Polski, jak i tych, którzy zostali. To wspomnienie tamtego okresu jako wyjścia na jaw antysemityzmu i polskiego ciemnogrodu. Był to efekt rozmaitych szykan władz komunistycznych i zapamiętanej głęboko obojętności lub złej woli zwykłych Polaków. Fala zwolnień i zachęt do wyjazdu objęła warstwę dobrze zasymilowaną, ale zazwyczaj na marksistowską modłę. Represje te odnowiły lęki z lat okupacji. Emigracja marcowa w mniejszym stopniu objęła część Żydów, która trzymała się z dala od systemu PRL. Z biegiem czasu u większości wyjeżdżających bladła pamięć o komunistycznym źródle represji, a nasilał się uraz do szeroko rozumianej Polski. W przypadku środowiska „Gazety Wyborczej" w tym przesunięciu akcentów pomogło zbliżenie w latach 90. lewicy postsolidarnościowej z byłymi członkami PZPR, na czele z Wojciechem Jaruzelskim, mającym na sumieniu antysemickie czystki w wojsku.

Czwarty „Marzec" to wspomnienie części Polaków odległych od świata studenckiego i ówczesnych elit, często poranionych w epoce stalinizmu. Z tej perspektywy wydarzenia w 1968 r. sprowadzały się do wewnętrznej walki dwóch grup w PZPR, równie obcych większości Polaków – frakcji puławian i Natolina z wykorzystaniem karty żydowskiej. Pokolenie to dobrze pamiętało nazwiska stalinowskich rodziców części „komandosów", a udział młodzieży w zajściach i strajkach traktowało z dystansem jako niepotrzebne narażanie się w nieprzejrzystej grze. Zamiast empatii dla osób zmuszanych do emigracji wskazywano, że wyjazd na Zachód jest spełnieniem marzeń wielu Polaków, których albo nie było stać na wyjazd, albo nie mieli szans na paszport. Częsty

eprasa.pl 1b7f89dddd

jest w tej legendzie rys antysemicki, ale bywa on też efektem mściwego porównywania swego losu w stalinizmie do losu tych Żydów, którzy po wojnie robili kariery w aparacie urzędniczym PRL.

WYWIJANIE MARCEM

Dopiero w połowie lat 70. można było się zorientować, jak bardzo doświadczenie marcowe przyspieszyło powstanie opozycji.

O ile jednak środowisko „komandosów" działało jako zwarta grupa i używało tradycji marcowej jako sztandaru od samego początku powstawiania KOR, o tyle marcowi prawicowcy nie stanowili zwartej grupy. Owszem, doświadczenia marcowe także pomogły Antoniemu Macierewiczowi, Piotrowi Naimskiemu czy Jakubowi Karpińskiemu, ale ich ewolucja na prawo musiała potrwać jeszcze jakiś czas.

W odróżnieniu od nich „komandosi" alergię na tradycję narodową mieli cały czas. Wyszło to na jaw, gdy pod koniec lat 70. wyłoniło się środowisko Ruchu Młodej Polski, które nawiązywało do tradycji endeckich. Podziały według tej linii zatarły najpierw wybuch rewolucji Solidarności, a potem stan wojenny. Brutalność ekipy Jaruzelskiego zamroziła na dekadę lewicowe wspomnienie o Marcu jako momencie zobaczenia strasznej twarzy polskiego „ciemnogrodu". Dominowało wtedy postrzeganie Marca '68 jako jednego z etapów w sekwencji dat walki o wolność: 1956–1968–1970–1980.

Odmrożenie sporu o Marzec ruszyło w latach 90. Środowisko Michnika zaczęło zmieniać rozłożenie akcentów. Coraz więcej pisano na łamach „Wyborczej" o roku 1968 jako eksplozji antysemityzmu na równi komunistycznego, co oddolnego. Jednocześnie zaczęto szukać na siłę analogii polskich zajść z marksizującą rewoltą na Zachodzie.

Michnikowi i jego operacji przemodelowania pamięci sprzyjał fakt, że spora cześć prawicy nie przepadała za tradycją Marca jako mitem antykomunistycznej rewolty. Antoni Macierewicz, mający mocne marcowe doświadczenie życiorysowe – walczył wtedy o akceptację w ZChN, w którym nikt za etosem wiecu 8 marca na UW nie przepadał. A marcowi outsiderzy spoza legionu Michnika, tacy jak Jarosław Kaczyński, Jakub Karpiński, Jadwiga Staniszkis, mieli znacznie słabsze możliwości medialne.

Młodej prawicy tradycje zrywu z 1968 r. obrzydził ze szczętem Adam Michnik, który przy każdym objawie odradzania się tradycji patriotycznej czy narodowej w kółko ogłaszał: „Marzec mi się przypomina". Gdyby nie wysiłek Piotra Zaremby i Michała Karnowskiego w postaci wywiadu z braćmi Kaczyńskimi „O dwóch takich" – nikt nie uwieczniłby udziału prawicy w marcowej epopei i pozostawałby on zupełnie niezauważony.

To odpuszczenie Marca przez prawicę szef „Wyborczej" wykorzystał w latach 90. do kolejnego, niezwykle bezczelnego manewru – włączenia do grona prawowiernych dziedziców marcowego zrywu środowiska postkomunistów, na czele z tygodnikiem „Polityka". Nadęto do rangi aktów odwagi ciężko wtedy w 1968 r. zauważalne gesty ciut mniejszego zapału w realizacji linii Gomułki przez pismo Mieczysława Rakowskiego. Do grona dziedziców tamtej walki o wolność włączono takie postacie jak Krzysztof Teodor Toeplitz, Daniel Passent, Włodzimierz Cimoszewicz.

W tym roku używanie Marca do walki z PiS stało się tym łatwiejsze, że czasowo nałożyło się na konflikt na linii Polska – Izrael

Wszystko to jeszcze bardziej obrzydziło prawicy Marzec '68. Był to gorzki paradoks, bo właśnie wtedy, po 2000 r., pojawiać się zaczęły monografie IPN pokazujące skalę zajść w Gdańsku czy wspomnianych już „ludowych" rebelii w Legnicy, Tarnowie i w mniejszych ośrodkach. Cóż z tego, gdy tradycja ta nie miała ani atrakcyjnej ikonografii, ani żadnych znanych kombatantów?

Wykorzystując tę przewagę, w 2008 r. lewica uczyniła z kolejnej okrągłej rocznicy Marca maczugę na PiS, który ośmielił się trzy lata wcześniej sięgnąć po władzę prezydencką i parlamentarną. Literaturoznawca prof. Michał Głowiński zaczął snuć dywagacje o podobieństwie retoryki PiS do języka moczarowców. Rozkręcono też awanturę wokół „skandalu" nieprzyznania przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderu Orła Białego Adamowi Michnikowi. Tym razem zadbano również o delegitymizację marcowych zasług Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza. Krzysztof Łoziński, dziś znany jako szef KOD, ogłaszał, że jeśli nawet bracia Kaczyńscy byli na dziedzińcu UW 8 marca 1968 r., to byli tam jedynie w charakterze gapiów.

W Antoniego Macierewicza cios wymierzył prof. Andrzej Friszke, budując insynuacyjne teorie o „sypaniu" przez Macierewicza w śledztwie, mimo protestów znającego okoliczności tamtych wydarzeń marcowego opozycjonisty Wojciecha Onyszkiewicza. A wobec tych z bohaterów Marca, którzy po 1989 r. nie zginali karku przed Michnikiem – Ireny Lasoty czy Józefa Dajczgewanda – stosowano ostracyzm. Tak doszło do demonstracyjnego pominięcia Ireny Lasoty w sesji na temat wydarzeń w 1968 r. organizowanej przez UW, co usankcjonowała ówczesna rektor tej uczelni.

W tym roku używanie Marca do walki z PiS stało się tym łatwiejsze, że czasowo nałożyło się na konflikt na linii Polska – Izrael. Ogłoszono, że Marzec 1968 zaczął się w tym roku w lutym, a sesja marcowa w muzeum POLIN w trzech czwartych skupiła się na snuciu analogii między Gomułką a Jarosławem Kaczyńskim.

NIEUBŁAGANA BIOLOGIA

Gdy dawni „komandosi" przeżywają drugą młodość, rzucając w twarz PiS oskarżenia o kopiowanie marcowych wzorów – na łamach „Polityki" nieoczekiwanie kres dominacji odniesień do traumy 1968 r. zapowiedział teatrolog Tomasz Plata.

„Jeżeli to stan wojenny staje się najżywiej wspominaną przez nas traumą z bliskiej przeszłości, to niejako z definicji zastępuje w tej roli inne doświadczenia. Bodaj w pierwszej kolejności doświadczenia Marca '68. Rzecz wydaje się zrozumiała i całkowicie logiczna: czas wymusza zmianę pokoleniową. W miejsce tych, dla których inicjacyjnym przeżyciem był rok 1968, przychodzą ci, co wzrastali w okolicach roku 1981".

Te trzeźwe uwagi publicysty dalekiego od prawicy każą postawić przypuszczenie, że tegoroczna okrągła rocznica Marca '68 to już ostatni jubileusz pokolenia „komandosów" w pełni ich politycznej i wiekowej swady. Nie oznacza to, że młoda lewica nie będzie jeszcze wypominać Marca jako grzechu Polaków. A prawica będzie przypominać, że „Polski wtedy nie było". Marzec jednak nie ma zbyt dużych szans na dalsze królowanie w polskim świecie zbiorowej wyobraźni.

Wylansowała go ponad miarę pewna generacja. Kolejne pokolenia będą miały pewnie inne ważne dla siebie cezury. Sic tempus fugit.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Sławomir Cenckiewicz Paweł Piotrowski

Antysemicka akcja w LWP została sprowokowana przez ludzi bezkrytycznie zapatrzonych w ZSRS. Jej genezy należy szukać w Głównym Zarządzie Politycznym

Ludowe Wojsko Antysemickie

Nagonkę na Żydów w LWP zainicjować mieli zwolennicy wiceministra spraw wewnętrznych gen. Mieczysława Moczara (na zdjęciu z Wojciechem Jaruzelskim) FOT. WBH

Kampania antysemicka w Ludowym Wojsku Polskim należy do jednych z najbardziej mrocznych kart w dziejach tej formacji. Była ona częścią szerszego zjawiska, które miało miejsce od połowy lat 60., a polegało na oczyszczeniu aparatu państwowego, w tym szeregów ludowego WP, z osób mających etykietę „rewizjonistów". Otwarcie wyraził to w lutym 1971 r. szef Głównego Zarządu Politycznego WP gen. Józef Urbanowicz podczas VIII Plenum KC PZPR: „Potrafiliśmy zlikwidować szereg schorzeń, niedomagań, pozbyć się z naszych szeregów ludzi ideowo obcych, choć nie przychodziło to łatwo. Był to proces trwający całe lata. Ich resztki usunięte zostały z wojska pod naporem wydarzeń 1967 i 1968 roku".

Wojna arabsko-izraelska z czerwca 1967 r. początkowo nie wywołała specjalnej erupcji wystąpień antyżydowskich wśród kadry LWP. Bezpośrednim sygnałem do kampanii antysemickiej w WP było przemówienie I Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na Zjeździe Związków Zawodowych w dniu 19 czerwca 1967 r., podczas którego padły jego słowa o Żydach stanowiących „piątą kolumnę". Przed tym wystąpieniem Gomułka został zarzucony specjalnie preparowanymi materiałami pochodzącymi z MSW oraz z kierowanej przez gen. Teodora Kufla Wojskowej Służby Wewnętrznej na temat postaw społeczności żydowskiej w PRL i otwarcie wyrażanej radości ze zwycięstwa militarnego Izraela.

Pomijając sprawę sowieckiej inspiracji, wszystko wskazuje na to, że początek nagonki antyżydowskiej w armii został celowo sprowokowany, a jego genezy należy szukać w centrali i kierownictwie GZP.

Akcję mieli zainicjować tzw. moczarowcy, czyli zwolennicy wiceministra spraw wewnętrznych gen. Mieczysława Moczara, który także wywodził się z wojska (był w przeszłości współpracownikiem GRU o pseudonimie Woron). Należeli do tej

eprasa.pl 1b7f89dddd

grupy m.in. gen. dyw. Józef Urbanowicz (szef Głównego Zarządu Politycznego WP), gen. bryg. Teodor Kufel (szef Wojskowej Służby Wewnętrznej), gen. broni Grzegorz Korczyński (zastępca ministra obrony narodowej) i gen. broni Wojciech Jaruzelski (szef Sztabu Generalnego WP, a następnie szef MON). Bezpośrednim celem tej rozgrywki był marszałek Marian Spychalski, minister obrony narodowej, któremu wyciągnięto żonę Żydówkę i którego pogardliwie nazywano „Moniek". Można przypuszczać, że dalekosiężnym celem tej grupy było usunięcie Władysława Gomułki, którego miał zastąpić Moczar.

ALARM!

Akcja rozpoczęła się w Wojskach Obrony Powietrznej Kraju. Dowódcą WOPK był gen. dyw. Czesław Mankiewicz, zaufany marszałka Spychalskiego, jego zastępcą ds. politycznych – gen. bryg. Tadeusz Dąbkowski, zaś szefem sztabu gen. bryg. Jan Stamieszkin, sam mający żydowskie pochodzenie.

Początkiem działań przeciwko dowództwu WOPK były organizowane pod koniec czerwca 1967 r. zebrania i pogadanki zwane „informacjami". W dyskusjach tych otwarcie krytykowano dowództwo formacji. W końcu komisja pod przewodnictwem zastępcy szefa GZP gen. Jana Czapli po spotkaniu z aktywem partyjnym WOPK przedstawiła Spychalskiemu wniosek o odwołanie Mankiewicza i Dąbkowskiego. Pod naciskiem obecnych Jaruzelskiego, Kufla i Urbanowicza Spychalski uległ, godząc się z werdyktem. Decyzję tę zatwierdziło także Biuro Polityczne KC PZPR. Jak wspominał później Mieczysław F. Rakowski, podczas dyskusji przedstawiono alternatywę: albo przeciwstawić się całemu korpusowi oficerskiemu, albo odwołać tych generałów.

Sprawa miała jednak dalszy ciąg. Zbyt otwarte atakowanie przy tej okazji Spychalskiego doprowadziło do surowych kar partyjnych. Pomiędzy lipcem a grudniem 1967 r. z PZPR usunięto 39 osób, w tym część za tzw. postępowanie niezgodnie z linią partii i – co ciekawe – w kilku przypadkach za „antysemityzm". Był wśród nich gen. Julian Paździor, dotychczasowy dowódca 3. Korpusu OPK, w którym wystąpienia przeciwko dowództwu WOPK były najostrzejsze i zahaczały o otwarty bunt. Członkostwo w PZPR przywrócono mu w 1971 r., a w 1972 r. ponownie wrócił do służby wojskowej i został komendantem Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Radiotechnicznych w Jeleniej Górze.

ETAP DRUGI

To, co się działo w WOPK, było tylko pierwszym etapem działań zmierzających do usunięcia Żydów z wojska. Wspomniany już Rakowski pisał, że otrzymał wówczas list od pewnego oficera WP, którego w sierpniu 1967 r. wezwano do Departamentu Kadr i bez żadnych wyjaśnień poinformowano, że zostaje przeniesiony do rezerwy. Ten oficer żydowskiego pochodzenia do LWP wstąpił już w 1943 r. i walczył w szeregach 1. Dywizji Piechoty. Czuł się Polakiem, Polskę uważał za swoją jedyną ojczyznę, ożenił się z Polką. W liście napisał: „Dzieci nie wiedziały, że jestem pochodzenia żydowskiego, sąsiedzi też nie, a Departament Kadr wiedział".

Wojciech Jaruzelski brał aktywny udział w akcji jako członek specjalnie powołanej komisji

Przypadek ten ukazuje mechanizm rozkręcającej się prowokacji. Po pierwszej fazie czystek, już nieco żywiołowej, zagadnienie to postanowiono rozwiązać systemowo. W tym celu 21 listopada 1967 r. rozkazem nr 0546 ministra obrony narodowej Spychalskiego powołano specjalną komisję „w celu zapewnienia właściwej realizacji przedsięwzięć zmierzających do dalszego polepszenia jakości kadry oficerskiej". W jej składzie znaleźli się jako przewodniczący ówczesny szef SG WP gen. broni Jaruzelski oraz członkowie: szef GZP WP gen. dyw. Urbanowicz, szef WSW gen. bryg. Kufel i szef Departamentu Kadr MON gen. bryg. Stanisław Wytyczak. Tym samym nastąpiło sformalizowanie dotychczas nieformalnych działań podejmowanych przez te osoby od jakiegoś czasu, a zmierzających do oczyszczenia Sił Zbrojnych PRL z „niepożądanego elementu".

JARUZELSKIEGO „RAK KADROWY"

Sam Jaruzelski brał aktywny udział w tej akcji, a o jego nastrojach w tamtym okresie wiele mówi wystąpienie podczas narady POP PZPR w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego WP w kwietniu 1968 r. W tym wystąpieniu Jaruzelski pokusił się o analizę zagadnienia żydowskiego w polskim ruchu komunistycznym, sięgając aż do przykładu Komunistycznej Partii Polski, w której Żydzi stanowili dużą część aktywu i z tego tytułu miano po wojnie dać im rekompensatę w postaci stanowisk. Zdaniem Jaruzelskiego skutkowało to celową działalnością środowisk żydowskich do obsadzania wysokich stanowisk, a miał w tym celować zwłaszcza Roman Zambrowski. Efektem był tzw. rak kadrowy (sic!). Brak przeciwdziałania temu zjawisku miał – według Jaruzelskiego – wynikać z przeczulenia komunistów na punkcie antysemityzmu. Próba Gomułki dotycząca przeciwdziałania temu zjawisku w latach 1948–1949 miała się spotkać z zorganizowanym przeciwdziałaniem tych środowisk. Generał stwierdzał zatem, że „problemy syjonizmu tkwiły podskórnie u większości towarzyszy pochodzenia żydowskiego". Dopiero „agresja izraelska w 1967 r. spolaryzowała istniejące ukryte siły – co było zaskoczeniem nawet dla kierownictwa naszej partii". Oceniał także, że podejmowane próby odcięcia się oficerów pochodzenia żydowskiego od „syjonizmu", chociaż generalnie pozytywne, są często spóźnione, skromne i nieliczne, przez co zachodzi obawa, że nieszczere. Akcja „odżydzania", jak wówczas mawiano, szeregów LWP dotknęła także przyjaciół Jaruzelskiego – płk. Michała Sadykiewicza i płk. Michała Dodika, który będąc szefem sztabu 12. Dywizji Zmechanizowanej, w okresie, kiedy nią dowodził niemający doświadczenia Jaruzelski, faktycznie kierował tym związkiem taktycznym.

„ODŻYDZANIE"

Rok 1968 był zakończeniem procesu kształtowania właściwej struktury i postaw kadry zawodowej Wojska Polskiego. Tym razem nie chodziło już jedynie o Żydów (tych w armii zostało ok. 50), ale o wszystkich, którzy byli posądzani o rewizjonizm, liberalizm i inne odchylenia od oficjalnej linii PZPR. Ukoronowaniem tego procesu było odejście marsz. Mariana Spychalskiego i objęcie w kwietniu 1968 r. stanowiska ministra obrony narodowej przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

W maju 1968 r. Główny Zarząd Polityczny WP opracował w zespole kierowanym przez gen. Czaplę niezwykłą pracę zatytułowaną „Niektóre problemy powstawania i rozwoju Wojska Polskiego". To opracowanie w szczegółowy sposób opisywało rolę

eprasa.pl 1b7f89dddd

Żydów w powstaniu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, ich wpływy i wzajemne wspieranie się w obsadzaniu ważnych stanowisk. Podobnie, przy opisywaniu okresu powojennego, wskazywano na rolę Żydów w funkcjonowaniu wojska, w tym ich znaczenie w organach wymiaru sprawiedliwości – przy okazji bardzo szczegółowo opisywano ich brutalne i pozaprawne działania w roli oficerów śledczych GZI, prokuratorów oraz sędziów wojskowych. Miało to na celu wykazanie decydującego wkładu oficerów pochodzenia żydowskiego w represje stalinowskie w wojsku. Przytoczono w niej także fakty związane z nieprawidłowościami w funkcjonowaniu wywiadu wojskowego, czyli Oddziału II SG w latach 40., wykazują, że ich powodem było obsadzenie zdecydowanej większości stanowisk kierowniczych przez osoby pochodzenia żydowskiego. W tym kontekście pisano nawet, że niemal oficjalnym językiem w Oddziale II był jidysz.

SPIRALA ANTYSEMITYZMU

Przed V Zjazdem PZPR kampania antysemicka w kraju wyhamowała, lecz nie wszyscy odpowiednio szybko zauważyli tę zmianę. W notatce GZP, pochodzącej z października 1968 r., skierowanej do Władysława Gomułki, a dotyczącej kampanii przedzjazdowej w Siłach Zbrojnych (V Zjazd), czytamy, że pojawiały się także zjawiska negatywne, dotyczące głównie garnizonu warszawskiego. Polegały one zwłaszcza na „nadmiernym uwrażliwieniu pewnej części członków partii na zagadnienie syjonizmu", jak to określał „dochodzących w niektórych przypadkach do ideologicznie błędnego, niezgodnego z linią partii widzenia tego problemu". Szczególnie było to widoczne w niektórych wystąpieniach na konferencjach partyjnych w Sztabie Generalnym, Inspektoracie OT, dowództwach WOPK, WOW, ASG oraz w jednym wystąpieniu w GZP. Pisano także, że „niektórzy dyskutanci wyrażali niepokój, czy walka z syjonizmem zostanie zaniechana lub osłabiona, doszukując się zapowiedzi tego m.in. w ograniczaniu publikacji na ten temat". W tym kontekście krytykowano wypowiedź Zenona Kliszki na XII Plenum KC PZPR, w której informował on o decyzji zaniechania akcji antysemickiej, czyli „zdjęcia tej tematyki z łamów propagandy partyjnej".

Wśród kadry tych instytucji kolportowano broszury antysemickie. Jedna z nich została opracowana przez 15 oficerów grupy partyjnej Sztabu WOPK i rozprowadzona w ich środowisku. Podjęte działania operacyjne Wojskowej Służby Wewnętrznej spowodowały, że większość nakładu tej broszury przejęto i zapobieżono jej szerszemu rozpowszechnianiu.

Na terenie instytucji centralnych MON kolportowano również inne broszury powstające wówczas w różnych środowiskach, w dużej części inspirowane przez MSW. Inspiratorami byli gen. Władysław Ciastoń oraz „wybitny znawca" tematyki żydowskiej płk Tadeusz Walichnowski. Jak się później okazało, inspiracją, a nawet źródłem propagandowych kalek na temat Żydów był dla Ciastonia i Walichnowskiego nazistowski „Der Stürmer", z którego dorobku korzystali.

Krytyka dotykała samego Zenona Kliszki, najbardziej zaufanego Gomułki, i przez to postrzegano ją jako pośredni atak na I Sekretarza KC PZPR. Aby uspokoić nastroje, obaj funkcjonariusze MSW zostali wyrzuceni z resortu. W kilku przypadkach wszczęto śledztwo prokuratorskie – objęło ono m.in. gen. Paździora, ppłk. Kazimierza Cwójdę, ppłk. Jerzego Bochniewicza, mjr. Zenona Łobacza. Niektórzy z nich

REKLAMA

eprasa.pl 1b7f89dddd

zostali aresztowani, a wszyscy wydaleni z PZPR i dyscyplinarnie zwolnieni z wojska.

Z kolei dwóch oficerów Zarządu II (wywiadu), ppłk Kazimierz Compa i ppłk Marcel Chudziński, zostało dyscyplinarnie przeniesionych poza Warszawę, a zastępca dowódcy WOPK ds. politycznych płk Kazimierz Burczak został zdjęty ze stanowiska.

Organizowano zebrania kierowniczego aktywu politycznego w wojsku. Na jedno z nich – 26 października 1968 r. – został zaproszony sam Kliszko, co miało ostudzić emocje i wyraźnie wskazać, że nastąpiła zmiana linii propagandy.

DŁUGIE RAMIĘ CZYSTKI

W latach 70. wielu z tych oficerów, „poobijanych" na froncie walki z syjonizmem, przywrócono do wojska, w tym gen. Paździora.

Bolesną sprawą związaną z tym okresem były także działania Departamentu Kadr MON, pozbawiające stopni oficerskich wszystkich tych, którzy wyjechali lub zostali zmuszeni do opuszczenia kraju w latach 1957–1968. Znamy siedem takich rozkazów: dwa z 1970 r. oraz po jednym z lat 1971, 1972, 1974 i 1980. Wszystkie podpisane przez gen. Jaruzelskiego. Ostatni, ze stycznia 1982 r., podpisał gen. Florian Siwicki. Decyzje o zdegradowaniu podejmowano na mocy ustawy z 1967 r. o powszechnym obowiązku obrony PRL z powodu „utraty wartości moralnych". Dotyczyło to 1356 oficerów i chorążych, z tego 147 służby czynnej, oraz 1208 z rezerwy. Jedynie dwóch oficerów, płk Marek Klibański i płk Michał Sadykiewicz, w 1990 r. po długotrwałych staraniach uzyskało ponowne przywrócenie stopni oficerskich.

Na żądanie ówczesnego wiceministra obrony narodowej Janusza Onyszkiewicza w 1990 r. w Departamencie Kadr MON sporządzono imienny wykaz oficerów WP pochodzenia żydowskiego zwolnionych z zawodowej służby wojskowej w latach 1967–1968. Wykaz ten zawiera 104 nazwiska, spośród których: 17 zwolniono dyscyplinarnie, 34 – gdyż nie wyrazili zgody na przeniesienie na niższe stanowisko, 23 zwolniono z powodu osiągnięcia granicy wieku w posiadanym stopniu wojskowym, dwóch po osiągnięciu 60. roku życia, a 20 zostało uznanych przez komisję lekarską za niezdolnych do służby wojskowej, dwaj – gdyż nie uzupełnili wykształcenia w zakresie służby wojskowej, a sześciu zwolniło się na własną prośbę. W wykazie tym figurują także osoby nieżydowskiego pochodzenia, takie jak gen. Bronisław Bednarz, gen. Jerzy Fonkowicz, płk Wincenty Heinrych, co świadczy o tym, że dla inicjatorów czystek wystarczyło samo posądzenie o niewłaściwe pochodzenie, aby pozbyć się niewygodnych oficerów.

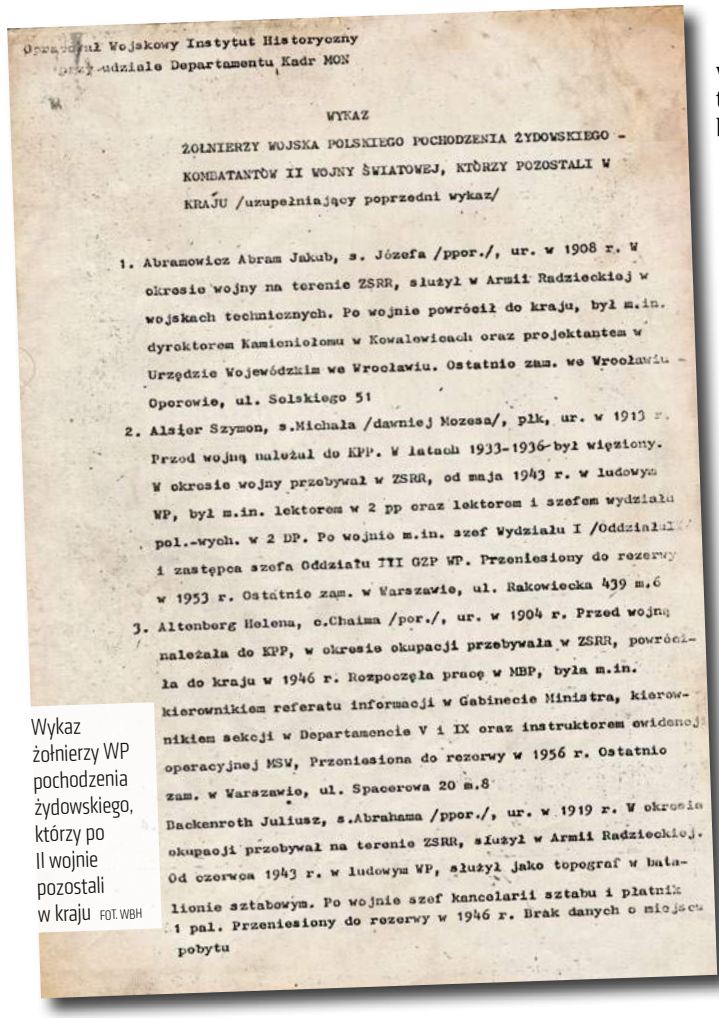

Wojskowy Instytut Historyczny
przy Oddziale Departamentu Kadr MON

WYKAZ

ŻOŁNIERZY WOJSKA POLSKIEGO POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO – KOMBATANTÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ, KTÓRZY POZOSTALI W KRAJU /uzupełniający poprzedni wykaz/

1. Abramowicz Abram Jakub, s. Józefa /ppor./, ur. w 1908 r. W okresie wojny na terenie ZSRR, służył w Armii Radzieckiej w wojskach technicznych. Po wojnie powrócił do kraju, był m.in. dyrektorem Kamieniołomu w Kowalowicach oraz projektantem w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu. Ostatnio zam. we Wrocławiu – Oporowie, ul. Solskiego 51
2. Alsjer Szymon, s.Michała /dawniej Mozesa/, płk, ur. w 1913 r. Przed wojną należał do KPP. W latach 1933-1936 był więziony. W okresie wojny przebywał w ZSRR, od maja 1943 r. w ludowym WP, był m.in. lektorem w 2 pp oraz lektorem i szefem wydziału pol.-wych. w 2 DP. Po wojnie m.in. szef Wydziału I /Oddziałowy/ i zastępca szefa Oddziału III GZP WP. Przeniesiony do rezerwy w 1953 r. Ostatnio zam. w Warszawie, ul. Rakowiecka 439 m.6
3. Altenberg Helena, c.Chaima /por./, ur. w 1904 r. Przed wojną należała do KPP, w okresie okupacji przebywała w ZSRR, powróciła do kraju w 1946 r. Rozpoczęła pracę w MBP, była m.in. kierownikiem referatu informacji w Gabinecie Ministra, kierownikiem sekcji w Departamencie V i IX oraz instruktorem ewidencji operacyjnej MSW, Przeniesiona do rezerwy w 1956 r. Ostatnio zam. w Warszawie, ul. Spacerowa 20 m.8
Backenroth Juliusz, s.Abrahama /ppor./, ur. w 1919 r. W okresie okupacji przebywał na terenie ZSRR, służył w Armii Radzieckiej. Od czerwca 1943 r. w ludowym WP, służył jako topograf w batalionie sztabowym. Po wojnie szef kancelarii sztabu i płatnik 1 pal. Przeniesiony do rezerwy w 1946 r. Brak danych o miejscu pobytu

Wykaz żołnierzy WP pochodzenia żydowskiego, którzy po II wojnie pozostali w kraju FOT. WBH

Dzisiaj po latach sprawa czystek antysemickich w Wojsku Polskim jest uznawana za działanie kładące się cieniem na dzieje LWP. Tak pisali gen. Tadeusz Pióro, prof. Jerzy Eisler czy płk Edward J. Nalepa, choć ten ostatni podkreślał, że z jednej strony była to pierwsza od października 1956 r. „swoista eksplozja patriotycznych nastrojów oficerów, wyrażająca się przede wszystkim w autentycznej trosce o rzeczywistą gotowość bojową formacji, w której służyli, a także o szeroko pojętą obronność naszego kraju", lecz z drugiej strony był to efekt fali antysemityzmu wywołanego przez grupę „partyzantów", dla osiągnięcia swoich politycznych celów. Na drugim biegunie znajduje się opinia Petera Rainy, który pisał, że „posunięcia podjęte w okresie 1967– 1968 i dotyczące zwolnienia oficerów były w zgodzie z obowiązkami MON. Polityka czystki w WP była jak najbardziej pożądana. Była ona działaniem chroniącym rację stanu, działaniem w obronie nacji, a nie przeciw nacji. Urzędnik państwowy, tym bardziej wysoki oficer armii zajmujący eksponowane stanowisko, musi być lojalny wobec państwa, którego jest urzędnikiem".

Pomimo często negatywnej przeszłości wyrzucanych z LWP i zmuszanych do emigracji oficerów prześladowanie kogokolwiek ze względu na narodowość należy uznać za haniebne. Poza wszystkim byli to w swojej przewadze ludzie głęboko zasymilowani z Polską, a ich dzieci często dopiero podczas kampanii antysemickiej dowiadywały się, że są Żydami. Orientacja, która przeprowadziła czystki w wojsku i ostatecznie wygrała, nie miała nic wspólnego z patriotyzmem. Wspomnieć należy, że jeden z głównych aktorów akcji antysemickiej w latach 1967–1968 (a nawet po 1956 r.) – gen. Grzegorz Korczyński – sam miał na koncie wiele mordów Żydów w okresie służby w partyzantce komunistycznej na Kielecczyźnie.

W 1968 r. zwyciężyli ludzie bezkrytycznie zapatrzeni w Związek Sowiecki i – jak pokazała przyszłość – posłusznie wykonujący polecenia idące z Moskwy. Symbolem tej grupy pozostanie na zawsze gen. Wojciech Jaruzelski, który 13 grudnia 1981 r. nie zawahał się, by użyć broni przeciwko własnemu narodowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorzy są pracownikami Wojskowego Biura Historycznego im. gen. K. Sosnkowskiego.

eprasa.pl 1b7f89dddd

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Stare, dobre czasy monarchii

Na początku XX w. przez Europę Środkowo-Wschodnią przeszło tsunami. Po tym kataklizmie ta część świata odmieniła się nie do poznania. Z areny dziejów ustąpiły wielkie wielonarodowe imperia. A ich miejsce zajęły małe nacjonalistyczne państewka. Zakończyła się epoka monarchii, a rozpoczęła epoka rządów ludu.

Oczywiście demokratyczna i lewicowa propaganda przedstawia stary porządek jako „piekło robotników i chłopów". A tęskniących za nim konserwatystów jako „wrednych reakcjonistów" lub – w najlepszym przypadku – „dinozaurów nierozumiejących współczesnego świata". Cóż jednak zrobić, skoro tamten świat był taki wspaniały! A o tym tego samego już powiedzieć się nie da.

Wszystkim, którzy myślą z nostalgią o starych europejskich monarchiach, polecam książkę prof. Pietera M. Judsona „Imperium Habsburgów". Holenderski historyk kreśli w niej barwną panoramę fenomenu, jakim było wielonarodowe imperium austro-węgierskie.

Nie ukazuje go jednak tak jak to ma w zwyczaju wspomniana demokratyczna propaganda. Czyli jako więzienia ludów, w którym źli Niemcy i Węgrzy dręczyli biednych Słowian. Judson pisze, jak było naprawdę. Czyli opowiada o państwie, w którym pod panowaniem Habsburgów zgodnie i harmonijnie współżyli przedstawiciele tuzina narodowości.

To dopiero upadek tego domu panującego i załamanie się Austro-Węgier doprowadziły do eksplozji przemocy i nienawiści. Gdy konserwatyści ustąpili miejsca nacjonalistom, ci ostatni rzucili się sobie do gardeł. Zaczęli się nawzajem wyrzynać i ciemiężyć.

Problem polegał bowiem na tym, że w wielu miejscach Europy Środkowo-Wschodniej przedstawiciele różnych narodów żyli przemieszani. Pod rządami liberalnych Habsburgów nikomu to nie przeszkadzało, ale teraz stało się olbrzymim problemem.

W ciasnych granicach nowo powstałych nacjonalistycznych republik znalazły się olbrzymie „mniejszości narodowe". A to stało się źródłem poważnych konfliktów i zarzewiem przyszłej wojny.

Szkoda, że historia tak się potoczyła. ©℗

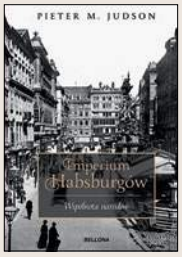

★★★★★★

PIETER M. JUDSON „IMPERIUM HABSBURGÓW. WSPÓLNOTA NARODÓW" BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

O Romanie Polańskim

Jedynym jego filmem fabularnym powstałym w całości w Polsce był „Nóż w wodzie" (premiera: 9 marca 1962 r.). Później przez długie lata reżyser powtarzał, że marzy o realizacji filmu w kraju, jednak uznawał to za niemożliwe. Polańskiego nie interesowały względy ideologiczne, problemem był brak odpowiedniej infrastruktury. Tłumaczył, że film właściwie można nakręcić bez kamery, ale nie da się go zrealizować bez sprawnego telefonu.

„Pianista" spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem na całym świecie

Dopiero po zmianach ustrojowych, wraz z pojawieniem się telefonii komórkowej i nadejściem ery cyfryzacji, sytuacja uległa zmianie. Zdjęcia w Polsce oznaczały też mniejsze koszty, a poza tym Polański znalazł wreszcie temat, o którym marzył od lat i który najlepiej można było zrealizować w nadwiślańskich plenerach. Były nim pamiętniki Władysława Szpilmana.

Nowe dzieło Polańskiego było polsko-francusko-brytyjską koprodukcją, której budżet określono na 35 mln dol. Film kręcono głównie na warszawskiej Pradze, a część scen na terenie dawnej sowieckiej bazy we wschodnich Niemczech. „Pianista" spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem na całym świecie. Zebrał kilkadziesiąt nagród, wśród których były: Złota Palma w Cannes, siedem Cezarów, dwie nagrody BAFTA. Zarobił też ponad 120 mln dol., co stawia go wśród najbardziej kasowych obrazów Polańskiego. Natomiast oscarowa gala, na której film triumfował (siedem nominacji, trzy statuetki, w tym za reżyserię), przeszła do historii z innych powodów. Polański nie mógł się tam pojawić zagrożony aresztowaniem z powodu gwałtu, jakiego dopuścił się w 1978 r. na 13-letniej Samancie Gailey. W Hollywood nieobecny był także producent ze strony polskiej, Lew Rywin (z wiadomych powodów). Był to chyba jedyny taki przypadek w dziejach kinematografii.

Zapewne gdyby nie oskarżenie o gwałt na nieletniej, Polański miałby już niejednego, Oscara, a tak musiał długo czekać na tę najcenniejszą w świecie filmu nagrodę. I bez końca można rozpamiętywać, ile jego znakomitych filmów nie powstało z tego powodu, że nie miał dostępu do pieniędzy i możliwości Hollywood. Mimo to reżyser uważa się za człowieka spełnionego pod każdym względem, także zawodowym i rodzinnym.

Polański bez wątpienia jest geniuszem, zdarzają się jednak ludzie, którzy czytając jego pełne samozadowolenia wynurzenia pojawiające się w mediach w ostatnich latach, przypominają słowa, jakie sam włożył w usta Johna Hustona w „Chinatown": „Politycy, brzydkie budowle i dziwki, jeśli istnieją wystarczająco długo, zyskują szacunek". ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

Mrok Białego Jaru

Adam Zubek

Pół wieku temu lawina w Karkonoszach porwała 24 osoby. Nie przeżyło aż 19 z nich

W akcji ratowniczej w Karkonoszach brali udział m.in. żołnierze. Ostatnie ciała ofiar wydobyto po dwóch tygodniach FOT. CAF/PAP

eprasa.pl 7f89dddd

Wyruszyli grupą ok. 30 osób. Kilkoro z nich zawróciło. Kilka wlekło się w ogonie. Trochę szybciej poszły w górę 24 osoby. I właśnie w tym momencie, ok. godz. 11, nawisy śnieżne zalegające na zboczach Białego Jaru utraciły swoją stabilność. Lawina porwała całą 24-osobową grupę. Zginęło 19 osób. Było wśród nich 13 Rosjan, czworo turystów z NRD i dwoje Polaków. Historia polskich gór nie zna równie tragicznego zdarzenia.

Kilka lat później lawina zmiotła też pomnik, który z potężnych granitowych bloków wzniesiono przy tym szlaku dla upamiętnienia dramatu z 20 marca 1968 r.

BIAŁY JAR CZY CZARNY?

Biały Jar, wbrew nazwie, owiany jest czarną legendą. Lawiny schodzą tu każdej śnieżnej zimy. Szlaki piesze są na szczęście zamykane, ale zapędzą się tu czasem narciarze lub snowboardziści. Pierwszy odnotowany w kronikach przypadek dotyczy roku 1700, kiedy to Samuel Steiner zginął na zboczach Białego Jaru, niosąc pomoc innemu zasypanemu turyście. Ostatni śmiertelny wypadek wydarzył się w 2008 r., a ofiarą był właśnie nieostrożny snowboardzista. W ciągu ostatnich 50 lat działania polskiego GOPR zginęło w Karkonoszach prawie 100 osób.

Czym jest Biały Jar? Dla tych, którzy bywali w Karkonoszach latem, ta czarna legenda może wydać się dziwna. Grozę budzą raczej przepastne Śnieżne Kotły czy skalne ściany otaczające Mały i Wielki Staw. Jednak Biały Jar? Stosunkowo łagodna nisza w głównym grzbiecie masywu Karkonoszy pozbawiona urwistych ścian skalnych? Rozciąga się od wysokości 1200 m n.p.m. do ok. 1370 m n.p.m. i jest obszarem źródliskowym Złotego Potoku. Widoczna jest z daleka jako jasna plama – to skutek intensywnego wietrzenia granitu i pokrywy jasnego gruzu, rozmywanego przez erozję. Dnem doliny biegnie czarny szlak – najkrótsza droga z Karpacza na Śnieżkę. Skąpa pokrywa roślinna nadaje surowości krajobrazowi.

Dla geomorfologa jest to niemowlęca forma kotła lodowcowego. Gdyby ostatnia epoka lodowcowa potrwała parę tysięcy lat dłużej, w niecce Białego Jaru rozrósłby się lodowiec górski, który przekształciłby tę dolinę w skalny kocioł na podobieństwo Śnieżnych Kotłów czy kotłów tatrzańskich. A tak pozostał tylko tzw. niszą niwalną – miejscem, w którym w epoce lodowcowej utrzymywał się zapewne stały płat śniegu, zalążek lodowca. Niestety, ta skłonność do gromadzenia w tym miejscu wielkich mas śniegu przetrwała do naszych czasów. Dlaczego tak się dzieje? Decydujące znaczenie mają specyfika ukształtowania Karkonoszy i warunki klimatyczne.

POGODA I GRAWITACJA

Nie ulega wątpliwości, że matką lawin jest pogoda. To za jej sprawą pojawiają się w górach bardzo obfite opady śniegu. To ona decyduje, jaki jest ten śnieg – mokry, gęsty, puszysty czy bardziej przypominający drobiny lodu. To ona dniami i nocami troskliwie kształtuje charakter swoich śnieżynek, tworząc z nich puszyste kołderki albo prawdziwych twardzieli – zlodowaciałe pokrywy. To ona sprawia, że czasem trzymają się mocno razem, a czasem ich drogi się rozchodzą. W górach zimą, kiedy pokrywa śnieżna utrzymuje się często przez pół roku, pogoda zamienia pokrywę śnieżną w prawdziwy wielowarstwowy tort.

REKLAMA

NADZIEJA w WIELODZIETNYCH

Polska stoi u progu katastrofy demograficznej. Paradoksalnie rodziny wielodzietne, które mogłyby nas uratować, są opuszczone i pozbawione pomocy. Ratunkiem jest oddolna, lokalna pomoc. **Fundacja Nadzieja** pokazuje, jak to robić. **Dlaczego to takie ważne?**

DEMOGRAFIA I GOSPODARCZY UPADEK
W Polsce jest jeden z najniższych w świecie poziom urodzeń. Jakie są tego konsekwencje?
Polska stanie się narodem ludzi starych. Następuje zjawisko cichego wymierania narodu polskiego. Coraz mniej ludzi pracujących, coraz więcej emerytów. Grozi to załamaniem systemów zdrowotnych i emerytalnych. Konieczne jest stworzenie nowego klimatu społecznego promującego duże rodziny.

WSTYDLIWE STATYSTYKI
Dziś rodziny wielodzietne są grupą najbardziej zagrożoną skrajxnym ubóstwem! Zagrożenie ubóstwem dla rodziny z czwórką dzieci jest 11-krotnie większe niż dla rodziny z 1 dzieckiem. Musimy wspierać rodziny wielodzietne, zmagających się ze skrajną biedą, ten obowiązek spoczywa na nas, na wspólnotach lokalnych/parafialnych – tam pomoc jest najbardziej skuteczna.

DUŻE RODZINY SĄ DLA NAS NADZIEJĄ – ALE JAK POMÓC?
Wystarczą dwie osoby, by utworzyć i prowadzić lokalny/ parafialny zespół pomocy i opieki dla dzieci z rodzin zagrożonych ubóstwem. Wystarczy zebrać i przekazać na ten cel trochę żywności, odzieży, zbędnych zabawek czy sprzętu AGD. Nie wymaga to żadnych kosztów. W każdej społeczności są zarówno rodziny zmagające się ze biedą, jak i osoby zamożne wrażliwe na krzywdę i biedę dzieci.

FUNDACJA NADZIEJA INICJUJE TAKĄ LOKALNĄ POMOC. TO DZIAŁA.
Fundacja Nadzieja od lat wspiera rodziny wielodzietne, w których rodzice ciężko pracują, jednak dochód podzielony na wiele osób jest przyczyną ubóstwa. Dzieci z biednych dużych rodzin często są bardzo utalentowane, pracowite i wrażliwe. Fundacja objęła pomocą stypendialną już 126 takich dzieci.

FUNDACJA NADZIEJA przygotowała informację /przekaz do lokalnych społeczności - jak w sześciu prostych krokach wyciągnąć rodziny wielodzietne z biedy/.

WIĘCEJ INFORMACJI NA STRONIE: WWW.FUNDACJA-NADZIEJA.ORG.PL

Jakie są z tego korzyści? Obudzenie aktywności lokalnych społeczności, zmniejszenie ubóstwa dzieci z rodzin wielodzietnych, stworzenie im warunków do nauki i pracy, wreszcie ograniczenie patologii społecznych.

PRZEKAŻ 1% PODATKU
na pomoc dla utalentowanych dzieci z biednych rodzin
Fundacja NADZIEJA wspiera rodziny wielodzietne zmagające się ze skrajną biedą

Ubóstwo dzieci

Rodziny wielodzietne często znajdują się w rozpaczliwej sytuacji materialnej.
Co **dziesiąte** dziecko wciąż żyje w ubóstwie.

Pozyskane środki przeznaczane są dla utalentowanych, pracowitych dzieci z biednych wielodzietnych rodzin.

ICH TALENT I PRACOWITOŚĆ TO NASZ WIELKI SKARB.

Więcej informacji o działalności Fundacji NADZIEJA na stronie:
www.fundacja-nadzieja.org.pl
Znajdziesz tu także **bezpłatny program PIT 2017**

FUNDACJA NADZIEJA
KRS: 0000 172 690
konto: 36 1160 2202 0000 0000 3737 5711

eprasa.pl 1b7f89dddd

Feralnego marca przed 50 laty, a więc właściwie już na przedwiośniu, tydzień przed tragedią temperatura w Karkonoszach utrzymywała się w okolicach 0 stopni C. Było słonecznie, prawie bez opadów. Woda z topniejącego śniegu zamarzała, wsiąkając w gruzowo-skalne podłoże. W drugiej połowie marca nadeszły opady śniegu, a temperatura spadła poniżej zera. Na zlodowaciałe podłoże nałożyły się warstwy najpierw mokrego, potem suchego śniegu. Grubość „tortu" przekroczyła metr. Wtedy do akcji włączył się wiatr. Specyfika Karkonoszy polega na tym, że przy olbrzymiej przewadze wiatrów z kierunków zachodnich zbocza północne wału Karkonoszy stają się wielkim rezerwuarem śniegu. Nie dość, że huraganowe niekiedy wiatry zwiewają świeży śnieg na naszą, północną stronę z płaskiej wierzchowiny głównego grzbietu (bezpośrednio nad Białym Jarem rozciąga się niemal płaska Równia pod Śnieżką), to regularnie przewiewają też śnieg z czeskiej strony. Tworzą się potężne nawisy śnieżne na polskiej krawędzi tej wierzchowiny, wypełniające znajdujące się poniżej obniżenia lejów źródłowych.

OSTATNIA WYCIECZKA

20 marca 1968 r. pogoda zachęcała do wycieczek w góry. Tak przynajmniej wydawało się z perspektywy domu wczasowego w Karpaczu. Było słonecznie i odwilżowo. Grupa turystów z Kujbyszewa w ZSRS, młodych nauczycieli, namówiła swojego pilota, Polaka z Warszawy, na wycieczkę na Śnieżkę (1605 m n.p.m.). Pierwszy etap zamierzali pokonać wyciągiem krzesełkowym na Kopę. Wyciąg jednak nie funkcjonował z powodu zbyt silnego wiatru. Większość grupy zdecydowała się na pieszą wyprawę – mimo ostrzeżeń o zagrożeniu lawinowym. Zapewne nie wiedziano też o sytuacji sprzed kilku dni, kiedy lawina porwała grupę narciarzy, którzy jednak wyszli cało z tej przygody. Rosjanie nie byli przygotowani do zimowej, górskiej wycieczki – panie w sukienkach, lekkich butach, z torebkami w rękach, panowie w półbutach i płaszczach. Pilot wycieczki nie miał górskich uprawnień.

Jak wyglądały chwile przed tragedią, wiemy od naocznych świadków. Dwie Polki z Łodzi, siostry, zawarły to we wpisie do księgi pamiątkowej domu wczasowego, w którym przebywały i skąd wyruszyły na szlak:

„Ścieżka była coraz bardziej stroma. Po lewej stronie jeszcze las, ale po prawej skraj ścieżki oblodzony, ogołocony przez wiatr. Niżej coraz bardziej stromo opadał wąwóz Złotego Potoku. Nasza ścieżka przestała być gościnną drogą do krainy słońca – stała się półką brzegu wąwozu. Wiatr utrudniał poruszanie się. Para młodych ludzi idąca cały czas na przedzie wróciła. Wróciło też kilka osób idących przed nimi. Ale z dołu idą nowi, tym razem Rosjanie. Nie boją się śliskiej ścieżki, nie odpycha ich silny wiatr. Schodząc ze ścieżki, przepuszczamy ich – im się śpieszy, są młodzi, ciekawi. Jedna z dziewcząt prosi kolegę, by zaśpiewał. Posuwamy się dalej, trzeba się schylić, bo wiatr jest tak silny, że chwilami odpycha w tył. Jednakże zakręt już bliski. Znowu stajemy i przysuwamy się do ośnieżonego zbocza, bo mijają nas dwie dziewczyny – Rosjanki – i trzech starszych panów.

Jesteśmy zmęczone. Nastrój krajobrazu, tak radosny początkowo, zmienia się w groźny. Wiatr dmie i wyje, siostra dalej nie chce iść. Proszę ją, żeby jeszcze tylko kilka kroków, do zakrętu, który jest tuż przed nami. Znowu krok – przed nami plecy ostatniego z mężczyzn widziane na tle zakrętu.

W tej samej chwili zadymiło, szurnęło mocno śniegiem! Całe zbocze przed nami rusza, rusza cała ściana śniegu wprost na nas! Skaczemy w lewo, w kierunku drzew. Siostra krzyczy:

– Lawinaaa!

– Do drzew! Trzymajmy się!

Śnieg sypki, sięga za kolana, zdołałyśmy zrobić dwa kroki, a już zakręt – cel naszej drogi – piętrzy się górą olbrzymich pryzm. Obok, tuż-tuż, suną w wąwóz (głębokość ok. 20 m) masy śniegu. Na naszych oczach wąwóz przestaje istnieć. Bezgraniczne przerażenie i myśl – co z ludźmi, którzy parę sekund temu byli przed nami?!".

Pięć osób uszło z życiem – fala podmuchu odrzuciła ich na przeciwne zbocze. Śnieg był bardzo ciężki i twardy. W przeciwieństwie do lawin pyłowych (z lekkiego puchu śnieżnego, dość rzadkich w naszych górach), które duszą swoje ofiary, lawina gruntowa, a do takich zaliczono lawinę w Białym Jarze, masakruje ludzi, którzy znajdą się w jej zasięgu. Taki obraz ofiar pozostał w oczach ratowników, którzy bardzo szybko znaleźli się na miejscu. Lawina miała 700 m długości i 80 m szerokości. Zdumiewała wysokość czoła lawiny oceniana na ok. 20 m. To też specyfika Białego Jaru. Większość lawin w wysokich górach rodzi się w wąskich żlebach, a u podnóża stoku obejmuje szeroką przestrzeń. W Białym Jarze było odwrotnie. Masy śniegu zgromadzone w rozległej niszy (300 x 360 m), pędząc w dół z prędkością przekraczającą 100 km godz., musiały się zmieścić w wąskim gardle jaru. Stąd olbrzymie przemieszanie warstw śniegu i olbrzymie spiętrzenie u czoła lawiny.

Akcja poszukiwawcza była bardzo trudna. Uczestniczyli w niej ratownicy karkonoscy i tatrzańscy, żołnierze, mieszkańcy Karpacza, wczasowicze, również czescy ratownicy. Ostatnie ciała odnaleziono po dwóch tygodniach.

Karkonosze, latem przyjazne turystom, niewysokie, zwane kiedyś Górami Olbrzymimi, zimą niosą olbrzymie zagrożenia. GOPR wskazuje te miejsca: poza Białym Jarem, Śnieżnymi Kotłami, Kotłami Małego i Wielkiego Stawu są to: Kocioł Łomniczki, Kocioł Smogorni, Czarny Kocioł, Łabski Kocioł i Szrenicki Kocioł.

Czy można się jakoś uchronić przed lawinami? Tak, trzeba czytać i słuchać.

w stosunku do nich konsekwencji.

(63) Dalszy ciąg na str. 2

Tragedia w Karkonoszach

Olbrzymia lawina, nie notowana tu od dziesiątków lat, zsunęła się w środę w południe przy pięknej, słonecznej pogodzie w zlebie Białego Jaru w rejonie Karpacza, zasypując wielu turystów, wśród których znajdowali się goście z ZSRR i NRD. Do późnych godzin wieczornych spod zwałów śniegu wydobyto 13 ofiar śmiertelnych, których nie udało się jeszcze zidentyfikować. Kilka osób przetransportowano do szpitala.

Około 250 osób wzięło udział w akcji ratowniczej: ekipy sudeckiej grupy GOPR, oddziały WOP, liczni mieszkańcy z całej okolicy. Z pomocą pośpieszyła również 30-osobowa grupa „Horskiej Służby", dysponująca psem wytresowanym do odszukiwania ofiar pod lawinami.

Akcję ratowniczą kontynuowano w nocy przy świetle reflektorów.

Informacja o tragedii zamieszczona w „Dzienniku Łódzkim" w 1968 r. FOT. FBC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. FOTOLIA

„MĄŻ" I „ŻONA" TO ZŁE SŁOWA

I znów okazało się, że nie nadążamy za światowymi przemianami. U nas dopiero raczkuje wciskanie żeńskich odpowiedników słów, których nikt nie oczekiwał ani nie lubi – takich jak „ministra" – gdy tymczasem w USA modne jest wykluczanie słów identyfikujących płeć. Uniwersytet w Dayton, a jest to katolicka uczelnia, ma listę zamienników słów i radzi studentom powstrzymywać się od takich określających płeć. Niedawno na tej liście pojawiły się też „mąż" i „żona". Zamiast nich uczelnia sugeruje używanie słowa „partner".

RESTAURACYJNY ZAKAZ WÓZKOWY

Do restauracji w hotelu w szwajcarskim Arbon nie można wjechać dziecięcym wózkiem. Wiadomo, że dzieci to samo zło – głośno gaworzą, czasem płaczą, rozłażą się po lokalu i w ogóle przeszkadzają kelnerom. No i wiadomo też, że jak jest wózek, to jest prawdopodobieństwo, że będzie tam dziecko. Chociaż menedżer tej restauracji potrafił wyjaśnić to w mniej skomplikowany sposób. – Prowadzimy restaurację, a nie żłobek – powiedział mediom pan Simone Siegmann z hotelu Wunderbar. Prawda, że cudownie?

PRAWO W SPODNIACH

Niektórzy młodzi ludzie w USA lubią nosić spodnie w ten sposób, że opadają im z bioder i widać bieliznę albo... no, wiadomo. Politykom z Karoliny Południowej to się nie podobało i przygotowali ustawę, która właśnie zaczęła obowiązywać. Od teraz nielegalne jest tam noszenie spodni niżej niż trzy cale poniżej szczytu biodra. Karane jest to grzywną (pierwsza kara – 25 dol., recydywa – nawet 75 dol.) albo skierowaniem na prace społeczne.

RZYMSKI KLIMAT

Kiedy w Polsce jest spory mróz, rwą się linie energetyczne, zamarzają pociągi – to wiadomo: sorry, taki mamy klimat. Włosi tak mówić nie mogą, więc kiedy w Rzymie lekko poprószył śnieg i zebrało się go 5 cm, to zablokowana została jedna ze stacji kolejowych i nastąpił kolejowy paraliż kraju. W samym Wiecznym Mieście zamknięto żłobki i przedszkola, a urzędnicy sprowadzili ciężki sprzęt do usuwania śniegu, który okazał się kompletnie nieprzydatny, bo tak cienkiej warstwy nie uprzątał.

KFC BEZ KURY?

Sieć KFC w Wielkiej Brytanii przez trzy dni nie miała dla swoich klientów kurczaków i musiała zamknąć 900 lokali – a brytyjska sieć to 6 proc. światowego rynku KFC wartego 24,5 mld dol. Okazało się, że firma zmieniła firmę obsługującą dostawy z południowoafrykańskiej na DHL należącą do Deutsche Post (dodaliśmy to tylko po to, by umożliwić państwu schadenfreude). ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O uległości

Gdyby ktoś chciał napisać nowy polit thriller o tym, jak islamofaszyzm podbija świat, o początek powieści nie musi się już martwić. Napisali go już Włosi do spółki z ONZ i Unią Europejską. Swoje dodał Watykan.

Prezydent Turcji Erdoğan przybył 4 lutego do Rzymu z niezakrzepłą jeszcze na rękach krwią kurdyjskich kobiet i dzieci z Afrina w Syrii. Został przyjęty z honorami w Watykanie, na Kwirynale i w Palazzo Chigi, siedzibie włoskiego rządu. Na koniec zorganizowano mu bardzo ponoć owocne spotkanie z czołowymi przedsiębiorcami Italii. Chcąc zapewnić bisurmanowi komfort psychiczny, gospodarze trzymali go w zamkniętej strefie bezpieczeństwa w centrum miasta, gdzie zakazano jakichkolwiek demonstracji. Mało tego – aby nie narazić islamofaszysty na niewygodne pytania, mimo nacisków ze strony mediów, zrezygnowano ze wspólnej konferencji prasowej po spotkaniu Erdoğan – Gentiloni.

Trzy tygodnie później Erdoğan odwdzięczył się Włochom za gościnność. Pięć tureckich fregat zmusiło platformę wiertniczą Saipem 12000 włoskiego ENI do wycofania się z okolic Cypru. Miała tam szukać ropy i gazu po wniesieniu opłat oraz podpisaniu porozumienia z uznawanym przez ONZ rządem Cypru, który należy do UE. Włosi przyjęli policzek bez słowa protestu, nie mówiąc o Narodach Zjednoczonych czy Unii Europejskiej. Pikanterii tej kompromitacji dodaje to, że na czele unijnej dyplomacji stoi Włoszka Federica Mogherini.

Najwyraźniej turecki satrapa, który w każdej chwili może zalać Europę uchodźcami i migrantami, otrzymał od Włochów i obu miłujących pokój organizacji „licence to kill", tak jak James Bond od rządu jej Królewskiej Mości, a na dodatek milczące przyzwolenie na polityczne chuligaństwo. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Wojna na technologie

Z płk. Markiem Wrzoskiem, autorem książki „Wojny przyszłości”
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

FOT. US NAVY/ZUMA/FORUM

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Kilka lat temu amerykański okręt został w niespotykany sposób okiełznany przez rosyjski samolot. Tak będą wyglądały epizody przyszłej wojny?

MAREK WRZOSEK: Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak będzie przebiegała przyszła wojna. Prawdopodobnie będzie to wojna hybrydowa, czyli systematyczna, łącząca w sobie nieregularne elementy walki. Są i takie opinie, które wskazują, że III wojna już się rozpoczęła – właśnie w przestrzeni elektromagnetycznej. A efektem takich działań są właśnie zdarzenia dowodzące możliwości operacyjnych, jeśli chodzi o użycie fal elektromagnetycznych. I w takich kategoriach należy rozpatrywać omawianą sytuację. A zatem starcie niszczyciela US „Navy Donald Cook” z myśliwcem rosyjskim Su-24 na Morzu Czarnym stanie się w przyszłości podstawą ataku elektronicznego na systemy dowodzenia walką przeciwnika. Przypomnijmy, że miało ono miejsce 12 kwietnia 2014 r. Okręt – wyposażony w 56 wyrzutni rakiet Tomahawk (zasięg 2,5 tys. km), mogących przenosić ładunki nuklearne, oraz zintegrowany system naprowadzania i kierowania ogniem Aegis, który umożliwia lokalizację, śledzenie i niszczenie wielu celów, służący też jako tarcza – patrolował akwen. Do eliminacji niszczyciela wystarczył jeden rosyjski samolot wyposażony w system zakłócania walki elektronicznej Jibiny, neutralizujący elektroniczne urządzenia okrętu. Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt – sama świadomość, że strona przeciwna dysponuje skuteczną bronią elektroniczną, stanowi mentalną barierę w rozpoczynaniu działań militarnych. Pozbawienie zdolności operacyjnych za pomocą systemów walki elektronicznej to faktyczne założenie przyszłych konfliktów zbrojnych.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Impuls elektromagnetyczny powodujący przepięcia w obwodach elektronicznych czy gwałtowne skoki napięcia to tylko najbardziej jaskrawe przykłady wykorzystania nowej broni.

Rakiety sześciokrotnie szybsze, o których pan wspomina, staną się przyszłą wunderwaffe?

Szybkość podejmowania decyzji, sprawność i skuteczność środków oddziaływania wzrasta wielokrotnie. A zatem czas uderzenia musi być zaskakujący dla potencjalnego przeciwnika. Stąd tendencja do budowy szybkich samonaprowadzających się pocisków. Chodzi o to, aby uzyskać przewagę nad przeciwnikiem. Zatem tego rodzaju rakiety zapewnią, już niedługo, warunki do uzyskania przewagi wynikającej również z zaskoczenia w przyszłej wojnie. Właśnie dzięki szybkości i celności uderzeń. Takie rakiety są w stanie ominąć cały system obrony powietrznej, są zdolne do zmiany kierunku i wysokości lotu, a także korekty trasy. Już takie zalety wskazują, że w praktyce są niewidzialne, a zatem pozostają poza możliwościami oddziaływania. Proszę sobie wyobrazić rój rakiet lecących na wybrane obiekty z różnych kierunków i na różnych wysokościach. Każda z nich to samodzielny pocisk nakierowany na jeden wybrany i ważny obiekt strategiczny, z ładunkiem dobranym w taki sposób, aby zniszczyć tylko cel, bez powodowania strat ubocznych. Rosja niedawno ogłosiła, że zakończyła z powodzeniem serię testów pocisków hipersonicznych. Prawdopodobnie wyprzedzają technologicznie amerykańskie odpowiedniki. Mogą osiągać prędkość nawet sześciokrotnie większą niż dźwięk. Latają stosunkowo nisko, więc są praktycznie niewykrywalne przez radary. W nowym konflikcie zbrojnym przyszłościowym rozwiązaniem wydaje się również rosyjski system Prometeusz S-500 zwalczający (w promieniu 600 km) samoloty, helikoptery, drony, pociski balistyczne oraz cele hipersoniczne (np. spadające głowice nuklearne). Obecnie ocenia się, że rakiety wchodzące w skład tego systemu są w stanie przechwycić cele lecące nawet z prędkością powyżej 7 km/s.

Automatyzacja konfliktów militarnych jest nieunikniona?

Zdecydowanie tak. Zautomatyzowane systemy dowodzenia, inteligentna amunicja, samonaprowadzające się pociski rakietowe to najlepsze argumenty wskazujące na postępujący proces automatyzacji. Jest inny problem – ile władzy oddamy automatom? Jaka będzie rola człowieka w systemach walki, gdzie zostanie postawiona granica w uzbrojeniu automatów w środki rażenia? Obecne środki walki są już nasycone komputerami pokładowymi i automatami regulującymi pracę innych automatów. Współczesny czołg to w istocie zestaw automatów sterujących jego jazdą, ochroną, a nawet systemem celowania i doboru amunicji. Stosowane oprogramowania komputerowe pozwalają śledzić w każdym pojeździe stan paliwa i uzbrojenia, a nawet umożliwiają monitoring działania załogi. Zatem walka dronów i rakiet, zmagania procesorów to tylko kwestia technicznego rozwiązania obecnych problemów organizacyjnych.

Nanoroboty, chipy dla żołnierzy, genetyka w służbie armii – to nie tylko fantazja?

Wszystkie te rozwiązania są już stosowane w praktyce. Oczywiście w różnym zakresie i nie w każdej armii, ale proszę pamiętać, że wojsko już dyskontuje wiele rozwią-

REKLAMA

IMPERIUM DOBRYCH KSIĄŻEK
WYDAWNICTWO Capital

ZAKŁAMANY HOLOKAUST

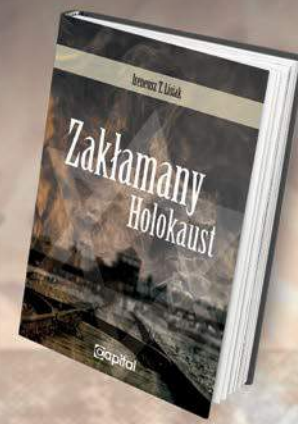

32,00 ZŁ
~~39,90 ZŁ~~

NINIEJSZA POZYCJA OPISUJE ZAKŁAMANE HISTORIE OSÓB, KTÓRE CELOWO ZAFAŁSZOWAŁY HISTORIE DOTYCZĄCE HOLOKAUSTU, CZERPIĄC Z TEGO KORZYŚCI FINANSOWE I ZDOBYWAJĄC SŁAWĘ JAKO EKSPERCI HISTORYCZNI, CZĘSTO SZKALUJĄC POLSKĘ I POLAKÓW.

ŻYDOWSCY KOLABORANCI HITLERA

32,00 ZŁ
~~39,90 ZŁ~~

„SZALEŃCZO POSZUKUJĄC KOLABORANTÓW WŚRÓD NARODÓW EUROPEJSKICH, ZAPOMINA SIĘ O NARODZIE, KTÓRY BYŁ DLA ŻYDÓW NAJGROŹNIEJSZY. NIEZWYKLE CIEKAWE, BOGATO UDOKUMENTOWANE OPRACOWANIE, UKAZUJĄCE NIECHLUBNĄ STRONĘ LOSÓW NARODU ŻYDOWSKIEGO.

533 496 436 sklep@capitalbook.pl
www.capitalbook.pl

eprasa.pl 1b7f89dddd

zań z zakresu nanotechnologii, bioniki, elektroniki czy genetyki. Zatem to nie fantazja – to powolny proces urzeczywistniania nowego wymiaru wojny. Obecnie dostępne są rozwiązania umożliwiające zatrzymanie krwotoku poprzez wprowadzenie w ranę postrzelonego żołnierza specjalnych substancji, a rozpuszczalne nici chirurgiczne to standard nie tylko w lazaretach. Chipy lokalizujące ludzi czy umożliwiające ich genetyczną identyfikację nie są wymysłem. Stają się potrzebą w konfliktach asymetrycznych i hybrydowych. Nanoroboty są wykorzystywane w rozpoznaniu, ale także w łączności, czasem służą także do lokalizacji uszkodzeń mechanicznych.

Wojskowe technologie czerpią ze świata fauny i flory?

Owszem. Na przykład w zakresie maskowania, przemieszczania się, ale także komunikacji. Kwiaty otwierają swoje kielichy, bo wzeszło słońce, liście same kierują się w stronę światła, drzewa są zdolne do produkcji tlenu. Kamuflaż aktywny czy piany maskujące to efekty podpatrywania przyrody. Ciekawym przykładem wykorzystania wiedzy pochodzącej z bioniki jest opracowanie przez amerykańską armię dwóch prototypów niewielkiego zwiadowczego robota podwodnego o dużym zasięgu, wzorowanych na robotuńczyku. W pierwszym z prototypów Ghost Swimmera konstruktorzy skoncentrowali się na napędzaniu maszyny za pomocą ruchu ogona, a w drugim – przez poruszanie płetwami o odpowiedniej wielkości i kształcie. Mechaniczne płetwy mają różne kształty i wielkości, w tym są wykończone półokrągłymi ząbkami, co znacznie poprawia sterowność robota i możliwości jego kontrolowania.

Coraz częstsze anomalie pogodowe i kataklizmy przyrodnicze to rezultat prac nad bronią geofizyczną?

To trudny temat – nikt nikomu tego nie udowodnił. Jednak sam fakt gwałtownych zjawisk pogodowych stanowi już przesłankę do wniosku, iż istnieje możliwość, że ktoś dysponuje środkami, za pomocą których może modyfikować lokalne stany aury. Problem jest poważniejszy – należy się obawiać, że pewnego dnia „atak pogodowy" wymknie się spod kontroli, bo jest nieprzewidywalny jak tor rakiety, w której wystąpiła awaria systemu kierowania. W przyszłości prawdopodobnie sterowanie pogodą umożliwi przejmowanie kontroli nad akwenami czy dolinami. Zjawiska pogodowe mogą implikować szereg negatywnych następstw, ponieważ mówimy o globalnym oddziaływaniu. Zatem „efekt motyla" może mieć opłakane skutki. Dobrym przykładem takiego działania, a więc modyfikacji pogody, były amerykańskie próby zniszczenia Szlaku Ho Chi Minha podczas wojny w Wietnamie. Samoloty rozpylały w atmosferze jodek srebra, powodując długotrwałe opady deszczu, który zalewał system komunikacji drogowej potocznie określany jako Szlak Ho Chi Minha. W ten sposób doprowadzono do poważnych zakłóceń w transporcie. Broń geofizyczna jest zagrożeniem nie tylko dla walczących wojsk, jej skutki mogą bowiem odczuwać ludzie zamieszkujący tereny położone z dala od konfliktu.

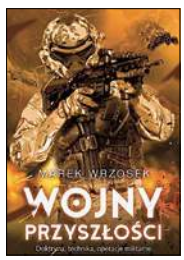

MAREK WRZOSEK „WOJNY PRZYSZŁOŚCI" FRONDA 2018

Stara prawda dowodzi, że broń, która dziś sprawia, iż czujemy się bezpieczni, jutro sprawi, że poczujemy się bardzo zagrożeni, ponieważ nasi przeciwnicy posiądą te same możliwości, a co gorsza, mogą zwiększyć skuteczność.

W swojej książce podaje pan również przykłady ataku akustycznego...

Omawiam przypadek akustycznego oddziaływania na pojmanych w Iraku jeńców, którym Amerykanie serwowali muzykę heavymetalową. Efekt był taki, że jeńcy składali zeznania za odstąpienie od „koncertów". To dowodzi, że dźwięki potrafią skutecznie zdeformować ludzką psychikę. Zostało dowiedzione, że długotrwałe oddziaływanie akustyczne może powodować określone zmiany w zachowaniu lub w stanie zdrowia fizycznego żołnierzy poddawanych presji dźwięku. Również obiekty nie są obojętne na „uderzenia bronią dźwiękową". Fale dźwiękowe służą nie tylko do destrukcyjnego oddziaływania. Mogą stanowić przydatne źródło informacji. Wiele urządzeń, nie tylko wojskowych, wykorzystuje dźwięk w procesie identyfikacji obiektów.

Dlaczego terenem globalnego konfliktu może stać się Arktyka czy Antarktyda?

Od stuleci wszyscy walczyli o zasoby, ziemie, surowce. A zatem podstawą konfliktu mogą być potencjalne bogactwa naturalne. Lody topnieją i odsłaniają coraz większe połacie twardego gruntu lub wody. A to otwiera nowe możliwości w eksploatacji zasobów. Jak poważna to sprawa, może świadczyć to, że nie tylko Rosjanie budują nowe arktyczne formacje bojowe zdolne do operowania w trudnych warunkach klimatycznych.

Konflikty zbrojne przeniosą się w kosmos?

Wojskowe satelity już dziś kursują po orbicie Ziemi. A zatem pomału, skrycie, ale konsekwentnie, przestrzeń kosmiczna staje się obszarem militarnego zainteresowania. To satelity komunikacyjne zapewniają łączność, satelity rozpoznawcze umożliwiają śledzenie i namierzanie niemal wszystkich obiektów. Stąd już krok do programu „Golden Eye", czyli umieszczenia środków rażenia. Oczywiście są zapisy prawa międzynarodowego, lecz społeczność międzynarodowa nie jest w stanie kontrolować tego, co dzieje się na Ziemi – a co dopiero poza jej orbitą. Zatem powstanie wojsk kosmicznych to tylko kwestia czasu.

W kosmosie przyda się uzbrojenie laserowe?

Potencjalny konflikt zbrojny w kosmosie to zestrzelenie systemów komunikacyjnych strony przeciwnej, eliminacja jej środków rozpoznania i zakłócenie pracy stanowisk dowodzenia. Tak oślepionego wroga łatwo pokonać – będzie głuchy, ślepy i zdezorientowany. Zatem lasery to jeden z elementów przyszłej konfrontacji zbrojnej, nie tylko w ziemskim wymiarze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

płk prof. dr hab. Marek Wrzosek, wykładowca Akademii Sztuki Wojennej *– zajmuje się kwestiami związanymi z systemem rozpoznania wojskowego, procesami informacyjnymi, a w szczególności – oceną zagrożeń militarnych i niemilitarnych. Autor licznych prac naukowo-badawczych, m.in. „Polska, Unia Europejska, NATO – wobec wyzwań i zagrożeń", „Współczesne zagrożenia w obszarze bezpieczeństwa europejskiego".*

eprasa.pl 1b7f89dddd

SZEWACH WEISS

Syria – poligon cyników

Wybitny izraelski dziennikarz Sewer Plockier opublikował niedawno w dzienniku „Yedioth Ahronoth" bardzo ciekawy artykuł o możliwych losach prezydenta Syrii Baszara al-Asada. Analizując sytuację zewnętrzną i wewnętrzną kraju, doszedł do wniosku, że Al-Asad nie utrzyma się u władzy, że ten morderca własnego narodu nie ucieknie przed karą. I że niemożliwe jest, by taki człowiek stanął na czele przyszłej Syrii, której przyszłość jeszcze nie jest pewna, nie wiadomo, czy będzie suwerennym państwem i kiedy to się stanie. Zainspirowany tym artykułem chciałbym zauważyć kilka ważnych kwestii dotyczących Syrii.

Wojna domowa, choć nie tylko domowa, toczy się w Syrii już prawie siedem lat. Liczba ofiar nie jest dokładnie znana, ale bez wątpienia jest ogromna. Może dojść nawet do miliona, jeśli weźmie się pod uwagę również bardzo ciężko rannych. Naród syryjski jest rozproszony. Miliony Syryjczyków przebywają za granicą – w Jordanii, Turcji i całej Europie. Kraj jest w ruinie. Syryjskie miasta przypominają gruzowiska znane z europejskich miast podczas II wojny światowej i po niej. Rząd nie funkcjonuje. W dramatycznej sytuacji są system edukacji, służba zdrowia, pomoc socjalna, komunikacja, cała syryjska codzienność. Nad krajem wiszą czarne chmury, a na horyzoncie nie widać nadziei. Strach milionów obywateli, płacz dzieci, niewyobrażalna liczba sierot. Syria jest głęboko skaleczona i mocno krwawi.

Świat nie radzi sobie z sytuacją w Syrii. Polityka Baracka Obamy doprowadziła do ograniczenia amerykańskiej interwencji z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, głęboko wierzono w możliwość rozwiązania konfliktu metodami dyplomatycznymi. Po drugie, zarówno Barack Obama, jak i Donald Trump biorą pod uwagę fakt, że Ameryka jest zmęczona dotychczasowymi interwencjami poza swoimi granicami. Naród amerykański jest przeciwny wysyłaniu żołnierzy na wojny w innych krajach, czuje głęboką traumę jeszcze z czasów walk w Korei, Wietnamie, Afganistanie czy Iraku. W sytuacji gdy Stany Zjednoczone oraz Europa ograniczają swoje zaangażowanie, powstała próżnia. W polityce nie ma na nią miejsca, zarówno w przestrzeni wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Jeśli więc powstaje próżnia polityczna, z pewnością zostanie wypełniona. Nie zawsze pozytywnie. Próżnia w Syrii i na Bliskim Wschodzie bardzo sprytnie i energicznie jest zagospodarowywana przez Władimira Putina. Przez lata Rosja cierpiała na kompleks związany z Bliskim Wschodem. Do lat 60. XX w. miała ogromny wpływ na tę część świata, ale z czasem dominację tam przejęły Stany Zjednoczone. To one miały największy wpływ na Bliski Wschód z marginesowym i okazjonalnym wpływem Europy.

Rosja popiera siły Baszara al-Asada. Czasami to wsparcie przypomina działania III Rzeszy w Hiszpanii w latach 30., kiedy to Niemcy, bombardując Guernicę, urządzili sobie wielkie manewry jako próbę generalną przed II wojną światową. Kosztem krwi hiszpańskiego narodu. Tak, to wygląda fatalnie, cynicznie, ale jeśli się śledzi ostatnie działania sił powietrznych Rosji, to można dojść do wniosku, że przypominają tamte bombardowania. Stany Zjednoczone działają w Syrii przeciw Rosji. Takie lotnicze działania przynoszą wiele ofiar, a i Stany Zjednoczone, i Rosja oszczędzają w ten sposób życie własnych żołnierzy. A naród syryjski, dzieci, kobiety i osoby starsze codziennie padają ofiarą tych manewrów. Organizacja Narodów Zjednoczonych nie radzi sobie z takimi sytuacjami.

Wracając do artykułu Sewera Plockiera w „Yedioth Ahronoth"... Już kilka lat temu część liderów politycznych w Izraelu, analizując sytuację w Syrii, twierdziła, że Al-Asad już kończy swoją „służbę". Ale ona nadal trwa. Prorokowanie w tej sprawie jest bezcelowe, bo nawet najgłębsze analizy mogą okazać się chybione. Z różnych powodów. Chociażby dlatego, że nikt nie wie, jakie scenariusze powstają w głowie Władimira Putina, jak on odnajdzie się na tej szachownicy – prawdopodobnie dobrze – jak rozegra tę partię pokera, a jak zrobią to inni liderzy. Wszystko okaże się w przyszłości.

Jedno jest pewne – sytuacja Syrii jest ogromną światową tragedią, ciemną plamą na mapie świata. Wobec tego my, należący do pokolenia II wojny światowej, my, którzy wyszliśmy z tych gruzów, ta część naszego pokolenia, która przetrwała tę straszną wojnę, która kosztowała życie prawie 60 mln ludzi, musimy mieć nadzieję, że w takich sytuacjach nie będzie zwyciężać obojętność i cyniczna polityka, ale coś wyższego, bardziej moralnego. ©℗

oprac. raw

„Do Rzeczy" poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

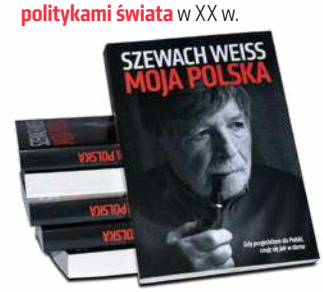

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

eprasa.pl 1b7f89dddd

Kuciak – słowacki Ziętara

Piotr Włoczyk

Morderstwo dziennikarza i jego narzeczonej wstrząsnęło całą Słowacją. W tle oskarżenia o korupcyjne układy na szczytach władzy oraz kalabryjska mafia robiąca na Słowacji milionowe przekręty

W tej sprawie jest mnóstwo niejasności, ale akurat ta jedna rzecz jest pewna. Zabójca musiał być profesjonalistą z dużym doświadczeniem, skoro do wykonania zlecenia wystarczyły mu dwie kule. Jedna przeszyła serce Jána Kuciaka, a druga roztrzaskała głowę jego narzeczonej. Oboje mieli po 27 lat. Policja znalazła ich ciała w poprzednią niedzielę w domu Kuciaka w Velkiej Macy, 65 km na wschód od Bratysławy, gdzie razem mieszkali.

– To sytuacja bez precedensu. Dla Słowaków oznacza to, że państwo nie jest w stanie zagwarantować dziennikarzom bezpieczeństwa i wolności – mówi „Do Rzeczy" Veronika Remisova, posłanka do słowackiego parlamentu z ramienia opozycyjnej, konserwatywnej partii OľaNO.

WŁOSKIE MACKI

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza słowaccy dziennikarze śledczy byli już nieraz zastraszani, a nawet bici. Nikt jednak do nich nie strzelał. Dlatego ta egzekucja wywołała wśród Słowaków olbrzymią falę spekulacji: jak potężnym interesom musiał zagrozić Kuciak, skoro ktoś zdecydował się na ostateczny krok?

Ostatni – niedokończony – artykuł Kuciaka, w którym opisał on korupcyjne związki polityków z kalabryjską mafią, opublikowało w środę kilka słowackich gazet. Tytuł tekstu, nad którym Kuciak pracował wiele miesięcy, brzmi: „Talianska mafia na Slovensku. Jej chápadlá siahajú aj do politiky" („Włoska mafia na Słowacji. Jej macki sięgają nawet polityki").

Władze znalazły się w takim ogniu krytyki, że premier Robert Fico uciekł się do teatralnego wręcz gestu, aby zapewnić, że wyjaśnienie tej sprawy to dla niego priorytet. Na konferencji prasowej zorganizowanej w zeszły wtorek Fico zaprezentował ułożone na stole paczki banknotów. Był to milion euro, który jego rząd zaoferował za informacje prowadzące do ujęcia odpowiedzialnych za morderstwo.

– Jan był młodym, ale bardzo obiecującym dziennikarzem. Był idealistą, świetnym w tym, co robił – mówi „Do Rzeczy" Tom Nicholson, brytyjski dziennikarz śledczy, który wiele lat mieszkał na Słowacji, pisał o tamtejszych aferach i współpracował z Jánem Kuciakiem. – Motywowało go to samo, co napędza wielu jego kolegów – pragnienie życia w Słowacji, która będzie wolna od tej odwiecznej korupcji i nadużyć władz będących balastem dla tego kraju.

To właśnie Nicholson był pierwszym mentorem Kuciaka. W 2012 r. Kuciak kończył właśnie studia dziennikarskie i postanowił się odezwać do Nicholsona – znanego na Słowacji dziennikarza śledczego. Nicholson zasłynął przede wszystkim swoim wkładem w ujawnienie tzw. sprawy „Gorilla", dużej afery korupcyjnej z 2006 r.

Po zabójstwie Nicholson opublikował w Internecie fragmenty pierwszego e-maila od Kuciaka: „Zająłem się dziennikarstwem, ponieważ chciałem poświęcić życie i pracę na pisanie takich tekstów śledczych jak pan".

Ostatnio obaj zajmowali się równolegle tym samym tematem: defraudacją środków unijnych, które miały trafiać w ręce mieszkających na Słowacji Włochów mających związki z 'Ndranghetą, czyli mafią kalabryjską. Nicholson otwarcie przyznaje, że Kuciak wiedział na ten temat dużo więcej niż on, ale bez problemu dzielił się ze swoim starszym kolegą wiedzą.

Nicholson ujawnił przy okazji, że z rozmowy z redaktorem portalu Aktuality.sk, dla którego pracował zamordowany dziennikarz, wynika, iż Kuciak współpracował też z włoskimi dziennikarzami śledczymi, którzy pomagali mu ustalić konkretne powiązania Włochów robiących na Słowacji przekręty.

– Widać, że korupcja i przestępstwa na najwyższym szczeblu władzy, do których przez lata dochodzi zupełnie bezkarnie, niszczą kraj dużo bardziej niż sama korupcja – mówi „Do Rzeczy" Nicholson. I dodaje: – Ta sprawa pokazuje system nadużyć wokół eurofunduszy, który zaczął się już lata temu i w którym udział biorą

eprasa.pl 1b7f89dddd

FOT. VLADIMIR SIMICEK/AFP/EAST NEWS

włoscy obywatele powiązani najprawdopodobniej z 'Ndranghetą. To, że ktoś zabił Kuciaka, unaocznia arogancję i cynizm tych grup przestępczych, które uznają, że nic im nie grozi ze strony policji i państwa słowackiego.

Kuciak napisał w swoim ostatnim tekście, który najprawdopodobniej był dla niego wyrokiem śmierci, że Włosi z 'Ndranghety pojawili się na Słowacji, by „robić interesy, dostawać dopłaty, wyciągać unijne fundusze, a przede wszystkim nawiązywać stosunki z ludźmi wpływowymi w polityce – także ze słowackiego Urzędu Rady Ministrów".

Kuciak opisuje m.in. sprawę Antonina Vadali, Włocha, który we własnej ojczyźnie został oskarżony o ukrywanie mordercy na polecenie 'Ndranghety. Sprawa zakończyła się jednak – z braku dowodów – umorzeniem, a Vadala szybko wyjechał na Słowację i rozpoczął rzutką działalność biznesową. „Vadala z powodzeniem zaczął działać w branży rolniczej, potem w nieruchomościach i w energetyce. Stał się jedną z najbardziej szanowanych osób we włoskiej wspólnocie na Słowacji" – napisał Kuciak.

Jak podaje dalej w swoim tekście, w sierpniu 2011 r. Vadala założył wraz z Márią Troškovą (finalistką konkursu Miss Universe 2007) firmę GIA MANAGEMENT. Troškova po roku odeszła z tej firmy i została asystentką posła partii Smer-SD Viliama Jasana, który – jak pisze Kuciak – utrzymywał relacje biznesowe z Vadalą. W 2015 r. kariera Troškovej spektakularnie przyspieszyła. Została ona doradcą premiera Fico, a niedługo potem Jasan dostał miejsce w Radzie Bezpieczeństwa Państwa.

„Jeżeli udowodnione zostanie, że śmierć dziennikarza śledczego była spowodowana jego pracą dziennikarską, to będzie to bezprecedensowy atak na wolność wypowiedzi i demokrację na Słowacji" – powiedział premier Fico dzień po znalezieniu ciał Kuciaka i jego narzeczonej.

Komentując falę spekulacji na temat domniemanych związków korupcyjnych w swoim najbliższym otoczeniu, premier wziął w obronę swoich współpracowników.

„Łączycie niewinnych ludzi z podwójnym morderstwem. To jest przekroczenie linii" – Fico zwrócił się do dziennikarzy. Jednak presja opinii publicznej okazała się zbyt silna i Troškova oraz Jasan zrezygnowali w środę z zajmowanych stanowisk. A już następnego dnia policja zatrzymała pierwszych podejrzanych w sprawie, w tym Antonina Vadala.

– Pod rządami Roberta Fico dziennikarze na Słowacji spotykali się wielokrotnie ze słownymi atakami. Premier Fico sam powiedział kiedyś dziennikarzom, że są „brudnymi, antysłowackimi prostytutkami". Mord na dziennikarzu śledczym zawsze jest sygnałem alarmowym dla demokracji – mówi Veronika Remišová, posłanka opozycji. – Tymczasem dziennikarze śledczy i politycy z partii opozycyjnych często musieli wyręczać policję. Słowacki system sprawiedliwości nie działa, jeżeli chodzi o ściganie skorumpowanych polityków i oligarchów – kwituje Remišová.

ZASTĄPIĆ POLICJĘ

Korupcja to bez dwóch zdań wciąż spory problem dla Słowaków. W ostatnim rankingu Transparency International, mierzącym jej poziom, Słowacja zajęła 54. miejsce na 180 krajów (Polska była 36.).

Kuciak, pisząc o przekrętach, naraził się nie tylko włoskiej mafii. Wśród słowackich biznesmenów, którym dziennikarz nadepnął na odcisk, jest m.in. Marian Kocner, oligarcha bliski rządzącej Słowacją partii Smer-SD. Kuciak już jesienią alarmował policję, że dostaje pogróżki od Kocnera. W październiku napisał na swoim koncie na Facebooku, że Kocner miał go straszyć, iż nie spocznie, aż Kuciak porzuci pisanie. Kocner potępił zabójstwo, natomiast łączenie go z tą sprawą nazwał absurdem.

Odpowiedzialny za policję minister spraw wewnętrznych Robert Kaliňák ma dziś problemy nie tylko z powodu nonszalanckiego potraktowania zgłoszenia Kuciaka. Kaliňák, uważany za nr 2 w partii po Fico, oskarżany jest przez media i opozycję o prowadzenie co najmniej nieprzejrzystych układów biznesowych, chociaż prokuratura w zeszłym roku odmówiła wszczęcia śledztwa w tej sprawie. Po zabójstwie dziennikarza opozycja znów domaga się dymisji ministra.

Do dymisji podał się już słowacki minister kultury, Marek Maďarič. – Nie wyobrażam sobie dalszej pracy jako minister kultury w momencie, gdy dziennikarz został zamordowany w czasie mojej kadencji – powiedział dziennikarzom.

Morderstwo dziennikarza ostro potępiły najważniejsze światowe stowarzyszenia dziennikarskie, a także unijni politycy.

Szef europarlamentu Antonio Tajani powiedział: „UE nie może godzić się na to, by dziennikarze byli zabijani za wykonywanie swojej pracy. Wzywam słowackie władze, by w sprawie Jana Kuciaka wszczęły dokładne śledztwo – jeżeli okaże się to konieczne – z pomocą międzynarodową".

Tajani przypomniał przy okazji zeszłoroczne zabójstwo maltańskiej dziennikarki śledczej Daphne Caruany Galizii, w której aucie podłożono bombę.

Polakom zamordowanie Kuciaka musi z kolei przywodzić na myśl skojarzenia z mordem dokonanym w 1992 r. na poznańskim dziennikarzu śledczym Jarosławie Ziętarze, który był wtedy jeszcze młodszy od Słowaka – gdy zginął, miał niecałe 24 lata.

Tysiące Słowaków zbierało się w zeszłym tygodniu na marszach ku pamięci zamordowanych. W najbliższym czasie planowane są tam wielkie manifestacje przeciw korupcji i w obronie wolności dziennikarskich. Wygląda na to, że zabójstwo Kuciaka może być tym kamyczkiem, który uruchomi całą lawinę.

– Mam nadzieję, że to zmieni Słowację. Takie morderstwo nie może nie zmienić kraju – mówi Veronika Remišová.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Tomasz P. Terlikowski

Upadek reformatora

Tariq Ramadan miał być dowodem na istnienie nowoczesnego liberalnego islamu, który jest w pełni do pogodzenia z liberalną Europą. To dlatego o jego upadku milczą najważniejsze media

Tariq Ramadan był przez lata spełnionym snem Zachodu o tolerancyjnym, intelektualnym, liberalnym islamie. Ten wnuk założyciela Bractwa Muzułmańskiego Hassana al-Banny w swoich francusko- i anglojęzycznych wykładach promował wizję islamu, która miała być w pełni do pogodzenia z zachodnim liberalizmem. Jego kazania miały być pełne zapewnień o demokratycznym charakterze islamu, o jego głębokiej tolerancji i o tym, że jest to nie tylko religia pokoju oraz miłości, lecz także liberalnie pojmowanej tolerancji. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Ten urodzony w 1962 r. w Genewie muzułmanin został nie tylko wykładowcą Oksfordu, lecz także uznano go za… „Martina Luthera Kinga islamu", za człowieka, który miał go głęboko zreformować, nadać mu rysy zachodniej demokracji. Oskarżenia o gwałty i wykorzystywanie seksualne kobiet, wysuwane obecnie wobec niego, niszczą ten obraz, a ludzie znający język arabski i twórczość Ramadana w tym języku przekonują, że nigdy nie był on prawdziwy i że Ramadan posługiwał się – od samego początku – kłamstwem, by przyciągać nieroztropnych Europejczyków do islamu, a kobiety do swojego… pokoju hotelowego.

NAUCZYCIEL CZY GWAŁCICIEL?

Oskarżenia formułowane wobec Ramadana (żonatego i dzieciatego) są na tyle poważne, że paryski sędzia odmówił jego zwolnienia za kaucją i postawił mu zarzuty przynajmniej dwóch gwałtów, a uniwersytet w Oksfordzie zawiesił jego zajęcia. Oba te przypadki mają dotyczyć spotkań z kobietami (w tym jednej lekko upośledzonej i nawróconej na islam przez uczonego), w czasie których rozważane miały być tematy religijne, ale które – i to bardzo szybko – przeradzały się w brutalnie wymuszany seks. Ramadan oskarżenia odrzuca, a jego adwokaci podważają

FOT. JEFF MORGAN/ALAMY/BEAW

eprasa.pl 1b7f89dddd

wiarygodność obu kobiet i ich oskarżeń. Zabawne przy tym, że istotą zarzutów wobec jednej z oskarżających kobiet jest to, że nie jest już ona salafitką, a świecką feministką, co ma czynić z niej… „agentkę międzynarodowego syjonizmu", który chce zniszczyć gwiazdę islamską. Nawet jeśli uznać prawdziwość tej obrony, to kłopot polega na tym, że nie brak także innych oskarżeń.

O gwałt, a przynajmniej wykorzystywanie seksualne oskarżają islamskiego kaznodzieję dziewczęta, których był nauczycielem w latach 80. w szkole w Szwajcarii, a także inne kobiety. Scenariusz miał być zawsze ten sam. Najpierw spotkanie, w czasie którego roztrząsano tematy religijne, potem zaproszenie do pokoju hotelowego, a później seks. Nie zawsze dobrowolny.

Dodatkowego smaczku nadaje sprawie to, że Tariq Ramadan uchodził (i nadal uchodzi) za muzułmanina bardzo purytańskiego. W swoich kazaniach jasno i zdecydowanie potępiał każdy rodzaj seksu poza małżeństwem, który określał mianem „haram" (słowem tym w islamie określa się wszystko to, co jest zakazane przez samego Allaha). Jednym słowem – zdrada małżeńska, gwałt, współżycie z obcymi kobietami było, według samego Ramadana, grzechem ciężkim (by posłużyć się terminologią katolicką). To jednak nie wszystko. Ramadan przypominał swoim uczniom, że ogromną nieostrożnością, by nie powiedzieć – grzechem, jest wystawianie się na pokusę bywania na basenach koedukacyjnych. – Idziecie tam i zaczynacie być wciągani w zło – grzmiał Ramadan jeszcze w roku 2009. – Dlatego unikajcie takich miejsc, a odwiedzajcie raczej baseny tylko dla mężczyzn – uzupełniał. Tyle że – wiele na to wskazuje – sam nie był szczególnie wierny tym zaleceniom.

Można oczywiście powiedzieć, że nie on jeden, że wielu – także protestanckich telekaznodziejów czy teologów – wzywało do wierności małżeńskiej czy walki z homoseksualną propagandą, a wieczorami spotykało się z prostytutkami. To prawda, a Tariq Ramadan nie jest jedynym celebrytą oskarżonym ostatnio o seksualne nadużycia. Nie jest on także jedynym znawcą teologii, który wykorzystywał religię do realizowania własnych, niekiedy spaczonych, potrzeb seksualnych. Jeśli warto o tym pisać, to z innych powodów. Otóż wiele wskazuje na to, że podobne podejście jak do nauczania o seksualności miał Ramadan także do własnych słów o zachodnim, europejskim islamie. I w jednym, i drugim przypadku była to ściema konieczna do realizowania własnych potrzeb.

ISLAMISTA UMIARKOWANY CZY STRATEG?

Zachód, o czym była już mowa, pokochał Ramadana za to, że miał on głosić islam reformistyczny, pojednany z demokracją, racjonalizmem, a nawet sekularyzmem. Tyle tylko że – jak pokazał Adel Guindy – to nie jest prawda. Jeśli bowiem uważanie przeanalizować arabskie kazania i wystąpienia Tariqa Ramadana, to okaże się, że mówi on dokładnie to samo, co jego dziadek, to znaczy głosi potrzebę zislamizowania Europy, uważa, że radykalny islam jest jedynym ratunkiem dla upadającej Europy, a jeśli coś go od twórcy Bractwa Muzułmańskiego różni, to jedynie… strategia osiągnięcia tych celów. „Celem Tariqa Ramadana jest stopniowe przekonywanie Zachodu do coraz głębszej akceptacji islamu" – wskazuje Guindy. W jaki sposób ma się to dokonywać? Początkowo przez coraz silniejsze zaangażowanie wierzących muzułmanów w każdą sferę życia publicznego. Co w tym złego? Nic, ale… Ramadan uzupełnia, że angażując się, nie mogą oni rezygnować z pełnego islamu, nie mogą upodabniać się do społeczeństwa zachodniego ani przyjmować jego reguł. Ich celem jest bowiem nie samo zaangażowanie, ale… „stopniowa islamizacja Zachodu", początkowo zgodna z regułami demokracji, ale podporządkowana budowie społeczeństwa islamskiego, w którym rządzić będą nie reguły liberalnej demokracji, ale… szariat.

Pobożny muzułmanin może i powinien kłamać, jeśli powiedzenie prawdy przyniosłoby szkody jego własnej religii

Ramadan nie pozostawia co do tego najmniejszych wątpliwości. „W przyszłości islam będzie główną siłą w walce z hegemonią Zachodu" – mówi. I dodaje, że nie obawia się o starcie cywilizacji w Europie, ponieważ… „postępująca dezintegracja na Zachodzie sama doprowadzi do triumfu islamu". Nie, nie oznacza to jednocześnie, że Ramadan odrzuca przemoc. W swoich przemówieniach potępia on wprawdzie terroryzm, ale nie trzeba nawet specjalnej egzegezy, by dostrzec, że robi to nie dlatego, iż odrzuca samą jego ideę, lecz dlatego, że uznaje, iż jest on nieskuteczny w osiąganiu zamierzonych celów. Terroryzm bowiem zamiast budować ciepły obraz islamu, zniechęca do niego. I właśnie dlatego w wywiadach prasowych Ramadan nie tylko potępia go, lecz także często kwestionuje islamski udział w największych zamachach.

Kilkanaście dni po zamachach na World Trade Center w wywiadzie dla „Le Monde" Ramadan sugerował, że myśląc o tej zbrodni, trzeba zadać sobie pytanie: Kto na niej zyskał? „Nie ulega wątpliwości, że nie byli to ani Arabowie, ani muzułmanie, ale… USA" – oznajmił, wskazując, że dzięki tym „zamachom" Amerykanie mogli ograniczyć wolności obywatelskie, a także zbudować uzasadnienie dla „krucjaty przeciwko światu islamskiemu". Nie ulega też wątpliwości, że Ramadan nie ma problemu z samym stosowaniem przemocy, jeśli tylko pomaga ona w umacnianiu islamu.

ZASADA TAKIJJA

Dla Europejczyków takie zachowania mogą zostać uznane za obłudę czy zwykłe kłamstwo, ale… warto mieć świadomość, że są one wpisane w islam. Jedną z jego zasad (aprobowaną przez wszystkich szyitów, a także przez istotną część sunnitów) jest tzw. takkija, czyli prawna zgoda na ukrywanie i przyzwolenie na ukrywanie prawdziwych wierzeń w wypadku prześladowań religijnych (lub osobistego niebezpieczeństwa), a także uznanie, że pobożny muzułmanin może i powinien kłamać, jeśli powiedzenie prawdy przyniosłoby szkody jego własnej religii.

W praktyce oznacza to, że czymś absolutnie dopuszczalnym jest udawanie, iż w islamie nie ma nawoływania do przemocy, że nie zawiera on przepisów dopuszczających bicie i poniewieranie kobiet, iż nie ma w nim zgody na prześladowanie niewiernych itd. itp.

Tariq Ramadan doprowadził tę ideę do perfekcji i budował wizję islamu pokojowego, pełnego miłosierdzia oraz modernizmu, a wszystko po to, by przekonać nieroztropnych Europejczyków do uznania, że to religia Mahometa może się stać przyszłością Starego Kontynentu. I może gdyby nie to, że powinęła mu się noga w kwestiach seksualnych, to robiłby to jeszcze przez wiele lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Agnieszka Łakoma

Perła do

Na połączeniu Orlenu z Lotosem zarobi przede wszystkim Skarb Państwa – ponad 5 mld zł. Jednak na pytania, czy i co zyskają klienci obu firm, odpowiedź jest bardzo trudna

Po trwających od kilku tygodni spekulacjach medialnych, które jeszcze w połowie lutego dementował minister energii Krzysztof Tchórzewski, ostatecznie okazało się, że jednak potentat – PKN Orlen – przejmie gdańską Grupę Lotos.

W liście intencyjnym, jaki podpisał właśnie minister Tchórzewski z szefem Orlenu, chodzi o „przejęcie kontroli kapitałowej", czyli wykupienie akcji Lotosu. Jednak należy się spodziewać, że decydenci, politycy i nawet prezes Daniel Obajtek będą unikać w najbliższych miesiącach określenia „przejęcie".

Powód jest prosty – nie chodzi o „jakieś" przejęcie i nawet nie o skalę, czyli wartość przejmowanego podmiotu, wartego ok. 11 mld zł (kapitalizacja), lecz także o „perłę Pomorza". Grupa Lotos nie tylko należy do najważniejszych płatników podatku w regionie, lecz także jest partnerem i wspiera finansowo ważne lokalne wydarzenia, pomimo że w ostatnich dwóch latach zaczęła wycofywać się np. ze sponsoringu sportowego w regionie, stawiając bardziej na reprezentację kraju.

Zawsze jednak firma była traktowana jak dobro wspólne Trójmiasta i regionu (już dzień po ujawnieniu informacji o liście intencyjnym władze Gdańska i marszałek województwa wysłali list do premiera RP krytykujący przejęcie).

Dlatego rząd, a zwłaszcza ministra energii, czeka trudne zadanie, czyli przekonanie społeczności lokalnej, że w praktyce niewiele cała transakcja zmieni. A zwłaszcza że Lotos nie stanie się „zakładem zamiejscowym" Orlenu. Zanim transakcja zostanie zamknięta, może minąć nawet rok, a tymczasem zbliżają się wybory samorządowe, więc i oczekiwania społeczne wzrosną.

PKN Orlen ma – jak wynika z umowy – po prostu wykupić akcje Lotosu. Przede wszystkim, by zyskać kontrolę nad gdańską firmą – pakiet należący do Skarbu Państwa, czyli ok. 53,2 proc. akcji. A ponieważ nie ma (oprócz TFI PZU) innych znaczących – czyli posiadających ponad 5 proc. udziałów – akcjonariuszy, przejęcie kontroli kapitałowej wygląda na zupełnie proste. O ile tylko Komisja Europejska nie postawi własnych warunków, bo – zdaniem cytowanego przez PAP Marka Niechciała, prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów – to właśnie Bruksela powinna ocenić transakcję.

Dla Skarbu Państwa z czysto finansowego punktu widzenia sprawa wydaje się łatwa i – co istotne – bardzo korzystna. Orlen bowiem ma pieniądze i co do tego nikt – zwłaszcza w rządzie – nie ma wątpliwości. Według danych za 2017 r. firma płocka jest na „wielkim plusie" z zyskiem wynoszącym ok. 7,17 mld zł. (Nie znaczy to, że zapłaci za akcje Lotosu ze swojego zysku, bo i tak planuje wypłatę dywidendy. Zdecydują o tym akcjonariusze na walnym zgromadzeniu spółki, zwykle odbywającym się w czerwcu. Państwo ma „tylko" 27 proc. akcji Orlenu, ale w praktyce i tak ma decydujący wpływ na WZA, zatem także w sprawie dywidendy).

W JEDNOŚCI SIŁA... ATOMOWA

Wszystko wskazuje na to, że zyska na całej transakcji przede wszystkim państwo. Jeśli przyjąć założenie, że państwo to „my", to „my" też zyskamy.

W tle transakcji jest jeszcze jedna kwestia, czyli wielki projekt budowy elektrowni atomowej w Polsce. Na początku roku wydawało się, że w ciągu zaledwie kilku tygodni ostateczna decyzja w tej sprawie zapadnie. Decyzja, czyli naprawdę zielone światło dla budowy. (Formalnie zapalił je już rząd PO-PSL, ale prace studialne i przygotowawcze – niezwykle kosztowne – trwały z mniejszym niż większym sukcesem). Tak się nie stało pomimo zapowiedzi ministra energii i jego zastępcy, zatem nie wiadomo, co faktycznie zamierza rząd, ale pojawiły się spekulacje, że w związku z doskonałą sytuacją finansową Orlen mógłby się zaangażować także w ten projekt atomowy.

Wkrótce może się okazać, że Orlen po wydaniu pieniędzy na akcje Lotosu (co najmniej 5,8 mld zł) nie będzie już miał możliwości „wsparcia projektu atomowego". I tym samym uniknie zaangażowania.

Jednak gdyby PKN Orlen trafił do grona inwestorów elektrowni atomowej, to tym wszystkim, którzy nie bardzo rozumieją dlaczego, minister energii najpewniej przedstawiłby dwa argumenty. Pierwszy – to bezpieczeństwo energetyczne kraju, czyli budowa elektrowni atomowej w Polsce jest konieczna, by nie było problemu deficytu mocy, a zatem blackoutu. (Przy okazji elektrownia atomowa to nie to samo co węglowa i nie

eprasa.pl 1b7f89dddd

wzięcia

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI/REPORTER

będzie zanieczyszczała środowiska). Drugi argument – PKN Orlen ma już doświadczenie w „elektroenergetyce", bo jest inwestorem dwóch elektrociepłowni – jednej we Włocławku (powstała w ramach zakładu Anwil), a drugiej w Płocku (w sąsiedztwie rafinerii).

MAGICZNE SŁOWO „KONKURENCJA"

Transakcja Orlen – Lotos to nie tylko sprawa Skarbu Państwa, choć to główny wygrany, czy Trójmiasta, to przede wszystkim sprawa społeczna. Od tego, ile kosztuje paliwo w kraju, zależą bowiem inne ceny. Orlen i Lotos wspólnie dostarczają ponad 80 proc. paliwa zużywanego w kraju. Już teraz PKN Orlen jako firma ma w Polsce największą sieć stacji paliwowych, razem z 485 stacjami Lotosu będzie to 2,2 tys. Zatem co trzecia stacja w Polsce będzie własnością połączonego giganta. Dla porównania: w sieciach koncernów zagranicznych jest ok. 1,5 tys. stacji. A poza tym działa blisko 200 stacji przy hipermarketach i ok. 2,7 tys. właścicieli prywatnych.

Wróćmy do początku – gdy ponad 20 lat temu powstawała koncepcja zmian w sektorze paliwowym w Polsce, przewidywano, że istnieć będą dwie konkurujące między sobą firmy – jedna skupiona wokół Rafinerii Gdańskiej, a druga wokół Petrochemii Płock. I między te firmy „rozdzielono" majątek rafinerii południowych oraz – a może przede wszystkim – CPN, czyli właściciela sieci stacji paliwowych. Polskiemu Koncernowi Naftowemu przypadł większy kawałek z całego „majątkowego tortu". Na starcie działalności PKN (nazwę Orlen dodano po wyborze w konkursie w 2002 r.) był więc potężniejszy.

Gdy obecna transakcja dojdzie do skutku, konkurencji – nawet symbolicznej, zapisanej w dokumentach rządowych – po prostu nie będzie. Inna kwestia to to, czy w ogóle była przez ostatnie lata – szczególnie na rynku detalicznym.

W przeszłości różnie bywało – UOKiK np. 11 lat temu, uznał, że obie firmy „zawarły niedozwolone porozumienie", gdy wspólnie w tym samym czasie przestały produkować i sprzedawać benzynę uniwersalną U95, przeznaczoną do samochodów z silnikami starszej generacji. Z inicjatywą porozumienia wystąpił PKN Orlen i w efekcie dostał 4,5 mln zł kary, a Grupa Lotos – milion.

Bardziej spektakularna była jednak sprawa „zaniżania cen" przez obie firmy w sierpniu 2011 r., przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi. Wówczas obowiązywały stałe ceny paliw na własnych stacjach przez kilka tygodni, a równocześnie drożało paliwo w hurcie, które Orlen i Lotos sprzedawały konkurentom. Stowarzyszenie Polska Izba Paliw Płynnych, a także przedstawiciele BP w Polsce, zarzucili, że Orlen nadużywa dominującej pozycji na rynku.

Ceny paliwa na stacjach to jedna z najważniejszych spraw dla właścicieli ponad 20 mln samochodów jeżdżących po polskich drogach, czyli dla elektoratu.

W Polsce od czasu transformacji na ceny paliwa wpływają polityka rafinerii, wynikająca w dużej mierze z sytuacji na rynku naftowym, oraz podatki. (W praktyce chodzi o parytet importowy, czyli cenę paliwa według notowań giełdowych powiększoną o podatki). Jednak też ważna jest marża na stacjach i otoczenie konkurencyjne, czyli gdzie tankujemy.

Powszechnie wiadomo, że prawdziwa konkurencja jest tam, gdzie klient ma wiele możliwości wyboru, tak samo jest w przypadku stacji benzynowych. Jeśli w miejscowości nadmorskiej lub w rejonie Zakopanego jest tylko jedna stacja lub dwie, to wiadomo, że będzie drogo, zwłaszcza w sezonie turystycznym.

RAZEM, A NAWET OSOBNO

W ciągu najbliższego roku może udać się to, na co 11 lat temu nie było szans. Gdy na czele rządu stał Jarosław Kaczyński, a ministrem skarbu był Wojciech Jasiński (który jeszcze miesiąc temu kierował Orlenem). Jednak w 2007 r. rozgorzała dyskusja, kto kogo powinien przejąć. W obronie niezależności Lotosu stanął m.in. ówczesny marszałek Senatu Bogdan Borusewicz, który reprezentował Prawo i Sprawiedliwość. Lobbującemu przeciwko fuzji z Orlenem prezesowi Lotosu Pawłowi Olechnowiczowi groziła zaś dymisja. Do takiego finału ani fuzji obu firm nie doszło. Całą sprawę ucięły… przedterminowe wybory parlamentarne i zmiana rządu. Później (w 2010 r.) wrócił plan prywatyzacji Grupy Lotos, a wśród zainteresowanych inwestorów były firmy z Rosji. Przeciwko takiej sprzedaży ostro występowało Prawo i Sprawiedliwość, a szczególnie aktywnie w obronę firmy zaangażował się ówczesny poseł Jacek Kurski, twierdząc, „że Grupa Lotos jest perłą w koronie polskiego przemysłu strategicznego i energetycznego. [...] Jest to klejnot w koronie polskiej gospodarki, która na zawsze powinna pozostać w rękach państwa polskiego".

Jeśli PKN Orlen kupi akcje, to w jego koronie na długie lata Grupa Lotos będzie perłą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertem Centrum Idei Gospodarczo-Ekonomicznych.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Czy Unia nam służy?

Tomasz Cukiernik

Członkostwo Polski w UE nie jest jednoznacznie korzystne, a rozmowy o polexicie mogłyby być straszakiem na Niemców, którzy w dużej mierze są uzależnieni od polskiego eksportu

W odpowiedzi na pojawiające się w mediach sugestie o polexicie Związek Przedsiębiorców i Pracodawców opublikował emocjonujący tekst, uwypuklając korzyści płynące z członkostwa Polski w Unii Europejskiej. „Wszelkie działania mające na celu wyprowadzanie Polski z Europy są działaniami wrogimi wobec Polski i są sprzeczne z polską racją stanu" – pisze ZPP. Jednak jeśli przyjrzymy się sprawie bliżej, to okazuje się, że bilans nie jest tak bardzo jednoznaczny, jak chcieliby tego eksperci przedsiębiorców. Powinniśmy spojrzeć na cały obraz skomplikowanych wzajemnych relacji pomiędzy Unią a Polską, włączając w to np. także finanse publiczne czy kieszenie konsumentów.

ROSNĄ HANDEL I INWESTYCJE

Profesor Tomasz Grzegorz Grosse, kierownik Zakładu Polityk Unii Europejskiej Instytutu Europeistyki Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, wymienia trzy korzyści z członkostwa Polski w UE. – Po pierwsze, korzyścią jest stabilizacja geopolityczna, czyli jesteśmy zakotwiczeni w NATO, w UE i dzięki temu jesteśmy bezpieczniejsi przed różnego typu zewnętrznymi zagrożeniami. Druga korzyść to polityka spójności. Jesteśmy beneficjentem, a nie płatnikiem budżetu UE. Trzecia to dostęp do rynku wewnętrznego – mówi prof. Grosse, dodając, że ta druga i trzecia korzyść z biegiem czasu przekładają się na dobrobyt Polaków.

Polexit jest o tyle niebezpieczny, że trudno byłoby zastąpić właśnie 500-milionowy rynek konsumentów Europejskiego Obszaru Gospodarczego. Jednak przyjrzyjmy się twardym danym statystycznym. Według GUS polski handel zagraniczny wzrastał znacznie szybciej w ciągu 10 lat przed wejściem Polski do UE niż w ciągu pierwszych 10 lat naszego członkostwa. Co więcej, udział krajów UE w polskim eksporcie przez lata jest dość stabilny na poziomie nieco poniżej 80 proc., ale już import z UE ma coraz mniejszy udział w całym polskim imporcie. Co więcej, podczas gdy w latach 90. ledwie kilkanaście procent polskiego eksportu realizowały podmioty z udziałem kapitału zagranicznego, obecnie jest to aż ok. 60 proc., co oznacza, że zyski idą głównie do zagranicznej kieszeni. To efekt inwestycji zagranicznych, które widocznie wzrosły. Według danych NBP w latach 1999–2003 bezpośrednie inwestycje zagraniczne w Polsce wynosiły średniorocznie 6,3 mld euro, podczas gdy w latach 2005–2016 – 10,7 mld euro, co oznacza wzrost o 70 proc. Ponad 90 proc. tych inwestycji pochodziło właśnie z krajów UE. Jednocześnie po 2014 r. doszło do gwałtownego wzrostu polskich inwestycji za granicą, głównie w UE i Szwajcarii, ale w dużej mierze mają one na celu optymalizację podatkową.

Profesor Grosse zwraca uwagę, że władze unijne coraz częściej stosują podwójne standardy. – Zamiast stosować tę samą regułę w sposób uniwersalny, czasami się ją stosuje, a czasami wprowadza się rozwiązania protekcyjne. W handlu towarami rozwiązania są liberalne, bo producentami najczęściej są korporacje niemieckie, a w handlu usługami stosuje się rozwiązania protekcyjne, bo skorzystać mogliby na tym przedsiębiorcy z Europy Środkowej, a odbywałoby się to kosztem pracowników w największych państwach Europy Zachodniej, i to oczywiście im się nie podoba – zauważa prof. Grosse, jako przykład podając dyrektywę o pracownikach delegowanych. Mimo to rośnie eksport polskich usług, w tym m.in. branży transportowej. Jednak o ile rósłby szybciej, gdyby rynek ten był całkowicie zliberalizowany?

DOTACJE NIE MAJĄ ZNACZENIA

Wbrew powszechnej opinii, że unijne dotacje spowodowały gwałtowny wzrost inwestycji w Polsce, rzeczywistość jest całkiem inna. Otóż po przystąpieniu Polski do UE wartość inwestycji w relacji do PKB w naszym kraju… spadła! Według Eurostatu w latach 1995–2004 łącznie inwestycje publiczne i biznesowe (bez inwestycji gospodarstw domowych) średniorocznie wyniosły prawie 16,1 proc. PKB Polski, podczas gdy w okresie 2005–2014 – 15,4 proc. PKB! Z kolei według danych GUS w latach 1996–2016 rekordowy okres inwestycyjny wypadł bynajmniej nie w czasie naszego członkostwa w UE, lecz w latach 1998–2000 i wtedy inwestycje (wraz z inwestycjami gospodarstw domowych) wyniosły 24 proc. PKB. Najgorszy czas pod tym względem to rok 2016 – 18,1 proc. PKB. Można pokusić się o postawienie tezy, że unijne dotacje, choć szkodzą – jak każdy rodzaj interwencjonizmu państwowego – to nie mają większego znaczenia w skali całej polskiej gospodarki, bo po odjęciu unijnej składki stanowią ledwie 2 proc. PKB naszego kra-

eprasa.pl 1b7f89dddd

ju. Co więcej, jako efekt absorpcji unijnych dotacji zadłużenie samorządów wzrosło z 16,5 mld zł w 2003 r. do 75,7 mld zł w 2016 r., czyli aż o 360 proc.

Ministerstwo Finansów na bieżąco publikuje dane dotyczące transferów z Brukseli do Warszawy (unijne dotacje) i z Warszawy do Brukseli (unijna składka). Te pierwsze są mniej więcej dwa razy wyższe. Jednak składka też nie jest niska – do końca 2017 r. wyniosła łącznie ok. 200 mld zł, rocznie kosztując przeciętnego Polaka ok. 500 zł. Na podstawie samego prostego wyliczenia resortu

FOT. FOTOLIA

finansów większość polityków i mediów, ale też naukowców, twierdzi, że Polska zyskuje na członkostwie w UE. Niestety, to tylko niewielka część całości obrazu. Pomijając temat gigantycznych kosztów związanych z rozdysponowaniem i wydawaniem unijnych funduszy, nie są liczone także transfery z Polski za granicę dokonywane przez zagraniczne podmioty gospodarcze działające w naszym kraju. I nie są to bynajmniej niewielkie sumy. Z pisma wiceministra finansów Pawła Gruzy z września 2017 r. wynika, że w ten sposób z tytułu dywidend, zysków, odsetek, opłat licencyjnych, usług doradczych, księgowych, prawnych itp. w latach 2005–2015 przetransferowano za granicę (głównie do UE) łączną kwotę niemal 540 mld zł. To więcej niż łączna wartość dotacji, w tym również dopłat do rolnictwa, jakie w tym czasie uzyskała Polska z UE. – Za rządów poprzedniej koalicji więcej wyciekało z Polski pieniędzy przez nieszczelny system podatkowy, niż było dotacji unijnych. Mówiono o dotacjach unijnych, a nie mówiono o tym, że państwo polskie traci 60 mld w skali roku, że przestępcy nas okradają i że to jest realny problem – mówi europoseł Ryszard Czarnecki, do niedawna wiceprzewodniczący PE. Problem ten potwierdza prof. Thomas Piketty, lewicowy ekonomista z paryskiej uczelni EHESS, który wyliczył, że w latach 2010–2016 odpływ kapitałów z Polski za granicę był niemal dwa razy wyższy niż wartość unijnych dotacji netto, na czym nasz kraj tracił rocznie kapitał o wartości 2 proc. PKB.

Pozostaje jeszcze jedna istotna sprawa: koszt unijnych regulacji. W 2017 r. funkcjonowało aż 1076 dyrektyw dotyczących jednolitego rynku. Jeden z polskich think tanków oszacował, że tylko polskich przedsiębiorców kosztują one 20 mld zł rocznie. Günter Verheugen, były unijny komisarz ds. przemysłu i przedsiębiorczości, przyznał, że regulacje kosztują 600 mld euro rocznie. To podobna suma do tej, jaką przed laty podał francuski profesor Patrick Messerlin. Wyliczył on, że unijne regulacje przynoszą stratę ok. 5–7 proc. PKB. Pomijając to, że z roku na rok unijnych regulacji jest coraz więcej, w przypadku Polski przekładałoby się to na utratę ok. 100 mld zł rocznie. To dwa razy więcej niż wartość otrzymywanych dotacji!

JAKA ALTERNATYWA?

Groźne może być nawoływanie do polexitu (mimo wszystko polska gospodarka to nie gospodarka brytyjska), ale z drugiej strony naiwne są nadzieje przedsiębiorców z ZPP na reformy UE w pożądanym kierunku. To prawda, że każde osłabienie Unii jest na rękę Rosji i USA. Jednak to nie tylko zewnętrzne wpływy i intrygi uderzają w UE, lecz przede wszystkim eurodecydenci coraz to nowszymi przepisami i pomysłami ingerującymi w rynek. I marne są widoki na to, by coś się w tej materii zmieniło. Dlatego europoseł Michał Marusik z Kongresu Nowej Prawicy ostro wypowiada się na temat członkostwa Polski w UE. – Wszystko, co widzę, to są straty i szkody – mówi Marusik. – UE jest strukturą, która na poziomie państw znosi rywalizację na rzecz standaryzacji, unifikacji, reglamentacji wszystkich zachowań, łącznie z tym najważniejszym – możliwością wyboru ustroju politycznego i gospodarczego – wyjaśnia.

Ocena skutków polskiego członkowstwa nie jest jednoznaczna. Problem w tym, że aktualne procesy w UE dążą w kierunku coraz głębszej integracji, co nie jest korzystne z polskiego punktu widzenia. – Coraz bardziej rośnie rola tych największych państw członkowskich, które coraz częściej narzucają swoją wolę krajom słabszym albo tym, które mają odmienne interesy czy inne poglądy. Zamiast kultury konsensusu w Unii coraz częściej mamy narzucanie pewnej opinii w różnych sprawach, niejednokrotnie bardzo trudnych czy kontrowersyjnych – mówi prof. Grosse. – Zmienia się rola Komisji Europejskiej i w ogóle technokracji europejskiej. Kiedyś była ona strażnikiem pewnej równości państw członkowskich wobec prawa europejskiego, a teraz coraz częściej trzyma stronę największych krajów, a najsłabsze dyscyplinuje czy wymusza na nich wdrażanie prawa europejskiego – dodaje. Przyszłe unijne państwo byłoby pod całkowitym kierownictwem niemiecko-francuskiego tandemu, który zdominowałby pozostałe kraje członkowskie. – Celem geopolitycznym Niemiec jest sprowadzenie krajów pomostu bałtycko-czarnomorskiego do roli podwykonawców, do roli tak naprawdę montowni dla przemysłu niemieckiego – uważa dr Leszek Sykulski, adiunkt w Katedrze Bezpieczeństwa Narodowego Wyższej Szkoły Biznesu i Przedsiębiorczości w Ostrowcu Świętokrzyskim. – Polska absolutnie nie powinna godzić się na taką rolę, na rolę właściwie półperyferii gospodarki niemieckiej czy też gospodarki europejskiej – podkreśla.

Polski to jeszcze nie dotyczy, ale Europa rozwija się coraz słabiej, wolniej nawet niż międzynarodowa średnia, i ma coraz mniejszy udział w gospodarce światowej. Zachód przestaje być liderem, a staje się nim Daleki Wschód. Czy nie lepszym rozwiązaniem dla Polski byłaby ucieczka do przodu i nawiązanie bliższych relacji z tym regionem? Korzystając z naszego położenia geopolitycznego, powinniśmy wziąć większy i zdecydowany udział w projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PiS kontra PiS

Kto słyszał o tym, że Polska zanotowała w ubiegłym roku jeden z najniższych deficytów budżetowych w najnowszej historii Polski – o czym wiadomo od końca stycznia? Tak, to prawda, to wciąż deficyt, a nie nadwyżka budżetowa, którą mogą się dziś cieszyć obywatele coraz większej liczby państw Europy, i w dodatku uzyskany w roku szybkiego wzrostu gospodarczego, lecz i ten nasz nareszcie mikry deficyt, prawie deficycik, daje przecież powody do zadowolenia i nadzieję, że w przyszłości uda się go jeszcze bardziej zredukować albo wręcz zlikwidować i zastąpić nadwyżką.

A kto słyszał, że Polska może się poszczycić również tym, iż w ubiegłym roku uzyskała rekordowe 157 mld zł z podatku VAT, co – rzecz jasna – nie pozostaje bez związku z wyżej wymienionym osiągnięciem – aż o 30 mld zł więcej niż rok wcześniej? O czym też wiadomo od końca stycznia.

No dobrze, a kto słyszał o tym, że polski rząd w ciągu dwóch ostatnich lat sprawił to, czego nie udało się poprzednim przez dwie dekady z okładem – mianowicie dzięki programowi „Rodzina 500+", więcej niż znacząco, bo niemal o połowę, zmniejszył liczbę ludzi żyjących w Polsce w skrajnym ubóstwie? W dodatku ograniczył biedę głównie wśród tych, którzy do tej pory byli na nią u nas szczególnie narażeni – młodych małżeństw z dziećmi.

Skąd jednak ludzie mieliby o tym usłyszeć, skoro – odnoszę wrażenie – od ponad miesiąca, od wybuchu wszechświatowej afery, która rozgorzała w związku ze znowelizowaniem ustawy o IPN, rząd zamiast rządzeniem i komunikowaniem się z resztą świata w przeróżnych sprawach, zajmuje się gaszeniem tego gigantycznego pożaru? I na nic innego, jak się zdaje, nie wystarcza mu czasu. W tym na chwalenie się tymi sukcesami i dzięki temu na ich – dla dobra kraju – dyskontowanie. A ludzie na całym świecie, zamiast dowiadywać się o toczonej w Polsce z niemałym sukcesem walce z deficytem budżetowym i domykaniu luki podatkowej, są bombardowani oszczerstwami o „polskich obozach zagłady" i „polskim Holokauście".

Tak, przypadek ostatniej nowelizacji ustawy o IPN będzie, obawiam się, prezentowany studentom wielu dyscyplin, i to długo, i niekoniecznie tylko w Polsce, jako modelowy przykład doprowadzania własnymi działaniami do skutku odwrotnego do zamierzonego. Czyli – w naszym przypadku – zamiast do zakładanego przekonania do pożądanej i prawdziwej wersji własnej historii – do wzmocnienia u odbiorców przekazów zgoła odmiennych. I w konsekwencji – zamiast do poprawy reputacji swego państwa do jej znacznego, a może nawet bardzo znacznego pogorszenia. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

No stress

Spędziłem tydzień na Wyspach Zielonego Przylądka. Motto tego kraju to: „No stress", czyli życie bez stresu. Można kupić T-shirty, bransoletki, obrazki i różne pamiątki z napisem: „No stress". W lutym temperatura waha się w granicach 20–25 st. C, jest słonecznie i wieje przyjemny wiatr. Kapowerdyjczycy są uśmiechnięci, witają się żółwikiem i przyłożeniem ręki do serca. I faktycznie żyją bez stresu, mimo że są raczej ubogim narodem. Mają dużo dzieci, połowa z 500 tys. mieszkańców wysp ma mniej niż 26 lat. Spod tyranii portugalskiej wyswobodzili się w 1992 r., więc dopiero stawiają pierwsze kroki niezależnej państwowości. Jednak czynią to powoli, bez stresu. Jak nam tłumaczył miejscowy przewodnik na wyspie Santiago, poziom usług turystycznych jeszcze nie jest taki, jakby chcieli, ale spokojnie, będzie lepiej.

Postanowiłem przywieźć no-stressowy styl życia do Warszawy

Kuchnia sprzyja życiu bez stresu. Na wyspie Sal, gdzie mieszkaliśmy, nie ma zbyt wiele zieleni, więc nie ma też świń i bydła. Podstawą wyżywienia są ryby i fasola. A ryby tubylcy potrafią świetnie przyrządzać. Jedliśmy wiele różnych ryb i wszystkie były rewelacyjnie smaczne – nawet w połączeniu z sosem bananowym lub ananasowym. Także drinki są „no stress", czyli bardzo mocne. Miałem wrażenie, że do jednego drinka lali dwa razy więcej whisky niż w Polsce. Przy drinku słuchało się na żywo bardzo klimatycznej, bezstresowej, lokalnej muzyki lub podziwiało lazurowy ocean.

Nie masz escudo, żeby zapłacić za obiad lub taksówkę, no stress, przyjmują też euro. I nawet kurs jest bezstresowy, 100 escudo za 1 euro. To znaczy kurs stosowany w życiu codziennym, bo oficjalny to sto kilka. Jednak kto by się tym przejmował, no stress.

Autobusy odjeżdżają punktualnie, ale bywa, że jak są pełne, to odjadą wcześniej. No stress, przecież za pół godziny czy godzinę będzie następny. W kraterze wulkanu są kopalnia soli i jezioro tak słone jak Morze Martwe. Można sobie bezstresowo poleżeć na wodzie na plecach, jak na materacu, a nawet można podnieść obie ręce. Oczywiście z uniesionym kciukiem, bo jest super!

Kupiłem sobie bransoletkę „No stress" i postanowiłem przywieźć no-stressowy styl życia do Warszawy. Bo przecież codziennie gdzieś się spieszymy, wkurzamy się, gdy nam ucieknie autobus lub kolega w pracy coś zawali, albo stresuje nas wredny szef czy rata kredytu mieszkaniowego. A stres to choroby i problemy. Przecież można wziąć przykład z Kapowerdyjczyków. Od dzisiaj „no stress", panie i panowie. ©℗

Autor jest profesorem data science w Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

eprasa.pl 1b7f89dddd

TEST „DO RZECZY": IROBOT ROOMBA 896

Zaletą testowanego modelu jest to, że można go ustawić, żeby nie tylko sprzątał codziennie, lecz także np. zaprogramować sprzątanie rano i tuż przed naszym powrotem z pracy. To bardzo przyjemne uczucie, gdy po powrocie z pracy możemy spojrzeć na świeżo odkurzone podłogi i dywany.

Tak częste sprzątanie sprawia zaś, że w mieszkaniu lub domu robi się widocznie czyściej niż w przypadku odkurzania raz w tygodniu tradycyjnym sposobem. Testowany model dobrze sprząta wzdłuż ścian, potrafi też czyścić podłogę pod meblami. Gorzej radzi sobie jedynie z dywanami z długim włosiem.

Jednocześnie model ten pracuje na tyle cicho, że gdyby była taka potrzeba, to można przy nim swobodnie rozmawiać.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Roombę 896 można nie tylko zaprogramować, lecz także uruchomić zdalnie z każdego miejsca na Ziemi, w którym mamy Internet i smartfona z wcześniej zainstalowaną aplikacją (działa na urządzeniach z systemem Android w wersji 4.4 lub wyższej albo z systemem iOS9 lub nowszym).

Program do obsługi robota w telefonie ma też tę zaletę, że gdy zapełni się pojemnik na brud (jego pojemność to 0,6 l), robot wysyła na telefon stosowny komunikat. Aplikacja iRobot HOME przydaje się również, by zdalnie monitorować działanie odkurzacza, a także by odbierać automatyczne aktualizacje oprogramowania, które mogą zwiększyć efektywność sprzątania.

W testowanym modelu udoskonalone zostały też tzw. wirtualne ściany, które mogą nie tylko zabronić robotowi przejazdu przez wirtualną prostą linię o długości trzech metrów, lecz także np. ustanowić „strefę ochroną" o promieniu 1,2 m wokół zabawek małego dziecka, legowiska psów czy kocich misek.

Posiadacze zwierząt docenią też kolejną zaletę Roomby. Robota odkurzającego nie boją się psy, a nawet te koty, które na sam widok tradycyjnego odkurzacza szukają sobie miejsca w najtrudniej dostępnej szczelinie łóżka.

Roboty sprzątające tanieją i potrafią zrewolucjonizować życie domowników podobnie jak niegdyś zmywarki do naczyń czy – jeszcze wcześniej – pralki automatyczne.

Cena: 2649 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

NIEBIESKI TŁUMACZ

Może gdyby premier Mateusz Morawiecki zdecydował się użyć tego małego, ale jakże sprytnego urządzenia, nie wybuchłby konflikt polsko-izraelski nakręcany przez tamtejsze media i część użytecznych idiotów w Polsce? A może wybuchłby i tak, bo przecież najprawdopodobniej nie chodzi o porozumienie, ale tak naprawdę o pieniądze. A jak już o pieniądzach mowa, to zakup Travis Blue Translator może być naprawdę niezłym geszeftem, opłaci się, oj opłaci. Kosztuje to niezbyt dużo, bo ok. 340 zł na portalu Indiegogo, a potrafi naprawdę sporo. Gadżet bowiem, wyposażony w głośnik Bluetooth na całkiem niezłym poziomie, tłumaczy rozmowy w 60 językach dzięki użyciu 15 „mechanizmów" rozpoznających wymowę, gramatykę, analizujących kontekst wypowiadanych słów. Producenci przekonują, że zajmuje mu to ok. 2 s. Oczywiście, aby urządzenie zadziałało, potrzebne są połączenie Bluetooth ze smartfonem lub Wi-Fi. Używając Travisa, warto zwrócić więc uwagę na opłaty za pakiet danych obowiązujące w krajach poza UE, bo w najgorszym wypadku za swoje gadulstwo można zapłacić całkiem sporo. Co oczywiście nie zmienia niczego w tym, że urządzenie może być przydatne tak w komunikacji, jak przy nauce języków obcych. Aha, język polski też rozpoznaje.

DYNKS DO BIEGANIA

Jest takie słowo w gwarze poznańskiej, którym poznańczycy określają coś, co nie wiedzą, jak określić, ale co akurat jest bardzo przydatne. „Helcia, podaj mi ten dynks do gwoździ" – mawiają, gdy potrzebują czegokolwiek, czym można by gwoździe przybić. Eiz Proto wymyślił właśnie taki dynks przydatny przy bieganiu, który niczym specjalnym nie jest, a rzeczywiście się przyda i jest tym, czego nikt inny nie wymyślił wcześniej. Pocketbands 3.0 to bowiem nic innego jak opaska na rękę, przypominająca z wyglądu i estetyki nieco inteligentne opaski. Sęk w tym, że cała inteligencja Pocketbands 3.0 ogranicza się do umieszczenia w niej niewielkiej, ale wytrzymałej wewnętrznej kieszonki, w której możemy ukryć np. klucz do mieszkania, samochodu czy zwinięte banknoty. Właśnie po to, by nie wypychały nam kieszeni, gdy idziemy uprawiać sport, po zakupy albo w dobrze dopasowanym garniturze na przyjęcie. Nic specjalnego. Jednak jakże użyteczny dynks, prawda? Cena: ok. 50 zł na Kickstarterze. Jest jeden problem – wielkie klucze typu Gerda nie wejdą. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl 1b7f89dddd

Nadchodzi e-recepta

FOT. FOTOLIA

Katarzyna Pinkosz

Już wkrótce, by dostać lek w aptece, wystarczy, że pokażemy SMS ze specjalnym kodem kreskowym albo podamy PESEL i specjalny PIN

Rewolucja cyfrowa w służbie zdrowia nabiera rozpędu. Już niedługo w kilku regionach ruszy pilotażowy projekt elektronicznej recepty" – pisał entuzjastycznie „Puls Medycyny" w marcu 2014 r. Pierwszy raz o e-receptach usłyszeliśmy ponad 10 lat temu. Gdyby udało się dotrzymać zapowiadanych terminów, już dawno bylibyśmy w cyfrowym świecie: od 2016 r. e-recepta miała obowiązywać w każdej aptece w Polsce, na początku 2017 r. e-skierowania miały zastąpić papierowe, a e-dokumentacja medyczna miała całkiem wyprzeć papierową do końca lipca ubiegłego roku.

Wygląda jednak na to, że tym e-rewolucja w medycynie przynajmniej się zaczyna. Kilka dni temu ruszył pilotaż w Siedlcach i Skierniewicach, a od maja pierwsi pacjenci przyjdą tam do aptek z e-receptami. – Chcemy, by od 1 stycznia 2019 r. w każdej aptece w Polsce była możliwość zrealizowania elektronicznej recepty i żeby od 1 stycznia 2020 r. były one wypisywane we wszystkich gabinetach lekarskich – mówi Janusz Cieszyński, wiceminister zdrowia odpowiedzialny za informatyzację.

LEKI Z SMS-A

Co się naprawdę zmieni? Znikną tradycyjne recepty z pieczątką lekarza. Co w zamian dostaniemy w gabinecie, to będzie zależało od nas. – Pacjent może nie dostać nic: recepta zostanie po prostu zapisana wirtualnie w Internetowym Koncie Pacjenta. Na smartfona otrzymamy specjalny kod kreskowy, który pokażemy w aptece. Jeśli jednak pacjent będzie chciał, to będzie też mógł dostać w gabinecie wydruk informacyjny, na którym znajdą się wszystkie dane, jakie są dziś na recepcie (nazwa leku, dawkowanie) plus kod kreskowy – wyjaśnia Marcin Węgrzyniak, dyrektor Centrum Systemów Informacyjnych w Ochronie Zdrowia.

Kod farmaceuta zeskanuje w aptece i wyda nam lek. – Obecnie testujemy też trzecią możliwość: podanie w aptece PESEL-u plus czterocyfrowego kodu PIN, który będzie można otrzymać po skonfigurowaniu Indywidualnego Konta Pacjenta – dodaje Węgrzyniak.

SKORZYSTAJĄ PACJENT I SYSTEM

Wydaje się, że najbardziej mogą skorzystać pacjenci. Elektronicznej recepty nie da się zniszczyć czy zgubić – pozostanie w „chmurze". Obecnie często lekarze wypisują na jednej recepcie kilka

eprasa.pl 1b7f89dddd

leków, a jeśli któregoś nie ma w aptece, to pacjent stoi przed dylematem: poprosić o zamówienie na następny dzień, o odpis recepty czy iść z nią do kolejnej apteki. W przypadku e-recepty każdy lek będzie można zrealizować w innej aptece (a dzięki temu znaleźć taką, w której będzie on najtańszy). – Około 6 proc. recept nie jest realizowanych z powodu zdarzających się na nich błędów, np. braku pieczątki, podpisu lekarza czy nieprawidłowego wypisania. Ten problem też przestanie istnieć – dodaje wiceminister Cieszyński.

Kolejny plus: jeśli mamy chorobę przewlekłą, np. cukrzycę, to nie będziemy musieli iść do lekarza tylko po receptę: będzie on mógł sam ją wystawić, jeśli poprosimy w rejestracji. Będzie to też możliwe, gdy zadzwonimy do przychodni i zostaniemy przez telefon „zbadani" przez lekarza. Recepta znajdzie się automatycznie na naszym indywidualnym koncie, nie będziemy musieli po nią przychodzić do rejestracji.

Lekarz będzie mógł skorzystać z dostępu do wszystkich naszych recept, także wystawionych przez innych specjalistów – ale tylko jeśli wyrazimy na to zgodę. To my zdecydujemy, jakie nasze dane będzie mógł zobaczyć. Jednak dzięki takiej możliwości sprawdzi on, czy np. nie dostaliśmy od innego specjalisty specyfiku zawierającego taką samą substancję czynną lub wchodzącego w interakcję z zapisanym przez niego lekiem. Będzie też widział, czy wykupiliśmy receptę, a więc czy przynajmniej podjęliśmy próbę leczenia.

Korzyści z e-recepty są na pewno ewidentne dla systemu ochrony zdrowia, a zwłaszcza dla NFZ. Od razu będzie można sprawdzić, na co lekarze wystawiają recepty i które leki są rzeczywiście przez pacjentów wykupywane.

CO NA TO APTEKARZE

Żadna reforma nie powiedzie się bez wykonawców. – Apteki są przygotowane do zmian, wszystkie są skomputeryzowane. Zainteresowanie e-receptami wśród farmaceutów jest duże – przekonuje Elżbieta Piotrowska-Rutkowska, prezes Naczelnej Rady Aptekarskiej. – E-recepta to dla nas dobre rozwiązanie, bo NFZ nie będzie nas pociągał do odpowiedzialności za źle wypisaną receptę przez lekarzy. Szybciej też dostaniemy zwrot pieniędzy za leki refundowane – dodaje.

Farmaceuci obawiają się jedynie kolejnego kosztu – oprogramowania, które trzeba będzie zakupić, żeby wejść w system. Zagrożeniem dla samej realizacji e-recepty mogą być za to np. brak prądu oraz przerwa w dostawie Internetu.

LEKARZE DWÓCH PRĘDKOŚCI

Twórcy e-recepty przekonują, że to bardzo dobre rozwiązanie również dla lekarzy, gdyż wypisanie e-recepty będzie trwać krócej niż tradycyjnej (m.in. dzięki powiązaniu systemu z bazą leków oraz z listą leków refundowanych). Dzięki temu lekarz ma codziennie „zaoszczędzić" pół godziny. W te „oszczędności" powątpiewają lekarze. – Za jakiś czas być może tak, ale na początku na pewno nie, gdyż większości pacjentów będziemy musieli wytłumaczyć, jak działa nowy system – zwraca uwagę dr Tomasz Zieliński z Porozumienia Zielonogórskiego.

– Te wszystkie genialne rozwiązania mają jeden problem: ci, którzy mają je realizować, czasem stają okoniem – zauważa prof. Romuald Krajewski, wiceprezes Naczelnej Rady Aptekarskiej. Dodaje, że młodzi medycy są zwykle bardzo pozytywnie nastawieni do wszelkich e-nowinek i chcieliby je przyspieszyć, jednak nie można zapomnieć, że w Polsce na ok. 150 tys. lekarzy i lekarzy dentystów ok. 25 proc. to osoby w wieku emerytalnym. Bardzo często są to znakomici specjaliści, mają dużą wiedzę w swoich dziedzinach, ale nie zawsze chcą przestawić się na system informatyczny. – Już obecnie lekarze POZ (podstawowej opieki zdrowotnej) mogą wypisywać recepty elektronicznie, jednak postępuje tak tylko ok. 50 proc. z nich. Skoro pozostali do tej pory nie zauważyli plusów wystawiania elektronicznych recept, to wątpię, żeby przekonało ich to, że dane o e-recepcie znajdą się na Indywidualnym Koncie Pacjenta – przekonuje dr Zieliński.

Korzyści z e-recepty są na pewno ewidentne dla systemu ochrony zdrowia, a zwłaszcza dla Narodowego Funduszu Zdrowia

– Mamy w Polsce tak mało lekarzy, że nie możemy stracić ani jednego z powodu e-reformy. Dlatego albo powinna istnieć możliwość, żeby lekarz mógł nadal wystawiać receptę ręcznie, albo musi mieć do pomocy sekretarkę lub asystenta medycznego, który pomoże mu wypisać e-receptę – zauważa prof. Krajewski.

Tylko że na zatrudnienie sekretarek medycznych potrzebne są dodatkowe pieniądze. Problemem może być też to, że w wielu przychodniach nie ma szybkiego Internetu. Co w sytuacji, gdy lekarzowi komputer się zawiesi? Jak wtedy e-recepta zostanie wypisana? Co w sytuacji, gdy pacjent będzie pilnie potrzebował leku, a zabraknie prądu? – W mieście z e-receptą może nie będzie większych problemów. Jednak co w małych miejscowościach, gdzie trudno o informatyka? Co zrobi lekarz, gdy nagle na ekranie komputera pojawi mu się komunikat, z którym nie będzie wiedział, co zrobić, a przed gabinetem ma kolejkę 40 kaszlących chorych? Co wtedy, gdy pacjent będzie w ciężkim stanie, a informacja o leku nie dotrze na czas do apteki? – zastanawia się dr Zieliński.

To z tych powodów lekarze zalecają ostrożność i uważne przyglądanie się wynikom pilotażu. A ich poparcie dla zmian jest wręcz kluczowe, co pokazują wszelkie próby reform w służbie zdrowia. System elektronicznych recept (w różnych formach) bardzo dobrze funkcjonuje w wielu krajach, np. w Holandii, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Norwegii, Estonii, ale np. w Niemczech się nie sprawdził – właśnie z powodu braku poparcia lekarzy, czego przyczyną była niedostateczna ochrona danych, a przede wszystkim to, że w przypadku Niemiec czas wypisania e-recepty okazał się znacznie dłuższy niż zwykłej. Twórcy polskiej e-recepty zapewniają, że w naszym przypadku tak nie będzie.

– Mówiąc o informatyzacji w ochronie zdrowia, podaje się przykład banków: dziś nikt już sobie nie wyobraża stania w kolejce przy okienku. Tylko zwróćmy uwagę: tam nie było przymusu. Trochę trwało, zanim banki i klienci dostosowali się do zmian. Nie spieszymy się więc też w przypadku medycyny, zwłaszcza że tu liczy się dobro pacjentów – dodaje prof. Krajewski.

Przed telemedycyną uciec się nie da. Zresztą chcielibyśmy mieć dostęp – nie tylko do e-recepty, lecz także do dokumentacji medycznej, móc zapisać się internetowo na wizytę i skonsultować z lekarzem. Najlepiej już teraz, nie za kolejne 10 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Denis rozrabiaka

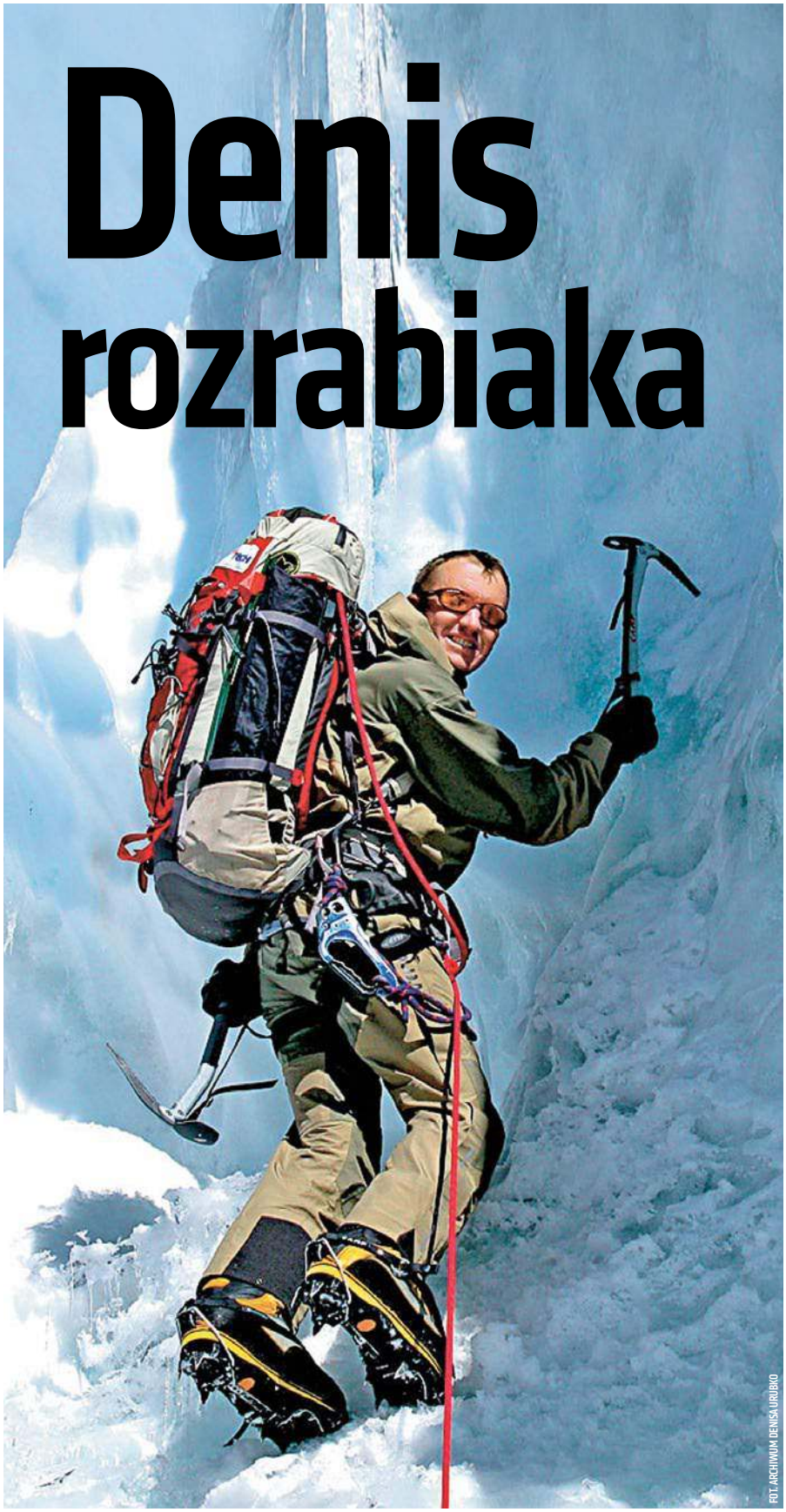

FOT. ARCHIWUM DENISA URUBKO

Łukasz Zboralski

Po akcji ratunkowej na Nanga Parbat był w Polsce prawie bohaterem narodowym. Dzisiaj nie lubią go nawet koledzy, z którymi miał zdobywać K2

Historia Denisa Urubki mówi wiele nie tylko o tym, jak trudne decyzje muszą podejmować himalaiści. Pokazuje też, że środowisko, które od dekad prezentowało się jako grupa uduchowionych ludzi zdobywających najwyższe szczyty, nie jest takie oderwane od ziemi, jak się wydawało. Nie brakuje w nim tego, co obserwujemy często w dzisiejszych czasach – rozpychania się łokciami, przerostu ambicji, zawiści, rywalizacji o to, komu przypadnie największy zaszczyt.

W styczniu 44-letni Rosjanin z polskim paszportem był na ustach wszystkich, gdy z Adamem Bieleckim przerwali wyprawę na K2 i poszli ratować Tomasza Mackiewicza i Élisabeth Revol, którzy utknęli podczas zdobywania Nanga Parbat. Zadziwili wszystkich – w niesamowitym tempie nocą pokonali lodowy komin na tej górze, odnaleźli Francuzkę i sprowadzili ją na dół. Byli też gotowi wyjść jeszcze raz po Mackiewicza, ale pogoda już na to nie pozwoliła.

Dzisiaj Urubko znów jest na ustach wszystkich. Jednak z pozycji bohatera przesunął się na pozycję czarnego charakteru. 26 lutego po kryjomu opuścił rano namiot, zostawił radiotelefon i sam spróbował zdobyć szczyt, który miał pokonać wspólnie z kolegami z polskiej wyprawy. „Zjadłem normalnie śniadanie, a potem potajemnie uciekłem. Wspiąłem się na wysokość 6250 m. Z powodu złej pogody schowałem się w namiocie. Następnego dnia udało mi się dotrzeć na wysokość 7200 m, ale niestety warunki pogodowe były fatalne" – relacjonował potem w tekście, który opublikował na portalu Mountain.ru. Tuż przed świtem podjął dalszą wspinaczkę, ale zaskoczyła go burza śnieżna. Wpadł do pięciometrowej lodowej szczeliny, z której – jak twierdzi – tylko dzięki wrodzonej intuicji wydostał się po kilku godzinach. Wtedy zrezygnował i zszedł.

eprasa.pl 1b7f89dddd

Koledzy nie darowali mu tej niesubordynacji. O tym, jakie były nastroje, najlepiej świadczy to, że kierownik wyprawy Krzysztof Wielicki odebrał Urubce nawet dostęp do sieci wi-fi. Rosjanin postanowił opuścić wyprawę, a polscy himalaiści dodawali, że i tak by go z niej wyrzucili. – W porozumieniu z Polskim Związkiem Alpinizmu prawdopodobnie musielibyśmy go wykluczyć – stwierdził Wielicki w rozmowie z TVN24. – Liczyłem na to, że sam zrezygnuje. Znam go, wiem, że uniósłby się pewnie honorem i jak żołnierz postanowił zejść. Dobrze zrobił. Byłoby bardzo niedobrze, gdybyśmy mieli go wykluczać. Zespół go nie chciał. Po tym, co zrobił, ja też nie widziałem dalszej możliwości współpracy – dodał.

GÓRA CZY ŻONA

Denis Urubko nie pierwszy raz zrobił coś sprzecznego z wcześniejszymi deklaracjami. I sam to przyznawał, gdy z Bieleckim przymierzali się do pierwszego zimowego ataku na K2 w 2014 r. (wtedy wyprawa nie doszła do skutku, bo władze Chin nie zezwoliły na nią ze względu na „zagrożenie terrorystyczne").

– Kiedy się ożeniłem, złożyłem żonie dwie przysięgi: że nigdy nie pójdę na K2 i nie wsiądę na motor – mówił dziennikarzom Polskiego Radia. – Dwa lata temu otrzymałem jednak od Krzysztofa Wielickiego, mojego bardzo dobrego przyjaciela, z którym wspinałem się na K2 w 2003 r., list. Krzysztof pytał w tym liście, czy jeżeli zorganizuje kolejną zimową wyprawę na K2, to ja będę chciał iść razem z nim. I jakoś tak się stało, że bez zastanowienia moje palce zaczęły pisać na komputerze odpowiedź: „Tak, Krzysztof, weź mnie na tę wyprawę" – napisałem. Zapomniałem, że złożyłem żonie tę obietnicę – dodał. Tłumaczył potem, że żonę trzeba wspierać, uśmiechać się do niej, mówić jej miłe słowa i kupować kwiaty. I że robił to przez cały rok w nadziei, że jednak się zgodzi się wyprawę, na którą obiecywał, że nigdy się nie wybierze.

W tamtym roku na spotkaniu w Moskwie też zadawano mu pytania o żonę i rodzinę. Nie odpowiadał jednoznacznie. Chociaż dał do zrozumienia, że nie istnieje dla niego taka kobieta, która za niego podejmowałaby decyzje.

Niektórym deklaracjom Urubko pozostał wierny. Trzy lata temu w długim tekście zamieszczonym na portalu Russianclimb.com tłumaczył, jak rozumie „zimowe" wejście na szczyty o wysokości ponad 8 tys. m. Podkreślał, że astronomiczne pojęcie zimy do niego nie przemawia. Ważniejsze jest to, jak wygląda klimat na Ziemi w tym okresie. I kalendarz. Dla niego zima kończy się zatem 28 lutego. – Dlatego będę żył i wspinał się w warunkach klimatycznych według kalendarza – podkreślił. I dodał: – Jeżeli dla wszystkich ludzi zima trwa od 1 grudnia do końca lutego, to lepiej by było alpinistom postępować według ogólnie przyjętych zasad.

Dlatego twardo opowiedział się przeciw rozciąganiu pory zimowej zarówno na końcówkę jesieni, jak i na początek marca, bez względu na to, jakie warunki panują podczas zdobywania szczytów. Inne zachowania określił jako „przerost ambicji".

Tutaj bardzo różnił się z Krzysztofem Wielickim, który za zimowe wejścia uznaje te, które zostały dokonane w okresie zimy astrologicznej. To dlatego – jak teraz przyznał – zdecydował się na samotny atak szczytu K2. Twierdził, że nie chciał tym obciążać kolegów. I dodawał, że gdyby tego nie zrobił, nie podjął próby, wróciłby wściekły na siebie.

DROGA NA SZCZYTY

Urubko nie tylko w tej kwestii jest bardzo stanowczy. Nie przyjmuje żadnych preparatów farmakologicznych, które mogłyby pomagać organizmowi (a jako ósmy na świecie zdobył 14 ośmiotysięczników, czyli Koronę Himalajów i Karakorum, bez użycia butli tlenowych).

Podczas wysokogórskich wspinaczek nie je żadnych specjalnych odżywek dla sportowców. Tam podstawą diety jest dla niego rosyjska kasza Bystrow. Nad jedzeniem w górach specjalnie się nie rozczula. Jak tłumaczył na jednym ze spotkań w Rosji, najważniejsze to wlać w siebie kaszę i zagryźć kiełbasą, ważne, żeby nie mieć pustego brzucha. Na wyprawie daje organizmowi spalać zapasy tłuszczu, traci wtedy – przez miesiąc lub dwa – nawet 15 kg masy ciała.

Ten hart ducha i ciała ma wpisany niejako z urodzenia. Na świat przyszedł w 1973 r. w Niewinnomyssku w ówczesnym ZSRS. Od dziecka lubił polować, łapać ryby i chodzić po górach na Kaukazie. Miał jednak kłopoty zdrowotne. Okazał się uczulony na trawy i lekarze zdiagnozowali u niego początki astmy. Dlatego gdy miał 14 lat, rodzice zdecydowali, że przeprowadzą się na Sachalin. Ze wspinaczką zetknął się dopiero na studiach we Władywostoku. Uczył się tam aktorstwa i dorabiał jako szatniarz oraz sprzątacz. Przypadkowo przeczytał fragment książki Reinholda Messnera i wówczas zaczęła się jego prawdziwa przygoda z wysokimi szczytami. Wspinał się sam – w górach Kadar, w Kirgistanie. Kiedy wybrał się sam z szalonym celem zdobycia solo Piku Lenina, w Pamirze spotkał żołnierzy z klubu sportowego kazachskiej armii. Rzucił akademię teatralną, dostał powołanie do wojska, ale zamiast do sowieckiego wojska poleciał do Ałma Aty, starać się tam o mundur. Nie było to łatwe. Właśnie rozpadał się ZSRS, a Rosjanin chciał zostać żołnierzem w Kazachstanie. Po roku wyprosił przyjęcie do armii i został żołnierzem trenującym po pracy w sportowym klubie wspinaczkę.

Pierwszą żonę poznał w Ałma Acie. Urodził im się syn, ale małżeństwo się rozpadło. Z drugą żoną – psycholog – ma syna i córkę. I ten związek nie przetrwał. Trzecią żonę Olgę – tę, której obiecał nie wchodzić na K2 – poznał kilka lat temu w Rosji.

Mieszka trochę we Włoszech, trochę w Rosji, trochę w Kazachstanie. Występuje w barwach kazachskich, ale w 2013 r. przyjął też polski paszport. Na K2 szedł jako członek polskiej wyprawy. Zarzekał się, że będzie tam „żołnierzem" uzupełniającym działania. Chociaż wiele razy wspomniał o różnicy we wspinaniu się solo – jego zdaniem niebo jest wówczas bardziej błękitne, a śnieg bardziej biały. I wszystkie doznania są mocniejsze.

Rozciąganie pory zimowej zarówno na końcówkę jesieni, jak i na początek wiosny Urubko uznaje za przerost ambicji u himalaistów

Jego solo na K2 skazało go na prawdziwą samotność. Wydaje się, że w gronie polskich himalaistów będzie już banitą. Na tej wyprawie ma jeszcze jedną solową trasę – 100 km, m.in. przez lodowiec, do miejscowości Askole. Tylko do niej dojeżdżają samochody, które mogą go zabrać dalej. Dalej od niezdobytego K2, dalej od niedawnych przyjaciół.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

Krok w kolanach cię poniesie

Łukasz Majchrzyk

W skokach narciarskich blefowanie i podglądanie są na porządku dziennym. Tutaj każdy detal jest ważny i może zadecydować o zwycięstwie lub porażce

Nikt chyba dokładnie nie wie, kiedy to się zaczęło, kiedy skoki narciarskie stały się dyscypliną, w której stosuje się metody rodem z filmów szpiegowskich i cały czas pracuje nad tym, by każdy element sprzętu ulepszyć. Każdego roku powtarza się rytuał, w którym przedstawiciele światowych federacji najpierw zażarcie dyskutują, jakie zmiany w regulaminie wprowadzić, żeby walka stała się uczciwsza, a następnie zachodzą w głowę, jak te przepisy interpretować lub obejść, żeby nie narazić się na dyskwalifikację, a jednocześnie wycisnąć maksimum korzyści z tego, na co pozwala prawo.

To jedna część wyścigu zbrojeń, bo druga obejmuje metody rodem z filmów szpiegowskich: wzajemne podglądanie, filmowanie z ukrycia, podkupywanie najlepszych specjalistów – wszystko, byle tylko wiedzieć, nad czym pracują rywale i czy rzeczywiście ich ulepszenia cokolwiek dają czy tylko są zasłoną dymną. Kto blefuje i kiedy?

SZPIEG, KTÓRY DAJE SIĘ ZŁAPAĆ

Wszystko może być wskazówką, wszystko może być ważne, zwłaszcza jeśli czyjaś forma nagle wybucha, a nikt nie zna dokładnej przyczyny. Czy decydująca jest bułka z bananem? Czy nowe, rzekomo rewelacyjne wiązania dają taką przewagę?

Prezes Polskiego Związku Narciarskiego Apoloniusz Tajner wspomina sytuację z początków sukcesów Adama Małysza, gdy nagła zwyżka formy polskiego skoczka była dla wszystkich niespodzianką. Bułka z bananem, którą zawodnik zjadał przed oddaniem skoków, urosła do rangi tajnej broni, która zapewnia nadludzką wprost siłę, a chodziło jedynie o utrzymanie odpowiedniego poziomu glukozy w trakcie zawodów. Rywale byli do tego stopnia zdezorientowani, że zaczęli stosować tę przekąskę, nawet nie wiedząc dlaczego. Któregoś dnia podczas zawodów ze stołów zniknęły wszystkie bułki i banany. Małysz się przestraszył, że w decydującym momencie nie będzie mógł się posilić. Na szczęście członkom sztabu udało się zabezpieczyć jedną porcję dla polskiego zawodnika. Od tego czasu polski mistrz zawsze nosił podczas zawodów bułkę z bananem w plecaku.

W szczycie małyszomanii podobna historia stała się nawet osią scenariusza spotu reklamowego. Można w nim było zobaczyć, jak Niemcy (głównymi rywalami byli przecież Martin Schmitt i Sven Hannawald) podglądają przez lornetkę Polaka i powtarzają każdy jego gest: ziewają na komendę, zajadają się bułką z bananem, a na koniec sięgają po zupkę w proszku.

Skoczkowie przyznają, że od szpiegowania się nie ucieknie, a najmocniej są obserwowani ci, którzy są w danej chwili na szczycie. Pod koniec grudnia trener Stefan Horngacher zarządził zamknięcie Wielkiej Krokwi, gdzie reprezentanci odbywali ostatnie treningi przed Turniejem Czterech Skoczni oraz testowali nowinki sprzętowe. Na terenie obiektu nie mógł się pojawić nikt poza osobami do tego upoważnionymi. Sztab kadry obawiał się, że najgroźniejsi rywale dowiedzą się, co Polacy szykują na prestiżowe zawody. Decyzja wzbudziła protesty w środowisku polskich skoków, bo kilka dni później na tym obiekcie miały się odbyć mistrzostwa Polski i część zawodników była pozbawiona możliwości trenowania w Zakopanem. Nawet jeśli decyzja sztabu kadry była kontrowersyjna, to z punktu widzenia interesów reprezentacji okazała się słuszna, bo Kamil Stoch we wspaniałym stylu wygrał Turniej Czterech Skoczni.

Nawet jeśli w tłumie pod Wielką Krokwią, w czasie treningów Polaków, nie kręciliby się specjalni wysłannicy Niem-

FOT. VLADIMIR RYS/BONGARTS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 1b7f89dddd

ców, Austriaków czy Norwegów, to zawsze ktoś z kibiców mógł zrobić zdjęcie, a potem opublikować je w Internecie. Skoczkowie przyznają, że już coś takiego może wystarczyć, by precyzyjny plan zaskoczenia przeciwników spalił na panewce. Ktoś robi zdjęcie, a ktoś inny w pokoju hotelowym pieczołowicie je analizuje i szuka szczegółów, które mogą pomóc rozszyfrować tajną broń. Podobno najbardziej pożądane są zdjęcia, na których widać, jak skoczkowie ściągają kombinezon. To wtedy widać najwięcej szczegółów, dlatego trzeba przebierać się jak najszybciej i najlepiej, jeśli to możliwe, robić to w specjalnym domku, który każda reprezentacja ma do swojej dyspozycji. Czasem jednak warto wysłać fotografa, który skryje się za ośnieżonym świerkiem i będzie robił zdjęcia albo filmował. Podobno cała sztuka polega na tym, by kryć się tak, żeby podglądani w końcu zobaczyli, że ktoś ich szpieguje. Czemu? Jeśli mają do ukrycia coś, co może nie do końca jest zgodne z przepisami, a dałoby im przewagę, to w ostatniej chwili przestraszą się doniesienia do władz Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS) i zrezygnują z wprowadzania ulepszeń.

SKOCZEK Z PLASTIKU

Jeśli konkurencja odkryje podejrzane ulepszenia, to może zwrócić na nie uwagę sędziów, a ci z kolei zainteresują się tematem i mogą zawodnika zdyskwalifikować. Wielka awantura rozpętała się osiem lat temu podczas igrzysk olimpijskich w Vancouver, na których dwa złote medale zdobył Simon Ammann, dwa srebrne Małysz, a dwa brązowe przypadły Gregorowi Schlierenzauerowi.

Na zawody do Kanady Szwajcar przywiózł ze sobą nowe wiązania do butów, które miały mu dawać lepszą kontrolę i pomagać w prowadzeniu nart (skoczek mógł szybciej ustabilizować swoją pozycję w locie). Być może to dzięki tej innowacji Ammann zdobył dwa złote medale więc wywołał awanturę. Jeden z austriackich działaczy, a w przeszłości znakomity skoczek Toni Innauer twierdził, że wiązania dają Szwajcarowi zbyt dużą przewagę, że powinny zostać zgłoszone komisji sprzętowej. Władze światowych skoków uznały jednak, że jest to jedynie modyfikacja w ramach istniejących przepisów, i sprawa rozeszła się po kościach.

Austriacy sami nie są jednak bez winy. Bardzo silną pokusą jest powiększanie stroju, żeby zwiększyć powierzchnię nośną i otrzymać rodzaj latawca. Dlatego przepisy są bardzo restrykcyjne i precyzyjnie określają, jak bardzo luźny może być materiał, gdzie może odstawać albo jak mocno przepuszczać powietrze. Kontrolerzy sprawdzają to pieczołowicie, więc niektórzy próbują ich przechytrzyć i wypinają podczas kontroli brzuch oraz prostują plecy, żeby wydać się jak największymi. Potem, już na skoczni, wracają do normalnej sylwetki, a strój zostaje. Najlepiej, jeśli uda się zyskać dodatkowe centymetry w kroku, i właśnie tak robił Florian Liegl. Przepisy były wtedy bardziej liberalne i potem Austriak w locie wyglądał jak wielki latawiec.

Władze skoków starają się z tym walczyć i ciągle wprowadzają nowe obostrzenia. Przed tym sezonem, na wniosek polskiej reprezentacji, zaostrzono przepisy dotyczące części kombinezonu, która opina pierś skoczka – nie ma już miejsca na żadne odchylenia od przyjętych norm. Przepisy regulują nawet bieliznę, jaką zawodnik może mieć na sobie w trakcie konkursu. Zgodnie z nowym regulaminem strój musi się składać z dwóch części, a spodenki muszą się kończyć nad kolanami. Gdy ubranie było jednoczęściowe, wykonane ze śliskiego materiału, to przy pewnym kroju można było naciągnąć kombinezon. Teraz manipulacje mają być utrudnione.

Takie uwagi zgłosił Michal Doležal, który ma opinię jednego z najlepszych specjalistów od wprowadzania innowacji sprzętowych i który został zatrudniony przez Polski Związek Narciarski. Czech nie wyszukuje jedynie problemów, ale ma za zadanie podsuwać nowe rozwiązania. Do współpracy z polską kadrą udało się pozyskać innego znakomitego fachowca i tutaj przydały się znajomości Horngachera.

Doktor Harald Pernitsch ma opinię najlepszego specjalisty w zakresie mierzenia siły odbicia i dobierania odpowiednich ćwiczeń. Skonstruował w tym celu specjalną platformę dynamometryczną, z której korzystają reprezentanci Polski. Mierzy się tam moc, siłę, szybkość i wysokość odbicia. Test trwa ok. 15 minut, a każdy zawodnik oddaje po kilka skoków. Wyniki są na bieżąco analizowane przez Austriaka.

W środowisku narciarskim mówi się, że znakomite wyniki austriackich skoczków kilka lat temu to w dużej mierze jego zasługa. Nic dziwnego, że kiedy trenerem niemieckiej kadry został Werner Schuster, ściągnął Pernitscha do współpracy. W sztabie niemieckiej kadry był wtedy również Horngacher, który bardzo sobie chwalił współpracę z doktorem.

Na porządku dziennym jest stosowanie kamer GoPro. Dzięki nim każdą sekundę najazdu do oddania skoku można rozbić na 10–20 klatek i wychwycić ewentualne błędy popełniane przez zawodnika.

Walka na innowacje rozkręciła się przed igrzyskami olimpijskimi. Norwegowie przygotowali specjalną figurę 3D, oddającą idealnie sylwetkę skoczka Toma Hildego w locie, i w ten sposób testowali nowe kombinezony w tunelu aerodynamicznym – zachowanie materiału zmienia się w zależności od prędkości lotu, wilgotności i temperatury powietrza.

Norwegowie dzięki tej lalce nie męczą zawodnika, a wyniki dostają precyzyjne. Podobno to nawet sam Hilde wpadł na pomysł wprowadzenia takiej innowacji. Ponoć skoczek przez kilka dni miał swojego plastikowego sobowtóra w pokoju i czuł się dziwnie, budząc się w nocy i widząc „samego siebie" z otwartymi oczami stojącego przy łóżku. Uznał jednak, że walka o olimpijski medal jest warta kilku chwil stresu.

Wyścig na ulepszenie, innowacje i nowinki techniczne w skokach nabiera tempa. Na szczęście nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, by w zawodach startowały roboty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 1b7f89dddd

NASZ TEST: SEAT ATECA FR

Mocny, dynamiczny silnik, sztywne zawieszenie oraz ciekawy wygląd z tylnym spojlerem, chromowanymi końcówkami wydechu oraz czarnymi relingami. Taką receptę na sukces zastosowali twórcy modelu Ateca FR (skrót od Formula Racing), który łączy w sobie cechy klasycznego crossovera, samochodu rodzinnego i auta sportowego.

W KABINIE

We wnętrzu odnajdziemy wiele nawiązań do sportowego charakteru auta. Są przeszycia z czerwonej nici na kierownicy i skrzyni biegów. A także aluminiowe progi oraz aluminiowe nakładki na pedały. Ośmiocalowy, ciekłokrystaliczny ekran do obsługi multimediów i nawigacji jest intuicyjny w obsłudze. Ateca FR umożliwia też bezprzewodowe ładowanie smartfonów.

Kabina jest bardziej funkcjonalna niż uderzająco piękna.

Pokryte alcantarą fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Przestrzeni nie brakuje ani z przodu, ani z tyłu. Bagażnik o praktycznym kształcie ma 485 l pojemności.

JAZDA

Usportowiona wersja hiszpańskiego SUV-a może mieć pod maską kilka różnych silników. Testowy wariant z dwulitrową jednostką benzynową o mocy 190 KM rozpędzał Atecę od 0 do pierwszej setki w 7,9 s. Maksymalnie auto można rozpędzić do nieco ponad 210 km/godz.

Kabina jest dobrze wyciszona, więc na autostradzie można pojechać nieco szybciej bez obawy o hałas we wnętrzu.

Dzięki sztywniejszemu zawieszeniu auto prowadzi się pewnie i precyzyjnie. W wersji

z napędem na cztery koła Ateca FR bardzo dobrze radzi sobie z dynamicznym pokonywaniem serpentyn – auto świetnie trzyma się drogi i tylko delikatnie odchyla na boki na zakrętach.

Adaptacyjne zawieszenie pozwala wybrać, czy w danym momencie mamy ochotę na szybką, sportową jazdę, czy wolimy spokojną, komfortową podróż. Tryb sportowy wpływa nie tylko na zawieszenie, lecz także na sposób działania automatycznej skrzyni biegów.

Po stronie minusów trzeba zapisać 19-calowe felgi, które mają tylko jedną zaletę: wyglądają bardzo ładnie. Poza tym zupełnie niepotrzebnie obniżają komfort jazdy, sprawiając, że auto jest mniej przyjemne w prowadzeniu zarówno na autostradzie, jak i podczas wycieczek poza asfaltowymi szlakami.

Ateca FR spala średnio w cyklu mieszanym 9 l/100 km przy spokojniejszej jeździe i ok. 12–13 l/100 km, jeśli ktoś woli bardziej agresywny styl podróżowania.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych organizacji Euro NCAP Ateca zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Crossover Seata jest też uzbrojony w elektronicznych asystentów wspomagających bezpieczeństwo. Aby nie dopuścić do zderzenia z innym samochodem, auto potrafi samodzielnie nagle zahamować. W podobny sposób komputer wykrywa też pieszych i w razie potrzeby również aktywuje hamulce.

W godzinach szczytu auto może więc autonomicznie poruszać się w korkach, automatycznie ruszając, hamując i trzymając się pasa ruchu. Diody w lusterkach ostrzegą również przed samochodami znajdującymi się w martwym polu. Podczas parkowania przydaje się system kamer 360 stopni.

CENA

Seat Ateca FR w najtańszej wersji z silnikiem o pojemności 1,4 l o mocy 150 KM, z manualną skrzynią biegów i napędem na przednią oś kosztuje 110,9 tys. zł.

Cena za hiszpańskiego crossovera z siedmiobiegową, automatyczną skrzynią biegów, napędem na cztery koła oraz dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 190 KM wynosi 135 tys. zł, a z jednostką wysokoprężną o mocy 190 KM – 152 tys. zł.

KONKURENCI

Nissan Qashqai, Peugeot 3008, Toyota C-HR, VW Tiguan ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 1b7f89dddd

MARCIN KWAŚNY WSPOMINA SMAKI PODRÓŻY POŚLUBNEJ

Nie jestem dobrym kucharzem, ale pewnego razu postanowiłem zdobyć przepis i nauczyć się przyrządzać makaron z krewetkami. Jest to jedna z nielicznych potraw, które przygotowuję. Pierwszy raz tak podawane krewetki jadłem we Włoszech podczas podróży poślubnej. W pewnej eleganckiej restauracji w słonecznej Sycylii zamówiłem makaron z krewetkami przyrządzonymi w wyśmienity sposób. Potrawa smakowała mi tak bardzo, że musiałem zdobyć na nią przepis. Teraz jest to moje popisowe danie, które zawsze serwuję, jeśli tylko zdarza mi się dla kogoś gotować. Przygotowuje się je bardzo prosto, smakuje doskonale i może zrobić wrażenie na gościach.

Makaron z krewetkami

Składniki:

- 500 g krewetek
- 500 g makaronu spaghetti
- 300 g pomidorów koktajlowych
- pęczek pietruszki lub bazylii
- 2–3 ząbki czosnku
- pieprz, sól

Przygotowanie:

Krewetki dokładnie obrać. Musimy pozbyć się pancerzyków, odnóży, ogona i jelita (czarny pasek biegnący wzdłuż ciała krewetki). Myjemy je dokładnie i osuszamy. Kroimy pomidorki koktajlowe na połówki, siekamy pietruszkę i/lub bazylię oraz czosnek. Gotujemy makaron, by był al dente. Na patelni rozgrzewamy masło i wrzucamy posiekany czosnek. Gdy zmieni kolor na złoty, wrzucamy krewetki, aż staną się różowe, podczas smażenia z każdej strony doprawiamy solą i pieprzem. Wrzucamy pomidorki koktajlowe oraz pietruszkę (jeśli zamiast pietruszki wolimy bazylię, to dodajemy ją na końcu). Smażymy całość, mieszając. Musimy pilnować czasu, bo przesmażone krewetki będą gumowate. Łącznie ich smażenie powinno trwać ok. 5 min.

Podajemy z ugotowanym wcześniej makaronem. ©℗

oprac. raw

Marcin Kwaśny jest aktorem teatralnym, filmowym i telewizyjnym oraz scenarzystą.

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kto tu posprząta

Wielcy szefowie kuchni to głównie mężczyźni, sferą kulinarną również rządzi silna płeć. Jednak gdy po jedzeniu trzeba posprzątać, na scenę wchodzą kobiety. Nikt głośno tego nie mówi, ale zapędzić kobietę do zmywania i miotły to byłaby herezja, zniewaga dla feministek. Kobieta ma przecież równe z mężczyzną prawa, pracuje, robi karierę, godzi pracę z obowiązkami domowymi, jest dzielna, a we wszystkim pomaga mąż… To jest – chciałam powiedzieć – partner.

Tym postulatom rzeczywistość nie zawsze odpowiada, ale dajemy radę za pomocą odkurzacza Zelmer, płynu Cif. Czasem nawet osobnika płci męskiej udaje się namówić, aby powiesił pranie. Jednak domowym menedżerem porządku pozostaje wciąż kobieta. Sytuację tę wyraża wydana przez Naszą Księgarnię książeczka Kasi Dyny „Gospodyna. Zaradnik domowy".

Sądząc po tytule, po szacie graficznej i po wydawcy zaadresowana jest głównie do dziewczynek. Zadanie: na chwilę oderwać nastolatki od filmików na YouTube i zachęcić je do czynności domowych. Na początek tych najprostszych – wywabić plamę, ugotować brukselkę, usunąć kamień z łazienki, zrobić syrop z cebuli i czosnku na przeziębienie. Mamy tu zestaw porad babci, ze ściennego kalendarza gospodyni domowej plus stan wiedzy zaktualizowany – jak inteligentnie czytać etykiety, jak oszczędzać wodę, jak

KASIA DYNA „GOSPODYNA. ZARADNIK DOMOWY" NASZA KSIĘGARNIA 2016

zrobić maseczkę na twarz. Dowcipne teksty, ładna szata graficzna – szary papier, rysunki, zdjęcia ze starych gazet i poradników, wszystko to zachęca do czytania. Pożyteczna i sympatyczna książeczka, także dla dorosłych.

Może wypełni jakąś niszę, bo wychodzi w czasach, kiedy mamy z jednej strony ambitne magazyny dla ambitnych kobiet, które robią kariery, zdobywają stanowiska, noszą szpilki Manolo Blahnika i nigdy w życiu nie obrały kartofla. Z drugiej strony są pariasi prasy kobiecej: „Dobre Rady", „Przyślij Przepis" itp., wielkonakładowe gazetki, które trzyma się w kącie kuchni, nie na coffee table, tak jak „Vogue'a". A pamiętam „Poradnik Domowy", pierwsze pismo wydawnictwa Prószyński i S-ka, które na początku lat 90. wychodziło w nakładzie 2 mln egzemplarzy. Było ambitne, niegłupie, aspirujące, ale bliskie rzeczywistości. Nie utrzymało się na rynku.

Potem polska kobieta wykonała wielki skok cywilizacyjny i już do miotły się nie dotknęła. Obraca się w wysokim świecie zadań zawodowych, kultury, niskie prace wykonują za nią Ukrainki. Czas może upgrade'ować porządki, tę niską sferę życia. Nadzieja w takich książeczkach i w samobieżnym odkurzaczu. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wzlot i upadek strażnika

Samuel Łaszcz herbu Prawdzic to kolejny warchoł, awanturnik i facecjonista, który nie ma odpowiednika w żadnej innej kulturze poza polską. Był brutalnym żołnierzem i jednocześnie autorem licznych pism oraz anegdot o sobie samym. Urodzony w 1588 r., już w 1618 r. spalił i złupił dwa miasteczka na Ukrainie: Jarosławsk i Michałówek, za co skazany został na banicję. Zagrożony egzekucją uciekł na Sicz, aby w 1621 r. pojawić się i dzielnie walczyć w obronie Chocimia.

Od tej pory pozostawał na służbie wojskowej pod protekcją hetmana Stanisława Koniecpolskiego, co oznaczało, że nie było sposobu, aby wyegzekwować ciążące na nim wyroki. Tłumił kozackie powstanie Tarasa Fedorowicza w 1630 r., bił się w przedniej straży pod Kumejkami, gromił ordyńców, którzy zwali go „strachem tatarskim".

W życiu prywatnym był jednak Łaszcz warchołem. Swoją główną siedzibę – leżący na zachód od Kijowa Makarów – zamienił w wilcze gniazdo, utrzymując w nim swawolną kompanię hultajów. Jak podaje Joachim Jerlicz, służyli mu: „niecnoty banici Wołosza, Tatarowie rozbójnicy, złodzieja, poczciwego ani pytaj, a kilkaset zawsze człowieka znajdowało się przy boku jego". Łaszcz mianowany strażnikiem koronnym napadał na sąsiadów: „Ani na Pana Boga nie dbał, ani prawa pospolitego bał się, ani ludzi poczciwych wstydził, na majętności szlachty najeżdżał i na domy, gwałty czynił, mordował, uszy i nosy obrzynał, gwałtem panny i wdowy biorąc, za swoje oprawce oddawał".

Wytoczono mu wiele procesów, na których się nie stawiał, miał więc wyroki zaocznie. Joachim Jerlicz podaje, że miał na sobie 236 banicji i 37 infamii, co nawet jak na burzliwy wiek XVII stanowiło swego rodzaju rekord. Liczba ta może być oczywiście zawyżona, jednak żaden historyk nie zweryfikował dotąd pamiętnikarza.

Łaszcz sam „produkował" facecje o sobie. Gdy zrabował pędzone do Gdańska woły wojewodziny wileńskiej Zofii Chodkiewiczowej, wysłała do niego list, żądając zwrotu mienia i grożąc trybunałem. Łaszcz zaś odpisał jej tak:

FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

Jeśli Zosieńka przyjdzie woły paść,
pójdę i ja
Jeśli się tam bić ze mną będzie,
będę i ja
Waszej Książęcej Mości
sługa i brat Łaszcz.

Pewnego razu pił wino na Krakowskim Przedmieściu, a razem z nim bawiła się doborowa kompania jego przyjaciół. Wszyscy weselili się, cóż jednak z tego, kiedy w szynku poza nimi nie było absolutnie nikogo. Samuel i jego kompani nie mieli kogo bić! Łaszcz zatem wymyślił, że wyjdą z karczmy i wybiją tego, kogo zobaczą pierwszego wyjeżdżającego z Warszawy.

Ruszyli w kierunku Krakowskiej Bramy. Akurat wyjeżdżał z niej jezuita. „Bić go!" – krzyknęli. „Za co? Dlaczego?" – zapyta przerażony frater. Wytłumaczyli mu spokojnie, na co zakonnik: „Omyliliście się panowie. Woźnica mój pierwszy, nie ja". I tak kompani Samuela wybili woźnicę. A jaki morał z tej opowieści? Że każdy brat z towarzystwa jezusowego węża ma na języku, a niecnotę w sercu.

Burzliwe dzieje Samuela Łaszcza pokazują ciekawą cechę ustroju Rzeczypospolitej: niezwykłą solidarność szlachty wobec ludzi, którzy zbyt często łamali prawo. W przypadku bohatera zaszły takie same okoliczności, które strąciły z piedestału wielu innych awanturników, w tym Stanisława „Diabła" Stadnickiego i jego synów. Kiedy w 1646 r. zmarł jego protektor hetman Stanisław Koniecpolski, szlachta zmiotła warchoła.

Wojewoda kijowski Janusz Tyszkiewicz zwołał pospolite ruszenie, którego razem z pocztami magnackimi zebrało się 12 tys. ludzi. 17 października ruszył na Makarów. Łaszcz nawet nie usiłował się bronić – uciekł, pozostawiając żonę i dzieci, które wygnano z dworu. Odebrano mu dosłownie wszystko, bo ziemię i godności: strażnikostwo wojskowe oraz oba starostwa – kaniowskie i zwinogrodzkie.

Łaszcz uciekł aż do Krakowa. W 1648 r. wziął udział w kampanii przeciwko Kozakom, umierał jednak jako żebrak. Koniec życia był ostatnią jego facecją. Gdy wierzyciele oblegali śmiertelne łoże, domagając się zwrotu długów, powiedział, że chętnie by tak zrobił, gdyby darowano mu majątek. Niemniej kazał, aby ostatni wierny sługa – stary Cygan – zagrał na cytrze, aby choć trochę osłodzić im stratę.

W grobie Łaszcz też nie miał szczęścia. Kościół św. Szczepana w Krakowie, gdzie spoczął, został rozebrany na początku XIX w. Pozostał jednak po nim plac Szczepański, gdzie ponoć zachowały się pod powierzchnią gruntu katakumby, a w nich szczątki bohatera. Nieraz zresztą, będąc w dobrej kompanii i pod zacną datą w nudnym Krakówku, wychyliłem w tym miejscu kielich za spokój jego duszy. ©℗

eprasa.pl 1b7f89dddd

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Warszawa pod ścianą

MARCIN MAKOWSKI: W tym roku po raz kolejny uczestniczyłeś w konwencji CPAC (Conservative Political Action Conference), czyli w największym zjeździe republikańsko-konserwatywnym w USA. Jak nastroje na sali? Jakie wrażenie zrobiło na tobie przemówienie Donalda Trumpa?

MATTHEW TYRMAND: W porównaniu z rokiem wyborczym i pierwszym zjazdem po inauguracji Trumpa tym razem było trochę mniej osób i mniej energii. Sytuacja zmieniła się tylko podczas przemówienia prezydenta, które cieszyło się rekordową frekwencją. Oprócz niego wystąpili m.in. Mike Pence, Ted Cruz, Nigel Farage – wszyscy na temat definicji nowego, europejskiego i amerykańskiego konserwatyzmu. Wniosek moim zdaniem jest jeden: Trump rozsadził prawicę w USA od środka i zaczął ją budować na swoje podobieństwo. Wielu uczestników konwencji miało mieszane uczucia na ten temat, ja również nie wiem, czy to dobra droga na dłuższą metę. W każdym razie tu i teraz coraz więcej działaczy ulega czarowi Trumpa, ponieważ kierują się pragmatyzmem. Czy nam się prezydent podoba, czy nie, to on – a nie kto inny – wygrał z Hillary Clinton i to on umożliwia wprowadzenie wielu koniecznych zmian. Trump zdaje sobie z tego sprawę, co można było wyczytać z jego 90-minutowego wystąpienia, które dotykało przekrojowo właściwie wszystkich wyzwań współczesnej polityki.

Prezydent, po masakrze na Florydzie, kolejny raz poparł drugą poprawkę do konstytucji. Zyskał tym aplauz publiczności, ale coraz więcej Amerykanów domaga się większej kontroli oraz ograniczenia sprzedaży broni półautomatycznej. Jakie jest twoje zdanie na ten temat?

Druga poprawka to rzecz przypisana do naszego systemu prawnego na stałe, i to się nie zmieni. Nie chodzi tylko o broń, ale o dane od Boga prawo do obrony, które spoczywa w rękach wszystkich obywateli, a nie tylko rządu. Problem polega na tym, że to, co wywołuje najwięcej kontrowersji, czyli niewielki dodatek do broni półautomatycznej, który zamienia ją w karabin automatyczny, jest łatwe do wycofania z użytku, ale równie szybko można ten dodatek wydrukować np. na drukarce 3D. Strzelałem z tak przerobionych karabinów i muszę przyznać, że skala rozrzutu jest przerażająca, z czego skorzystał zamachowiec w Las Vegas. Tyle że samo prawo niczego tutaj nie zmieni. Złych ludzi z bronią ostatecznie i tak będą mogli zatrzymać jedynie dobrzy ludzie z bronią.

Domyślam się, że jako osoba kojarzona w Waszyngtonie z polską prawicą byłeś pytany podczas konferencji o nowelizację ustawy o IPN. Czego się dowiedziałeś?

Właściwie wszystkie pytania zaczynały się podobnie: „W jakim celu Polska ustanawia tak drakońskie prawo?". Oczywiście na ich obraz ustawy wpływają nieobiektywne relacje mediów, które jak zwykle w podwójnych standardach opisują wszystko, co wychodzi spod skrzydeł światowej prawicy. Nie można się jednak obrażać na rzeczywistość. Zgodnie z prawdą czy nie, poważni ludzie w amerykańskiej polityce spoglądają na obecny kryzys dyplomatyczny pomiędzy Polską a Izraelem z niepokojem. W końcu dotyczy to ich dwóch strategicznych sojuszników – jednego na wschodzie, który działa jak tama przeciwko Rosji, drugiego na Bliskim Wschodzie – który stabilizuje ten niespokojny region. Warszawa musi sobie zdać sprawę, że jeśli nie zmieni zapisów ustawy, a Waszyngton zostanie postawiony pod ścianą, to ostatecznie wybierze Jerozolimę. To było przesłanie, które wybrzmiało z ich ust. Oczywiście gdy tłumaczyłem kontekst, opinie się nieco zmieniały i nikt nie potępiał polskiego rządu za chęć suwerennego stanowienia prawa, ale po prostu wartość wynikająca z tej ustawy nie była warta całego zamieszania.

Czy pojawiły się też jakieś komentarze dotyczące skandalicznej akcji Fundacji Rudermanów na temat „polskiego Holokaustu"?

Jeśli już ktoś ten filmik widział, to był w szoku, tak samo jak ja. Uspokajam jednak – nie była to akcja, która odbiła się szerokim echem wśród amerykańskich konserwatystów. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

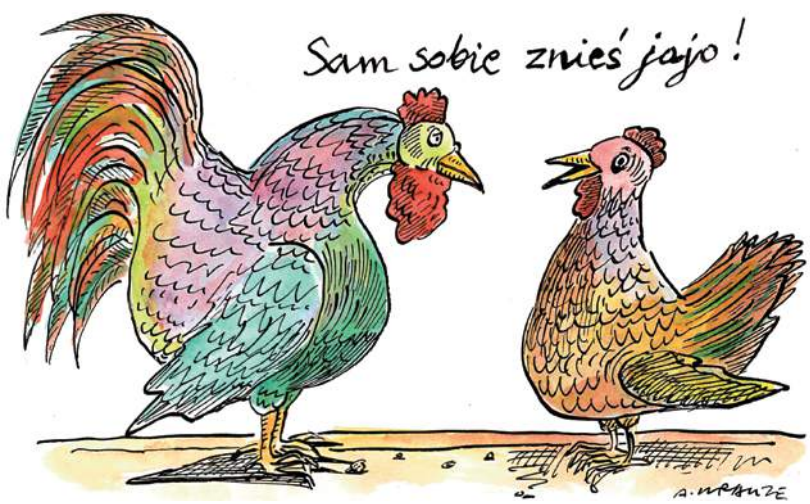

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 1b7f89dddd

OKIEM BLOGERKI

KATARYNA

Olszewski na odcinku bezpieczeństwa

PAWEŁ OLSZEWSKI (PO): ***Są też niezwykle istotne fakty, a przede wszystkim zdjęcia. Pan minister Wąsik dość namiętnie całuje się z jakimś innym panem. Ja nie wnikam, kim jest ten pan. Następnego dnia, jak wskazują daty, już w negliżu panowie się do siebie tulą. Nie wiem, czy to ten sam pan, na pewno nie ta sama impreza. Czy w związku z tym, że tego typu sytuacje mogą wywoływać podatność na szantaż ze strony grup przestępczych, ze strony wywiadów innych państw, czy temu panu zostały cofnięte poświadczenia bezpieczeństwa?***

Względami bezpieczeństwa państwa poseł Platformy Obywatelskiej tłumaczył pokazanie w Sejmie zdjęć, którymi nikt nie mógł już być szantażowany, bo od kilku dni były powszechnie dostępne w Internecie, wrzucone tam przez otoczenie jednego z oskarżonych w aferze reprywatyzacyjnej, w ramach brudnej walki z byłym kolegą, który okazał się niekoleżeński i zamiast przed aresztowaniem chronić – wsadził. I choć TVN24 ochoczo podchwyciła temat i swoim widzom również zaprezentowała szantażogenne zdjęcia Wąsika, to nawet tam nie wierzą, że Olszewski epatował nimi w trosce o bezpieczeństwo państwa.

„Obyczajowy skandalik z ministrem Wąsikiem to beznadziejnie denna i głupia prowokacja posła PO. To granie homofobiczną kartą godną raczej zamierzchłych czasów akcji Hiacynt albo działania LPR-u, a nie partii »europejskiej«... wstyd platformo!" – napisał na Twitterze Krzysztof Śmiszek, działacz gejowski, a prywatnie partner Roberta Biedronia, który żadnego powodu do bronienia Wąsika nie ma, poza zwykłą ludzką przyzwoitością i świadomością, jak szkodliwe może być to, co pod pretekstem troski o dobro państwa zrobił Olszewski.

Nie wiem, jaki był kontekst zdjęć, i szczerze mówiąc, zupełnie mnie to nie interesuje, ciekawa jestem natomiast długofalowych konsekwencji stosowania takiej argumentacji, którą swoje buractwo próbował przykryć Olszewski. Jeśli bowiem zdjęcia Wąsika sprzed 14 lat, z których na razie wcale nie wynika, że Wąsik jest gejem, mogłyby posłużyć komuś do szantażu, to co w przypadku kogoś, kto takim gejem faktycznie jest, ale się z tym nie obnosi ani publicznie, ani w pracy? Czy przyjmując na ważne stanowiska państwowe, powinno się pytać kandydatów o orientację seksualną, żeby ocenić, jak bardzo kandydat jest podatny na szantaż? Bo przecież szantaż nie grozi tylko szefowi służb specjalnych, podatny na niego może być praktycznie każdy pełniący ważną funkcję w państwie – prokurator, sędzia, poseł, minister... A skoro tak, czy pytania mające ujawnić ewentualną podatność na szantaż nie powinny być zadawane przy użyciu wykrywacza kłamstw na wypadek, gdyby kandydat był gejem głęboko ukrytym w szafie? A może po prostu założyć, że każdy gej jest potencjalnie podatny na szantaż, i nie dopuszczać osób nieheteroseksualnych do ważnych urzędów? Żeby potem biedni Olszewscy nie musieli na siłę szukać usprawiedliwienia dla pokazywania zdjęć, którymi sami się tak podjarali. ©℗

PODSŁUCHANE

Przekaz dnia

No ale, Joasiu, ty sobie nie możesz tak wygadywać do dziennikarzy, co ci się podoba, moja droga.
A niby dlaczego, Beatko? Ja jestem rzeczniczką rządu, ja z premierem uzgadniam, co mam mówić, kochana.

Przyczyniasz się do chaosu, złociutka, w ten sposób. Przekaz jest jasny: twardo stoimy na gruncie ustawy o IPN i ani kroku w tył. Wiesz, z kim ja konsultuję moje przekazy? No właśnie. Codziennie.
No to ja, moja miła, uzgadniam swoje z tym, kto rządzi rządem. I przekaz jest taki, że owszem, Polska jest najważniejsza, ale idziemy na kompromis, przemyślimy, być może złagodzimy...

Joanno, ty wiesz, kto rządzi rządem, prawda? Nie formalnie, ale faktycznie. I to ja, dziewczyno, mam z tym kimś kontakt i bliskie porozumienie. Nie ty.
Troszkę się pozmieniało, Beato. To już nie jest ta potulna matka Polka, też Beata zresztą, tylko profesjonalista, który sobie w kaszę nie da dmuchać. Ty sobie swoje przekazy dnia serwuj na tych kabaretowych występach z Ryszardem, co to zawsze stoisz za nim i milczysz. A ja będę serwować swoje. To znaczy – Mateusza.

Asieńko, przypomnij mi, serdeńko, ile ty procent w 2014 r. w tej Łodzi wykręciłaś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kiedy byłem jeszcze ministrem sprawiedliwości, to czasami nie starczało mi do pierwszego".

JAROSŁAW GOWIN
wicepremier, minister nauki i szkolnictwa wyższego na antenie Radio Zet.

eprasa.pl 1b7f89dddd

fot. Jerzy Gumowski

Przepraszanie

Przepraszaniu winienem był poświęcić felietonowy tekst już w listopadzie roku minionego, ale inne ważne kwestie (plus różne rocznice) spychały temat tak, iż groziło mu, że się nim zajmę w trybie porzekadłowym — czyli *„na święty Nigdy”*. No ale doczekał się wreszcie, choć z dużym opóźnieniem, bo listopad byłby lepszy po stokroć. Dlaczego listopad? Dlatego, że od schyłku października światem wstrząsały stokrotne kajania się (przepraszania) rozmaitych utytułowanych (celebryckich, dygnitarskich) molestantów. Ten globalny festiwal bicia się w klatę piersiową (*„branie na klatę”* z pozycją klęczącą) zdetonowała gigantyczna afera Harveya Weinsteina, *„cara Hollywoodu”*, który robił dobrze setkom adeptek gwiazdorstwa, ku ich oczywistemu zadowoleniu (pierwotnie) i zniesmaczeniu (20 lat później). Świat nagle odkrył, że aktorki są pokalanymi wbrew swej woli paradziewicami, których droga przez filmowe plany (dawniej się mówiło: *„światła rampy”*) to seksualna gehenna, czyniąca kariery martyrologią łóżkową.

W temacie przepraszania zawsze byłem ambiwalentny, czyli rozdarty: i na tak, i na nie. *„Na tak”* gdy idzie o prywatność, o personalne kwestie międzyludzkie. Jeśli popełniło się błąd albo zawiniło, trzeba przeprosić — to kwestia dobrego wychowania (*„kindersztuby”*), moralny imperatyw, lub, przyziemnie mówiąc: *„psi obowiązek”*, nie dopełnia go tylko prostak. Papież Franciszek, który — jak wiemy — miewa sporo dziwnych pomysłów, radzi przepraszać permanentnie, bez względu na to czy się zawiniło, co mi przypomina konieczność regularnego bicia żony przez męża, który nie musi znać jej przewin, ona już tam zna je bardzo dobrze. Filip Memches: *„Ojciec Święty apeluje, by «nie kończyć dnia bez słowa przepraszam, bez znaku pokoju między mężem a żoną, między dziećmi a rodzicami, między braćmi a siostrami, między synową a teściową! Jeśli nauczymy się mówić szybko przepraszam i sami nauczymy się szybko wybaczać, rany zabliźnią się, małżeństwo się wzmocni, rodzina stanie się domem coraz solidniejszym, który przetrwa wstrząsy naszych małych i wielkich złośliwości»”* (2016). Pytanie tylko: czy przetrwa nadpodaż tych ciągłych przeprosin? Ich codzienna częstotliwość grozić bowiem może katarynkową dewaluacją tego aktu/gestu: rytmiczny/stały mógłby się spospolitować w niesłyszalność niczym tykanie ściennego zegara.

„Na nie” jestem wobec przeprosin międzyplemiennych (politycznych, dyplomatycznych, biznesowych, traktatowych, przetargowych), zwłaszcza gdy są dęte/głupie i chytre/szczwane, a zazwyczaj takie właśnie one są. Moi Czytelnicy wiedzą, że kontestuję sławny list biskupów polskich skierowany do Niemców z prośbą o przebaczenie Polakom za napaść na Polskę i za niemiecką politykę eksterminacyjną. Notabene reaktywacja tej formułki (*„Przebaczamy i prosimy o wybaczenie”*) miała miejsce na Ukrainie półtora roku temu: użyła jej wobec Polaków prowokacyjnie tamtejsza wojowniczka Nadia Sawczenko, i teraz Ukraińcy klepią to ilekroć chcą nam mydlić oczy. Ze strony niemieckiej przeproszono nas tylko raz: byli marynarze floty Hitlera przeprosili żyjących jeszcze obrońców Westerplatte. Generalnie Niemcy nigdy nas nie przeprosiły za ludobójczy najazd, tak samo Ruscy nie przepraszają nikogo za rzesze rozwalonych, zgwałconych, deportowanych, gułagowanych, Turcy nie przepraszają za zhekatombowanie Ormian, Belgowie nie przepraszają za masowe katowanie Kongijczyków, Angole nie przepraszają za eksterminowanie Irlandczyków i Burów, Włosi nie przepraszają za masakrowanie Etiopczyków, a Francuzi nie przepraszają za setki tysięcy Żydów ochoczo dostarczanych hitlerowcom (via Vélodrome d’Hiver) gwoli zagazowania.

∞

I’m sorry!, pardonnez–moi!,
izwinji mienia!, perdone!,
scusi!, entschuldigen Sie!

∞

Polska ma w przepraszaniu tradycje różne, także osobliwe. Gdy roku 1953, podczas finału bokserskich Mistrzostw Europy, Chychła wygrał ze sławnych Szczerbakowem — polscy działacze przeprosili radzieckich działaczy i trenerów, głosząc, że sędziowie punktujący zrobili duży błąd, bo Rosjanin był lepszy niż Polak. Od tamtej pory wciąż ktoś się zgłasza po przeprosiny do Polaków. Żydzi chcą, byśmy ciągle przepraszali, że ich mordowaliśmy, chociaż nie mordowaliśmy. Litwini chcą, byśmy im oddali Grunwald, Mickiewicza i kawałek Suwalszczyzny, a także przeprosili za generała Żeligowskiego (mają priwiślińskich sprzymierzeńców — Zbigniew Gluza, szef Ośrodka Karta, powiedział **„Newsweekowi”**, że Warszawa powinna przeprosić Litwę za zajęcie Wilna roku 1920). Ateiści chcą, by katolicki Kościół stale przepraszał za Świętą Inkwizycję, chociaż raz już to zrobił (niepotrzebnie), lecz raz to zbyt mało, da się lepiej wykorzystać *„klimat ekspiacyjny”* dzisiejszego Watykanu. Znawca zagadnienia, filozof Roman Konik, ostrzega Watykan: *„Trzeba być bardzo roztropnym w przepraszaniu za grzechy z przeszłości, bo w rezultacie stworzy się wrażenie, że nawracając się na katolicyzm przystępuje się do bandy opryszków”* (2016).

Wobec innych religii oraz innych nacji żądania przeprosin są rzadziej wysuwane lub wcale. Zażądaj od Rosjanina lub Muzułmanina, od Chińczyka lub Albańczyka, by przeprosił za choć jedną z wielu ludobójczych zbrodni, które ich obciążają — a dostaniesz *„z piąchy”*, *„z byka”* lub *„z liścia”* w swój głupi łeb. Mówię o kwestiach politycznych. Co innego kwestie politpoprawnościowe. Reprezentowana międzynarodowo przez Salon cywilizacja zachodnia ciągle się kaja wobec ras kolorowych, grup mniejszościowych, orientacji płciowych — za dawne złe traktowanie, dyskryminowanie, nierównouprawnienie, itp. To już stan kliniczny, stan schizofrenii autoupokorzeniowej vel paranoi chronicznego samopiętnowania. Stresują się tym co mądrzejsi z komentatorów, np. Wojciech Cejrowski: *„ — Biali ludzie mają dość przepraszania za to, że są biali!”* (2016), czy Marcin Wolski: *„Jestem wielkim przeciwnikiem przepraszania za sprawy, które nas nie dotyczą i od nas nie zależą. Trzeba temu zapobiegać. Inaczej w nieskończoność wszyscy musieliby przepraszać wszystkich za wszystko”* (2016). Ja już kiedyś proponowałem (2011), by Polacy w ramach *„przepraszania za wszystko”* rozpoczęli od przeproszenia Niemców (którzy nie chcą przyznać miana mniejszości narodowej mieszkającym u nich licznie Polakom) za to, że mniejszość niemiecka na terenie Polski, chociaż naduprawniona (miejsca parlamentarne z rozdzielnika), jest uprawniona zbyt skąpo, bo nie ma goryli i służbowych wozów od władz, darmowych posiłków w „Bristolu” i darmowych *„Mädchen”*.

Bywają przeproszenia wymuszone przez hucpę. Roku 2016 grupa młodych Portugalczyków zgłosiła władzom Rzeszowa, że napadli ją polscy chuligani, więc prezydent tego miasta oficjalnie przeprosił cudzoziemców, a później się okazało, że młodzież portugalska wszystko zmyśliła, chciała bowiem *„zobaczyć jak polskie władze ustosunkowują się wobec aktów przemocy na tle rasowym”*. Młódź polska bywa nie lepsza. Nasi całkiem niezawiśli (od sprawiedliwości) sędziowie skazali wybitnego polskiego myśliciela, Ryszarda Legutkę, na przeproszenie kilku rozwydrzonych smarkaczy za to, że publicystycznie skarcił ich wrogość wobec krzyża.

Zeszłego roku sporo się gadało o przepraszaniu gdy padało nazwisko: Trump. Z jednej bowiem strony podkreślano, że *„na Trumpa głosowali Amerykanie, którzy mają dość przepraszania za to, iż są Amerykanami”*, tymczasem z drugiej biadolono, że nie raz trzeba przepraszać kręgi międzynarodowe za luzackie bądź brutalne *„chlapnięcia”* prezydenta. Ja myślę, że *„kręgi międzynarodowe”* mają to w nosie, zbyt bowiem sobie cenią starą amerykańską mądrość: *„Nothing says «I’m sorry» like money”* (Nic nie przeprasza lepiej od szmalu). ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 1b7f89dddd

Barwy niepodległości

Razem z Polakami świętujemy 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Jesteśmy dumni, że od wielu lat wspólnie kształtujemy naszą ojczyznę.

Pamiętamy jednak o tych, którzy swoim trudem i poświęceniem doprowadzili do odzyskania Niepodległości. Składając hołd pokoleniom, które walczyły o Polskę, w roku jubileuszowym symbolicznie zmieniamy nasze barwy korporacyjne na biało-czerwone.

PGNiG

epraca.pl/b7f89dddd